

Zasady gry

Nora Roberts



calibre 0.9.43

ZASADY GRY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Sportowiec? Wspaniale. - Krzywiąc się z niezadowolenia, Brooke oparła się o miękki skórzany fotel i pociągnęła łyk mocnej czarnej kawy. - Właśnie o tym marzyłam.

- Nie przesadzaj - skarciła ją Claire. - Skoro de Marco yczy sobie sportowca do reklamy swojej odzie y, to musi być sportowiec. A ty jako re yserka całkiem sporo na tym zarobisz.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Brooke miała niezwykłą umiejętność zmuszania przeciwnika bez względu na to, czy był nim prezes potę nej firmy, czy kapryśny aktor, do podporządkowania się jej woli: wystarczyło,

e odpowiednio długo świdrowała go

spojrzeniem. Nauczyła się tej sztuczki w dzieciństwie, a później doprowadziła ją do perfekcji.

Tyle e Claire Thorton okazała się na nią odporna.

Czterdziestodwujęcioletnia Claire była szefem wartęj miliony dolarów firmy Thorton Productions, którą sama zało yła i prowadziła od niemal ćwierć wieku.

Znała Brooke Gordon od dziesięciu lat, gdy ta jako osiemnastolatka podjęła u niej pracę w charakterze gońca. Brooke okazała się wyjątkowo pojętna i szybko awansowała z gońca na oświetleniowca, z oświetleniowca na pomocnika kamerzysty, potem na re ysera.

Kilka lat temu, kierując się intuicją, Claire pozwoliła Brooke samodzielnie wyre yserować piętnastosekundową reklamę. Wierzyła w nią. Nie zawiodła się i nigdy swojej decyzji nie ałowała.

- No dobra, niech ju będzie sportowiec. - Wzdychając cię ko, Brooke powiodła wzrokiem po swoim gabinecie.

W niedu ym pokoju o ścianach zawieszonych zdjęciami stała wąska, obita sztruksem kanapka nie zachęcająca do długich wizyt, krzesło z tapicerowanym oparciem i lekko zwichrowany stolik kupiony na targu staroci. Oprócz tego było tam zawalone papierami biurko z nie domykającą się szufladą, wazonik z sewrskiej porcelany pełen długopisów i połamanych ołówków, a na parapecie anemiczna roślinka w wymyślnej donicy.

- Psiakrew, Claire, dlaczego nie mo emy wynająć aktora? - Teatralnym gestem Brooke rozło yła ręce. - Sama wiesz, jak to jest z piłkarzami albo rockmenami. Zacinają się, myślą... z era ich trema. - Przesunęła stos papierów. - Wystarczy jeden telefon do agencji i zjawi mi się tu stu wykwalifikowanych aktorów, którzy marzą o tej robocie.

Z anielskim spokojem Claire Strząsnęła z rękawa niewidoczny pyłek.

- Kochanie, chyba nie muszę ci przypominać, jak bardzo znana twarz lub rozpoznawalne nazwisko zwiększa sprzedaż danego produktu?

- Rozpoznawalne nazwisko? Chryste, kto słyszał o Parksie Jonesie?! - mruknęła gniewnie Brooke.

- Ka dy kibic baseballu w Ameryce. Protekcyjnalny uśmiech na twarzy Claire, który oznaczał koniec dyskusji, podziałał na Brooke jak płachta na byka.

- Na miłość boską, to ma być reklama ubrań, a nie kijów baseballowych!

- Facet jest chodzącą legendą. Zdobył osiem Złotych Rękawic, od lat osiąga znakomite wyniki...

Brooke zmrużyła oczy.

- Skąd ty to wszystko wiesz? Nie jesteś fanką baseballu.

- Szybko się uczę - odparła Claire. - Dlatego odnoszę sukcesy w tym biznesie. -

Wstała. - Tobie radzę to samo. Więc nie planuj nic na wieczór, bo mam dla nas bilety. Kingsi grają z valiantsami.

- Co to za Kings? Jacy Valiants? - zdziwiła się Brooke. - O czym ty mówisz?

Nie otrzymała odpowiedzi, bo Claire już zamknęła za sobą drzwi.

Przeklinając pod nosem, Brooke obróciła się na fotelu. Za oknem rozciągał się wspaniały widok na wieńce i zakorkowane ulice Los Angeles. Na wcześniejszych etapach swojej kariery pracowała na niższych piętrach, teraz po raz pierwszy miała gabinet tak wysoko: na dwudziestym piętrze. Była to oznaka sukcesu. Tak, Brooke Gordon przebyła kawał drogi. Ale nie lubiła myśleć o przeszłości.

Wpatrując się w panoramę miasta, bawiła się warkoczem. Włosy miała długie, gęste, o złocistorudym odcieniu, jaki od wieków fascynuje malarzy. Nie chciała ich ścinać, ale do pracy zawsze spletała je w pojedynczy gruby warkocz, który sięgał a do pasa. Szare oczy obramowywały rzęsy w podobnym złocistym odcieniu. Rzadko je przyciemniała. Cerę miała gładką, brzoskwiniową, nos prosty, mały, pełne wargi. Dziś były pociągnięte różową szminką. W jej uszach połyskiwały tanie, bazarowe kolczyki; za to pachniała perfumami za dwieście dolarów za uncję.

Rozmyślała o produktach, z których słynął de Marco: o eleganckich dżinsach, ekskluzywnej odzieży sportowej, miękkich włoskich skórach. Firma, która dotąd reklamowała się na stronach miesięczników poświęconych modzie, teraz postanowiła zaistnieć również w telewizji. Zgłosiła się do Thornton Productions i podpisała dwuletni kontrakt. Claire zaś poprosiła Brooke o nakręcenie reklam.

Słusznie, pomyślała Brooke, należy mi się. Jestem dobra. Trzy nagrody Clio stojące na regale potwierdzały jej talent. Nieźle jak na dwudziestoosmioletnią kobietę, która przyszła do Thornton Productions prosto z ulicy, trzymając w ręku dyplom szkoły średniej. W kieszeni miała dwanaście dolarów i pięćdziesiąt trzy centy; był to cały jej majątek. Odsuwając od siebie te myśli.

Brooke skupiła się na teraźniejszości. Je eli chce nakręcić reklamy ubrań de Marca, a chce, powinna zaakceptować pomysł obsadzenia baseballisty w głównej roli. Obróciwszy się ponownie w stronę biurka, sięgnęła po telefon.

- Przynieś mi wszystkie materiały na temat Parksa Jonesa - poleciła sekretarce. - I spytaj panią Thorton, o której mam po nią przyjechać.

Niecałe sześć przecznic dalej Parks Jones wsunął ręce do kieszeni i łypnął gniewnie na swojego agenta.

- Cholera, dlaczego dałem ci się na to namówić? Lee Dutton uśmiechnął się, obna ając nieco krzywe zęby.

- Bo mi ufasz.

- Du y bład. - Przez moment Parks w milczeniu wpatrywał się w za ywnego mę czyznę o pogodnej twarzy, czarnych jak węgiel oczach i przerzedzonych włosach. Tak, ufa mu, a nawet lubi tego skurczybyka, ale... - Do licha, nie jestem modelem. Jestem baseballistą.

- Nikt ci nie ka e chodzić po wybiegu - rzekł Lee, krzy ując ręce na piersi. Promienie słońca załśniły na bransolecie szwajcarskiego zegarka. - Po prostu u yczasz swojego nazwiska i wizerunku, eby zareklamować pewien produkt. Sportowcy robią to, odkąd wyna-leziono pierwszą yletkę.

Parks burknął coś pod nosem, po czym przeszedł się tam z powrotem po gabinecie gustownie urządzonym w orientalnym stylu.

- To nie jest reklama yletek ani rękawic basebalowych, lecz zwyczajnych ubrań!

Będę się czuł jak kretyń.

Ale nie będziesz tak wyglądał, pomyślał Lee. Wyciągnąwszy z kieszeni długie pachnące cygaro, przytknął do niego zapalnik. Przez chwilę przyglądał się Parksowi sponad płomienia. Tak, ten wysoki, doskonale umięśniony gracz o jasnych kręconych włosach, niebieskich oczach i szczupłej opalanej twarzy idealnie nadaje się do prezentowania strojów de Marca. Jego uroda zachwyca kobiety, a naturalność i niewymuszony wdzięk zjednują mu sympatię mę czyzn. Jest nie tylko przystojny i utalentowany, ale w dodatku inteligentny, co czasem jest zaletą, ale kiedy indziej wadą.

- Parks, jesteś u szczytu popularności. Ale masz trzydzieści trzy lata. Jak długo jeszcze chcesz odbijać piłkę?

Parks posłał agentowi mia d ące spojrzenie. W wieku trzydziestu pięciu lat zamierzał zakończyć karierę sportową i Lee doskonale o tym wiedział.

- Co to ma do rzeczy?

- Po zejściu z boiska wielu świetnych graczy popada w zapomnienie. Te tak chcesz?

Pomyśl o przyszłości.

- Ju pomyślałem - odparł Parks. - Zamieszkać na Maui, będę łowił ryby, wylegiwał się w słońcu i gapił na skąpo odziane laski.

Po sześciu tygodniach znudzi ci się takie życie, pomyślał Lee, ale nie powiedział tego na głos.

- Lee... - Parks usiadł w czerwonym fotelu i wyciągnął przed siebie nogi. - Nie potrzebuję forsy. Więc dlaczego mam pracować zimą, zamiast byczyć się na plaży?

- Po pierwsze, ta robota będzie z korzyścią i dla ciebie, i dla baseballu. A po drugie -

Lee uśmiechnął się łobuzersko - podpisał kontrakt.

- Dobra, idę potrenować. - Parks wstał i ruszył do drzwi. Przystanąwszy z ręką na klamce, odwrócił się. - Aha, je eli wyjdę na głupka, rozkwaszę ci nos.

Brooke z piskiem opon wjechała przez elektronicznie otwieraną bramę na podjazd przed rezydencją Claire Thorton. Rezydencję ogromną, z kolumnami od frontu, należąca kiedyś do pewnej gwiazdy niemego kina. Claire, która kupiła ten dom piętnaście lat temu od znanego producenta perfum, urządziła go w stylu orientalnym.

Brooke wcisnęła hamulec, zatrzymując datsuna przed schodami z białego marmuru.

Wysiadłszy z samochodu, wciągnęła w nozdrza unoszący się wkoło słodki zapach wanilii i jaśminu, po czym energicznym krokiem ruszyła do drzwi. Zastukała. Ponieważ nie grzeszyła cierpliwością, po chwili nacisnęła klamkę. Ku jej zdumieniu, drzwi same się otworzyły; weszła do przestronnego holu o seledynowych ścianach i zawołała:

- Claire! Jesteś gotowa? Konam z głodu!

Z korytarza na lewo wyłoniła się niska, na oko siedemdziesięcioletnia kobieta w schludnym szarym uniformie.

- Dzień dobry, Edno. - Brooke uśmiechnęła się do gosposi. - Gdzie Claire? Nie mam siły szukać jej po tym labiryncie.

- Ubiera się, panno Gordon. Zaraz zejdzie. Czy podać pani coś do picia?

- Poproszę o wodę mineralną. - Brooke przeszła za gosposią do salonu i usiadła na kanapie. - Czy Claire ci mówiła, dokąd się wybieramy?

- Na mecz baseballowy. - Kobieta nalała wody do szklanki i dorzuciła dwie kostki lodu. - Z cytryną?

- Odrobinę. - Brooke zniżyła głos do szeptu. - Co o tym sądzisz?

Edna Billings przed laty pracowała u lorda Westbrooka w Devon, w Anglii.

Przyjmując posadę u Claire Thorton, obiecała sobie, e nigdy się nie zamerykanizuje i nie pozwoli sobie na poufałość z chlebodawczynią. Miała swoje zasady. Ale zaczepkom Brooke nie potrafiła się oprzeć. Lubiła tego nieznośnego rudzielca.

- Osobiście wolałabym obejrzeć mecz krykieta - odparła, podając jej szklankę. - To znacznie bardziej cywilizowana gra.

- Wyobraz sobie Claire na trybunach, otoczoną zgrają rozwrzeszczanych, spoconych kibiców i zapatrzoną w dorosłych facetów, którzy kijem odbijają piłkę i ganiają w kółko?

- O ile się nie mylę, baseball nie tylko na tym polega - zauważyła Edna.

- Wiem, jest drużyna atakująca i drużyna broniąca, są punkty, zmiany, obiegi, strajki. -

Brooke westchnęła głośno. - Cholera, co to są strajki?

- Nie mam pojęcia.

- Nie ważne. - Pociągnęła łyk wody. - Claire jest przekonana, e widok tego Parksa Jonesa w akcji mnie zainspiruje. A ja marzę o ciepłym posiłku.

- Na stadionie można kupić piwo i hot dogi - oznajmiła Claire, która bezszelestnie stanęła w drzwiach.

Zerknąwszy przez ramię, Brooke parsknęła śmiechem. W płóciennych spodniach, w bluzce z abotem i pantoflach z krokodylej skóry Claire wyglądała niezwykle elegancko i dostojnie.

- Idziemy na mecz baseballowy - przypomniała jej Brooke - a nie do muzeum. Poza tym nie cierpię piwa.

- Szkoda. - Claire zajrzała do torebki z krokodylej skóry, po czym kiwnąwszy głową z zadowoleniem, ją zamknęła. - No dobra, ruszajmy. Dobranoc, Edna.

Brooke dopiła pośpiesznie wodę, po czym poderwała się na nogi i wybiegła za Claire.

- Wstąpmy gdzieś na kolację. Mecz to nie opera, gdzie nie wolno się spóźnić, a mnie z głodu burczy w brzuchu. - Przybrała minę zagłodzonej sierotki. - Wiesz, jaka się staję wredna, kiedy jestem głodna.

- Coraz lepsza z ciebie aktorka; marnujesz się za kamerą, wiesz? - Z grymasem lekkiego obrzydzenia, Claire wsiadła do datsuna Brooke. Wiedziała, e obsesja Brooke na punkcie regularnych posiłków wynika z braku stabilizacji w dzieciństwie. - Dwa hot dogi powinny ci wystarczyć. - Zapięła pasy; wolała nie ryzykować. - Na stadion jedzie się trzy kwadransy. To znaczy, e ty tam dotrzesz w ciągu niecałych dwóch.

Brooke wrzuciła bieg i dała nogę na gaz. Pół godziny później skręciła na parking pod stadionem.

- ...dzieciakowi udało się ju w pierwszym ujęciu - mówiła dalej z przejęciem, szukając miejsca do zaparkowania. - Dwoje dorosłych stale się myliło, więc ostatecznie potrzebowaliśmy czternastu dubli, ale dzieciak za ka dym razem był doskonały. - Na widok pustego miejsca wydała okrzyk triumfu i z wprawą wjechała między dwa zaparkowane wozy.

- Chciałabym, ebyś zerknęła na taśmę, zanim pójdzie do monta u.

- Dlaczego? - Claire ostro nie otworzyła drzwi i, wciągnąwszy brzuch, z niemałym trudem wydostała się na zewnątrz.

- Bo kompletujesz obsadę do „Rodziny w potrzasku”. I wydaje mi się, e mam dla ciebie idealnego kandydata do roli Buddy'ego. Ten chłopaczek jest rewelacyjny.

- Dobra, zobaczymy.

Wmieszały się w tłum. W powietrzu unosiła się woń rozgrzanego asfaltu i spoconych ciał, niebo powoli ciemniało. Mijały stoiska, gdzie sprzedawano proporczyki, zdjęcia zawodników oraz inne drobiazgi. Zapach pra onej kukurydzy, sma onego mięsa, kielbasek i piwa sprawił, e Brooke znów zaburczało w brzuchu.

- Chocia wiesz, dokąd idziemy?

- Zawsze wiem, dokąd idę - odparła Claire, skręcając w prawo.

W jaskrawym sztucznym świetle było jasno jak za dnia. Na trybunach siedziały tłumy, wokół niósł się jednostajny szum tysięcy głosów, z głośników płynęła muzyka. Między siedzącymi krą yli sprzedawcy z jedzeniem i napojami. Panowała atmosfera podniecenia, nerwowego oczekiwania. Z Brooke wyparowała apatia, zastąpiła ją ciekawość. Uwielbiała obserwować ludzi, a tu na stosunkowo niewielkiej powierzchni były ich tysiące.

- Spójrz na nich, Claire. Zawsze są tacy podekscytowani?

- W tym sezonie dru yna Kings ma świetną passę.

Prowadzi w rozgrywkach, ma w zespole dwóch najlepszych miotaczy i fantastycznego gracza trzeciometowego. Trzeba było się przygotować, to byś się tak nie dziwiła.

Brooke mruknęła coś pod nosem. Bardziej od graczy fascynowali ją kibice. Kim są?

Skąd się biorą? Dokąd się udają po skończonym meczu? Dwóch podtatusiałych jegomości zawzięcie dyskutowało o meczu, który jeszcze się nie rozpoczął. Przyglądał im się pięciolatek w czapce z logo Kings. Brooke wędrowała za Claire, rejestrując wszystko wzrokiem.

Spodobała jej się atmosfera, hałas, a nawet zapach potu. Było kolorowo i głośno. Kibice powiewali granatowo - białymi chorągiewkami, dzieci zajadały się ró ową watą cukrową, a jakiś nastolatek

podrywał siedzącą przed nim blondynkę, która udawała, e go nie dostrzega.

Nagle Brooke poło yła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Czy to jest Brighton Boyd?

Spojrzawszy w bok, Claire zobaczyła słynnego aktora, zdobywcę Oscara, z wielką torbą orzeszków.

- Owszem... O, a to nasze miejsca. - Pomachała przyjaźnie do Boyda, po czym usiadła.

- Idealnie. Jesteśmy blisko trzeciej mety.

Brooke usiadła. Zafascynowana wciąż rozglądała się dookoła. Przyszło jej do głowy, e podobna atmosfera zapewne panowała w rzymskim koloseum, kiedy tłum czekał na pojawienie się gladiatorów. Gdyby miała kręcić reklamówkę o baseballu, skoncentrowałaby się nie na grze, lecz na widzach.

- Trzymaj, kochanie - powiedziała Claire, wręczając jej hot doga. - Ja funduję.

- Dzięki. - Brooke odgryzła kawał bułki. - Kto zajmuje się reklamą kingsów? - spytała z pełnymi ustami.

- Lepiej skup się na trzeciej mecie - doradziła jej Claire znad plastikowego kubka z piwem.

- Ale...

Kibice głośnym krzykiem powitali dru ynę gospodarzy. Gracze w śnie nobiałych strojach, granatowych czapkach i skarpetach zajęli miejsca na boisku. Wbrew temu, czego się spodziewała, wcale nie wyglądali śmiesznie - raczej dostojnie i bohatersko. Skupiła się na trzeciometowym.

Stał do niej tyłem, więc nie widziała jego twarzy. Ale wystarczyła jej sama jego sylwetka. Na oko miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, wa ył najwy ej siedemdziesiąt pięć kilo. Był szczupły, ale nie chudy.

Oparła łokcie o poręcz. Z taką klatą doskonale będzie się prezentował w ubraniach de Marca. Hm, rusza się znakomicie. Jak pantera? Nie, jak stuprocentowy samiec.

Wstrzymała oddech, kiedy pochylił się, złapał piłkę tu nad ziemią, po czym ją odrzucił. Ruchy miał płynne, idealnie skoordynowane. Jak tancerz po latach mudnych ćwiczeń. Przyszło jej do głowy, e gdyby filmowała go w ruchu, wtedy niewa ne byłoby, czy potrafi mówić do kamery.

Ka dy jego gest był niesamowicie zmysłowy. Nawet gdy stał bez ruchu, czekając na kolejną piłkę. Mo e jednak da się z nim nakręcić reklamę, pomyślała, patrząc na złociste loki wystające spod czapki.

Nagle się odwrócił i ujrzała jego twarz. Był powa ny, skupiony. Wyglądał groźnie jak gladiator lub wojownik szykujący się do walki. Co jak co, ale nie spodziewała się, e Parks Jones oka e się tak

seksowny. A tym bardziej tego, e wyrzuci na niej tak ogromne wrazenie.

Wtem zawołał go ktoś z trybun. Parks uśmiechnął się, z groźnego wojownika przeistaczając się w sympatycznego, wyluzowanego gościa. Brooke odetchnęła z ulgą.

- Co o nim sądzisz?

Wciąż lekko oszołomiona, oparła się o krzeselko i odgryzła następny kawałek hot doga.

- Mo e się nada - odparła. - Na pewno nieźle się porusza.

- Obserwuj dalej.

Tak te zrobiła. Podczas gry wykazywał entuzjazm dziecka i determinację doświadczonego zawodnika. Była to iście piorunująca mieszanka. Brooke przyglądała mu się z zafascynowaniem. Zastanawiała się, czy głos ma równie pociągający jak ruchy. Przy piątej zmianie drużyna Kings prowadziła dwa do jednego. Publiczność szalała. Pochłaniając drugiego hot doga, Brooke zdecydowała, e część reklamy nakręci w zwolnionym tempie.

Kibiców na trybunach chłodził lekki wietrzyk, ale w nich szych rzędach i na boisku panował skwar. Parks czuł, jak pot spływa mu po plecach. Miotacz szykował się do narzutu piłki. Z pałką czekał Rathers, znany z siły i z tego, e zwykle odbija w lewo. Parks zajął

pozycję, po chwili usłyszał trzask pałki o piłkę. W ciągu ułamka sekundy musiał podjąć decyzję: chwycić piłkę, która z szybkością pocisku leci prosto na niego, albo wylądować w szpitalu z dziurą w klatce piersiowej. Złapał. Publiczność zawyła.

Wyglądało to na normalny chwyt. Parks jednak był zdziwiony, e siła, z którą leciała piłka, nie wyrzuciła go poza stadion. Gdy szedł do boksu, łącznik spytał go, czy rękawicę nadal ma w jednym kawałku. W odpowiedzi Parks wyszczerzył zęby, po czym zerknął na trybuny, by napotkać utkwione w nim spojrzenie Brooke.

Odruchowo zwolnił kroku. Jaka piękna kobieta, przemknęło mu przez myśl. Niczym osiemnastowieczna arystokratka z burzą lśniących włosów oraz typowo angielską karnacją jak krew z mlekiem. I te oczy! Szare, pełne wyrazu. Zakazany owoc. Poczł dziwne klucie w brzuchu. Nie odrywając od niej wzroku, zaintrygowany dotarł do boksu. Przyglądała mu się uwa nie; nie uśmiechnęła się, nie odwróciła głowy. Po prostu patrzyła, jakby rozbierała go na czynniki pierwsze.

Siedząc na ławie, rozmyślał o niej. W boksie panowała napięta atmosfera. Je eli chcą utrzymać pozycję i zdobyć mistrzostwo, muszą ten mecz wygrać. Na nim, na Parksie, spoczywa dodatkowa odpowiedzialność: wszyscy na niego liczą. Obserwując pałkarza szykującego się do odbicia piłki, dumal o pięknej rudowłosej siedzącej tu za trzecią metą.

Dlaczego tak mu się przygląda? Dlaczego... Przeklinając pod nosem, wstał i włożył

kask. Powinien skupić się na grze. Gdyby udało się zdobyć kilka dodatkowych punktów, wszyscy poczuliby się pewniej.

Drugi pałkarz odbił piłkę nisko, na prawo. Parks wyszedł z boks. Instynktownie zerknął w lewo. Z tej odległości niezbyt dobrze widział Brooke, ale czuł na sobie jej wzrok.

Ogarnęła go lekka irytacja. O co jej chodzi? Czego chce? Nie wygląda na entuzjastkę baseballu.

Zajął miejsce na stanowisku pałkarza; lekko ugiął nogi w kolanach, przyjmując odpowiednią pozycję. Pierwszą źle narzuconą piłkę przepuścił. Odszedł krok na bok, poprawił kask i wrócił na miejsce. Drugiej piłki te nie odbił. Jedną z jego głównych cech była cierpliwość. Nawet gdy napięcie sięgało zenitu, potrafił czekać. Trzecią piłkę równie przepuścił. Tłum krzyczał, błagał o mocne odbicie. Parks nie słuchał; patrzył skupiony na miotacza.

Piłka leciała z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, ale on był na to przygotowany. Zamachnął się. Po odgłosie wiedział, że trafił idealnie. Miotacz też to zauważył: zadarłszy głowę, obserwował, jak piłka wylatuje poza boisko.

Przy ogłuszającym ryku publiczności Parks obiegił wszystkie mety. Mijając pierwszą, uśmiechnął się zadowolony do trenera, który poklepał go po ramieniu. Mijając drugą, odruchowo zerknął w stronę Brooke. Siedziała z brodą opartą o poręcz, podczas gdy wokół

wszyscy skakali z radości. Patrzył na nią z rosnącą irytacją. Dotarł do trzeciej mety, potem wrócił do domowej. Był szczęśliwy ze zdobycia obiegu, a jednocześnie wściekły na nie wykazującą entuzjazmu nieznajomą.

- Facet jest niesamowity. - Claire uśmiechnęła się do swojej towarzyszki. - To jego trzydziesty szósty obieg w tym sezonie. - Pomachała do sprzedawcy napojów. - Gapił się na ciebie.

- Mmm - mruknęła Brooke. Nie zamierzała się przyznawać, że ilekroć napotykała jego spojrzenie, serce waliło jej jak młotem. Znała ten typ mężczyzn przystojnych, utalentowanych i bezlitosnych; codziennie ich widywała. - Powinien się dobrze prezentować na filmie.

Claire się roześmiała.

- On wszędzie dobrze się prezentuje. Rozpoczęła się siódma zmiana. Brooke nie zwracała uwagi na wynik ani na innych graczy, interesował ją wyłącznie Parks Jones. Miał w sobie kocią grację i zmysłowość, niesamowitą gibkość, płynność i swobodę ruchów. Właśnie to chciała uchwycić na taśmie: naturalny wdzięk w połączeniu ze zwierzęcym magnetyzmem.

Oby tylko przed kamerą nie stracił pewności siebie.

Rozmyślała o reklamie... Jones w modnym sportowym stroju odbija piłkę, potem w dżinsach de Marca galopuje na koniu po plaży. Tak, coś w tym stylu. Odrobina sportu, odrobina humoru. Plus kobieta, ale nie taka, która wodzi za nim po śladowym wzrokiem. Elegancja, szyk, ale także lekkość i dowcip. Może się uda. Wszystko zależy od scenarzysty i oczywiście od Parksa Jonesa. Wzięła głęboki oddech. Uda się. Na pewno się uda. Za kilka miesięcy może kobieta będzie marzyła o północy do łóżka z Jonesem, a kiedy facet będzie mu zazdrościł.

Piłki leciała wysoko w powietrzu, a Parks biegł, by ją przejąć. Wylądowała mniej więcej w

czwartym rzędzie, a on wpadł na siatkę. Brooke, zaskoczona, uniosła głowę. Dzielił

ich metr, może dwa. Czuli zapach jego potu, widziała strużkę ciekącą mu po twarzy. Ich spojrzenia ponownie się spotkały. Brooke nie odwróciła wzroku, częściowo dlatego, że nie chciała, częściowo dlatego, że nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Za jej plecami rozległ się okrzyk triumfu; któryś z kibiców złapał piłkę.

- Jak ci na imię? - Spojrzał na nią wściekły. Wyglądał tak samo jak przed rozpoczęciem meczu: groźnie.

- Brooke - odpowiedziała, siląc się na spokój.

- A nazwisko? - warknął, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Uniosła brwi, a on miał ochotę chwycić ją za ramiona i mocno nią potrząsnąć.

- Gordon. Brooke Gordon. Czy gra się skończyła? Zmrużył oczy. Przez chwilę spoglądał na nią bez słowa. Odchodząc od siatki, mruknął:

- Jeszcze się nie zaczęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Spodziewała się, że Parks zadzwoni, bo spytał ją o nazwisko, a numer bez trudu mógł znaleźć w książce telefonicznej. Ale nie spodziewała się, że zadzwoni kwadrans po szóstej w niedzielę rano.

Wyrwana ze snu przez natarczywy dzwonek telefonu, wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- Halo... - powiedziała, nie podnosząc powiek.

- Brooke Gordon?

- Mhm. - Opadła z powrotem na poduszkę. - Tak.

- Mówi Parks Jones. Natychmiast oprzytomniała. Otworzyła oczy. Przez okno sączyło się blade światło poranka, ptaki dopiero zaczynały ćwierkać. Wymacała stojący na szafce lekko uszkodzony budzik i skrzywiła się, widząc godzinę.

Powstrzymując przekleństwa, które cisnęły się jej na usta, spytała zmysłowym szeptem:

- Przepraszam, kto?

- Parks Jones. Trzeciometowy drużyny Kings. Oglądałaś mecz...

Brooke ziewnęła, poprawiła poduszkę i uśmiechnęła się do siebie.

- Tak, pamiętam.

- Chciałbym się z tobą spotkać. Gramy dziś w Nowym Jorku i po południu wracamy do Los Angeles. Mo e wybralibyśmy się na kolację?

- Na kolację? - powtórzyła. Jakie to typowe, pomyślała: facet z góry zakłada, e kobieta nie ma innych planów na wieczór, a jeśli ma, to zmieni je tylko po to, by się z nim spotkać. W pierwszym odruchu miała ochotę odmówić. - Mo e - odparła. - O której?

- Przyjadę po ciebie o dziewiątej - oznajmił, ignorując jej „mo e”. Zamierzał się przekonać, dlaczego od trzech dni na niczym nie potrafi się skupić, bo myśli wyłącznie o niej.

- Znam adres.

- W porządku, Sparks. O dziewiątej.

- Parks - poprawił ją i odłó ył słuchawkę. Brooke opadła z powrotem na poduszkę i wybuchnęła śmiechem.

Szykując się wieczorem do wyjścia, wciąż była w znakomitym humorze. ałowała jedynie, e materiały na temat Parksa, które czytała, zawierały głównie wyniki rozgrywek baseballowych. Czułaby się pewniej, dysponując informacjami natury bardziej osobistej.

Ciekawe, jak Parks zareaguje, kiedy dowie się, e zaprosił na randkę osobę, z którą będzie współpracował przy reklamie? Podejrzewała, e będzie zły, e zataiła przed nim tę wiadomość. Trudno, nie zamierza się tym przejmować. Zresztą chciała się przekonać, co to za człowiek, zanim przystąpią do pracy.

Owinięta ręcznikiem zastanawiała się, co na siebie wło yć. Rzadko chodziła na randki. Wcale nie z braku propozycji. Po prostu ycie ją nauczyło, e jeśli facet jest przystojny i czarujący, lepiej omijać go z daleka.

Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy poznała pierwszego uroczego przystojniaka.

Clark, dwudziestodwuletni, świe o upieczony absolwent uniwersytetu, wszedł do restauracji, w której pracowała. Nie ałował uśmiechów ani napiwków. Chodzili do kina, do parku na pikniki. Nie przeszkadzało Brooke, e Clark nie pracuje: wyjaśnił jej, e odpoczywa po studiach i dopiero na jesieni rozejrzy się za pracą.

Jego rodzina pochodziła z bostońskich wy szych sfer, a to oznaczało - dodał z ironicznym humorem, który ją fascynował -

e mieli odziedziczone po przodkach

nieruchomości, lecz cierpieli na brak gotówki. Dość mętnie wspominał o planach, jakie rodzice snuli

wobec jego osoby. O swoich najbliższych - matce, ojcu, dziadkach, siostrach -

zawsze mówił ciepło; jeśli z nich artował, to zawsze serdecznie.

Brooke, od dziecka spragniona uczuć rodzicielskich, zazdrościła mu cudownej rodziny; jak gąbka chłoneła wszystko, o czym Clark opowiadał, i wierzyła w każde jego słowo. Imponował jej wykształceniem, na które ona nie mogła sobie pozwolić, prawił jej komplementy, całował ją tak, jakby świat poza nią nie widział. Nawet się nie spostrzegła, kiedy zaczęła płacić za różne rzeczy, choćby za wynajęcie desek surfingowych. Wreszcie, nieco lekko, mu się oddała. Śmiał się z jej zakłopotania, lecz obchodził się z nią bardzo delikatnie. Była w siódmym niebie.

Entuzjastycznie przyjęła jego propozycję, aby razem zamieszkali; chciała prowadzić dla niego dom, zasypiać i budzić się przy jego boku. Nie zastanawiała się nad tym, że teraz jej skromna pensja i napiwki muszą wystarczyć na utrzymanie dwóch osób. O małżeństwie Clark mówił w ten sam sposób, co o pracy: mgliście, jak o czymś, co nastąpi w bliżej nieokreślonej przyszłości. Zakochani nie powinni myśleć o tak przyziemnych sprawach. Brooke, której się wydawało, że wreszcie ma prawdziwy dom, przyznała mu rację. Marzyła o dzieciach. Nie od razu, ale za jakiś czas. O synach, którzy odziedziczą po ojcu jego szlachetne rysy, o córkach z identycznymi jak Clark dużymi oczami. O dzieciach, które miałyby dziadków w Bostonie, które znałyby swoich rodziców i wiedziały, gdzie jest ich dom.

Przez trzy miesiące harowała bez wytchnienia, odkładając część zarobków na przyszłość, o której wspominał Clark, podczas gdy on rozwijał się intelektualnie i ignorował

wszystkie ogłoszenia w sprawie pracy, jakie pojawiały się w gazetach. Brooke na to się godziła. Jej zdaniem marnowałaby się przy pracy fizycznej, szkoda by było do jakiejś marnej pracy urzędniczej. Wierzyła, że kiedy trafi się odpowiednia oferta, jej ukochany zrobi błyskotliwą karierę.

Czasami bywał poirytowany, humorzasty. Brooke zostawiała go wtedy w spokoju.

Kiedy mijał zły nastrój, Clark znów tryskał energią i pomysłami. Chodźmy tu, jedźmy tam.

Nie, nie jutro, dzisiaj. Dla niego jutro zawsze było daleką przyszłością. Po raz pierwszy w swoim młodym życiu Brooke cieszyła się dniem dzisiejszym. Była zakochana.

Spędzała w pracy długie godziny, gotowała Clarkowi posiłki, a napiwki chowała do słoiczka, który stał w kuchni na półce. Któregoś wieczoru wróciła późno do domu. Zastała puste mieszkanie. Clark znikł, zabierając z sobą nieduży czarno - biały telewizor, kolekcję płyt i słoiczek z napiwkami. Na jego miejscu pozostawił list.

„Brooke, dzwonili moi rodzice. Wywierają na mnie coraz większą presję. Powinienem być ci powiedzieć, ale miałem nadzieję, że sprawa sama się rozwiśnie. Chodzi o aranżowane małżeństwo z moją daleką kuzynką. Wiem, że w dzisiejszych czasach ludzie pobierają się z miłości, ale w mojej rodzinie starsi aranżują małżeństwa młodszym. Shelley to miła dziewczyna, córka kuzyna mojego ojca. Teoretycznie od dwóch lat jesteśmy zaręczeni, ale ona przez cały ten czas studiowała na Smith. Mam dostać niezłą posadę z możliwością szybkiego awansu na wiceprezesa w firmie jej ojca.

Sądziłem, e gdy co do czego dojdzie, powiem wszystkim, eby się wypchali. Ale nie umiem. Przepraszam.

Tych kilka miesięcy z tobą to był najcudowniejszy okres w moim yciu. Nigdy dotąd nie czułem się tak wolny. I pewnie nigdy ju nie będę.

Wybacz, e zabieram twój telewizor i inne rzeczy. Brakuje mi forsy na bilet lotniczy, a nie bardzo mogłem powiedzieć rodzicom, e wydałem wszystkie oszczędności. Postaram się jak najszybciej zwrócić ci pieniądze.

Miałem nadzieję, e sprawy potoczą się inaczej. Ale zostałem przyparty do muru.

Jesteś wspaniałą dziewczyną, Brooke. Bądź szczęśliwa. Clark”.

Musiała przeczytać list dwa razy, zanim zrozumiała, o co chodzi. Clark wyjechał.

Porzucił ją. Znow była sama. Wszystko dlatego, e nie studiowała na uniwersytecie Smitha, nie miała rodziny w Bostonie, ani ojca, który mógłby zaproponować intratną posadę jej ukochanemu.

Wylała morze łez. Nie mogła uwierzyć, e w jednej chwili legły w gruzach jej marzenia, jej przyszłość, jej wiara w drugiego człowieka.

To doświadczenie ją zmieniło. Przestała być idealistką. Postanowiła, e ju nikt jej nie wykorzysta. e nigdy nie będzie rywalizowała o względy mę czyzny z kobietami, które mają wszystko. I nie będzie harowała w śmierdzącej knajpie za marne grosze, które ledwo wystarczają na skromne ycie w nędznym jednopokojowym mieszkanku.

Podarła list, umyła twarz lodowatą wodą, by zmyć ślady łez, i z kilkunastoma dolarami w kieszeni wyszła z domu. Wędrowała przed siebie, a nagle znalazła się przed budynkiem, w którym mieściła się siedziba Thorton Productions. Pewnym siebie krokiem, bo przecie nie miała nic do stracenia, minęła recepcjonistkę. Pół godziny później opuściła budynek jako nowa pracownica. Z pensją niewiele większą ni wynagrodzenie kelnerki, ale nie to było wa ne. Wa ne było to, e otwierały się przed nią nowe mo liwości. Odejście Clarka nauczyło ją jednego: e trzeba polegać wyłącznie na sobie. Ju nigdy nikomu nie zaufa ani przez nikogo nie będzie wylewać łez.

Dziesięć lat później wyjęła z szafy czarną sukienkę. Prostą i elegancką, kupioną z myślą o koktajlach, na których z racji zawodu czasem musiała bywać. Tak, idealnie nadawała się na kolację z Parksem Jonesem.

Jadąc przez wzgórza rozciągające się nad Los Angeles, Parks rozmyślał nad swoim zachowaniem. Po raz pierwszy w yciu pozwolił, eby kobieta dekoncentrowała go podczas gry. Po raz pierwszy w yciu zadzwonił z drugiego końca Ameryki do obcej kobiety, eby umówić się z nią na randkę. Do osoby, która w dodatku przekręciła jego imię! Po raz pierwszy w yciu miał się spotkać z kobietą, z którą zamienił zaledwie parę słów, a która doprowadzała go do szewskiej pasji.

Podje d ając pod górę, wrzucił ni szy bieg. W samolocie przez całą drogę usiłował

rozgryźć Brooke Gordon. Sądząc po jej twarzy, nie tyle pięknej, co przykuwającej wzrok, uznał, że jest modelką lub aktorką. Oczywiście uroda nie musi iść w parze z intelektem, ale coś w jej spojrzeniu mówiło mu, że... Zresztą nieważne.

Na szosę wbiegł zając, który natychmiast przystanął zahipnotyzowany blaskiem reflektorów. Parks ostro zahamował, po czym przeklinając głośno, go ominął. Zwierzę, kicając statecznie, wróciło na pobocze. Parks miał słabość do małych zwierzątek, czego jego ojciec nie był w stanie pojąć. No, ale ojciec równie nie rozumiał syna, który wolał odbijać piłkę, niż zajmować wysokie stanowisko w Parkinson Chemicals.

Zwolnił, aby upewnić się, czy dobrze jedzie, po czym skręcił w ciemną drogę prowadzącą do zalesionej posiadłości Brooke. Po chwili zaparkował za datsunem.

Dom znajdował się trzydzieści pięć minut od Los Angeles. Panującą ciszę zakłócało jedynie cykanie świerszczy oraz szum płynącego nieopodal strumyka. W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów. Podobała się Parksowi ta spokojna wiejska posiadłość. Właściwie ałował, że zaprosił Brooke do restauracji; wcale nie miał ochoty wracać do neonów, klaksonów i zgiełku. Wsiadł z wozu, ciekaw kobiety, która woli mieszkać w małym domku, z dala od atrakcji wielkiego miasta.

Na drzwiach wisiała stara mosiężna kołatka w kształcie psiej głowy. Parks uśmiechnął

się i zastukał. Kiedy drzwi się otworzyły, zaniemówił z wrażenia. Brooke wyglądała olśniewająco. Mleczna cera, opięta czarna suknia, na piersi srebrny amulet. Włosy zaczesane do tyłu, opadające swobodnie a do pasa. Oczy lśniące, powieki pokryte błyszczącym cieniem. Usta naturalne, bez śladu szminki. Perfumy o zapachu przywodzącym na myśl bliskowschodnie haremy.

- Dobry wieczór - powiedziała, wyciągając na powitanie dłoń. Była zdumiona, jak mocno jej wali serce. Obserwując Parksa na boisku, próbowała go sobie wyobrazić w strojach de Marca. Rzeczywistość jednak przeszła jej oczekiwania. Wyglądał jeszcze bardziej męsko i seksownie niż w jej wyobrażeniach. W tej sytuacji zrezygnowała z pomysłu zaproszenia go na drinka. Im szybciej znajda się wśród ludzi, tym lepiej.

- Jestem potwornie głodna. Możemy od razu ruszać? - Nie czekając na odpowiedź, zamknęła za sobą drzwi.

W pantoflach na obcasie niemal dorównywała mu wzrostem.

- Podnieść dach? - spytał, kiedy doszli do samochodu.

- Nie. - Wsunęła się na miejsce pasażera. - Lubię świeże powietrze.

Prowadził szybko, lecz pewnie. Tak jak się spodziewała, doskonale panował nad kierownicą. Ponieważ uwielbiała szybką jazdę, natychmiast się odprężyła.

- Chyba nieczęsto chodzisz na mecze?

- To był mój pierwszy raz - odparła z uśmiechem.

- Przyjaciółka miała dwa bilety i uznała, że może być zainteresowana baseball.

- I co?

- Fascynujące widowisko. Choć prawdę mówiąc, sądziłam, że będę się nudzić.

- Nie zauważyłam u ciebie oznak entuzjazmu - oznajmił Parks. - Mam wrażenie, że ani razu się nie poruszyłaś.

- Za to ty sporo się nabiegałeś. Przyjrzał się jej z ukosa.

- Dlaczego się na mnie gapiłaś? Zawahała się, lecz postanowiła nie kłamać.

- Podziwiałam twoją sylwetkę. - Wiatr rozwiewał jej włosy. - Jesteś wspaniale zbudowany.

- Dziękuję - rzekł z błyskiem w oku. - Czy dlatego przyjąłeś moje zaproszenie na kolację?

Roześmiała się.

- Nie. Przyjąłem je, bo lubię jeść. A ty dlaczego mnie zaprosiłeś?

- Spodobałaś mi się. Poza tym nie codziennie spotykam kobietę, która patrzy na mnie tak, jakby chciała oprawić w ramki i powiesić na ścianie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Brooke. - W twoim zawodzie to chyba nic nowego.

- Może. - Na moment oderwał wzrok od szosy i spojrzał na swoją pasażerkę. - Ale ty jesteś inna.

Czy wiedział, że sprawił jej tym stwierdzeniem największy komplement?

- Pewnie jestem - odparła cicho. - Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ ja też się różnię od większości sportowców.

Zabrał ją do greckiej restauracji, w której dźwięki buzuki mieszały się z korzennym zapachem potraw. Podczas gdy Parks nalewał jej drugą szklaneczkę ouzo, Brooke słuchała, jak kelner w zatłuszczonej fartuchu śpiewa, podając *souvlaki*. Kochała lokale z taką zwaną atmosferą. Wchłaniała ją wszystkimi zmysłami.

- O czym myślisz? - spytał Parks, wyrывая ją z zadumy.

- To takie pogodne miejsce. Tę restaurację mogłaby prowadzić dobra i szczęśliwa rodzina. Wyobraź sobie mamę i papę mieszkających w kuchni sosy, cięgiem córkę krojącą warzywa, zięcia obsługującego bar, wujka Stefosa przyjmującego zamówienia.

Parks uśmiechnął się.

- Pochodzisz z licznej rodziny?

- Nie - odparła krótko. Jej spojrzenie przygasło. Postanowił nie drążyć tematu.

- A gdy cię arna córka w końcu urodzi? - spytał.

- Ułoż dziecko w stojącej w rogu kołysce i dalej będzie kroić warzywa.

- Liczy się dobra organizacja?

- Współczesna kobieta, jeśli chce odnieść sukces, musi być dobrze zorganizowana.

Podniósł do warg szklanę z ouzo.

- A ty, odniosłaś sukces?

- Tak.

- W jakiej dziedzinie?

Pociągnęła łyk; podobała jej się ta rozmowa.

- W tym, co robię. A ty, Parks? Jesteś człowiekiem sukcesu?

- W tym momencie tak. - Uśmiech nadawał jego twarzy młodzieńczego uroku. - W

zawodzie baseballisty miewa się jednak górki i dołki. Piłka polecą nie tam, gdzie trzeba; miotacz wykona kilka narzutów, których nie odbijesz. Nie sposób przewidzieć, kiedy nastąpi kryzys ani jak długo potrwa.

Trochę jak w życiu, pomyślała: nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek wpadnie w dołek.

- Zdarzyło ci się coś takiego?

- Parokrotnie. - Wzruszył ramionami. Zaintrygowana pochyliła się do przodu.

- I co robi zawodnik, eby odczarować złą passę?

- Różne rzeczy. Zmienia pałkę. Koryguje ustawienie ciała. Wprowadza zmiany w diecie. Modli się. Rezygnuje z seksu.

Parsknęła śmiechem.

- Co najlepiej skutkuje?

Przysunął się bliżej i przeciągnął palcem po jej brwiach.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Przeszył ją dreszcz.

- Niech to zostanie twoją tajemnicą - odparła.

- Skąd pochodzisz? - Obrysował palcem jej policzek i brodę. Tak jak się spodziewał, skórę miała miękką, jedwabistą w dotyku.

- Znikąd.

Sięgnęła po szklankę. Zanim zdążyła ją podnieść, zacisnął rękę na jej dłoni.

- Ka dy skądś pochodzi.

- Nieprawda. Nie ka dy. Poglądził kciukiem jej nadgarstek.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

- Nikomu nie mówię o sobie wszystkiego - rzekła zgodnie z prawdą.

- No, dobrze. To co robisz?

- Kiedy?

- W yciu. Czym się zajmujesz?

- Reklamą - rzuciła lekkim tonem, wiedząc, że Parks weźmie ją za aktorkę, a nie reżyserkę.

- Mnie te to wkrótce czeka. - Skrzywił się. - Lubisz swoją pracę?

- Owszem, w przeciwnym razie bym jej nie wykonywała.

Zmrużył z namysłem oczy, po czym skinął głową.

- No tak, masz rację.

- Sądząc po twoim tonie, nie palisz się do tego pomysłu? - Cofnęła rękę. Kontakt fizyczny z Parksem Jonesem przeszkadzał jej w koncentracji.

- Nie bardzo. Będę musiał wypowiadać jakieś kretyńskie kwestie i paradować w cudzym ubraniu. - Nie odrywając od niej wzroku, owinał sobie wokół palca kosmyk jej włosów. - Ty to co innego. Masz fascynującą urodę. Naprawdę niezwykłą. Kiedy cię ujrzałem na trybunach, skojarzyłaś mi się z osiemnastowieczną pięknoscia. Taką, która nie może opędzić się od adoratorów.

- Pan mnie podrywa, panie Jones? - spytała ze śmiechem.

- Nie, panno Gordon. - Pociągnął ostrzegawczo za kosmyk, który trzymał w palcach. -

Kiedy przystąpisz do uwodzenia, nie będziesz musiała mnie o to pytać.

Złękła się, ale nie dała nic po sobie poznać.

- W porządku - oznajmiła. Patrząc na jego jasne włosy, uznała, e dla kontrastu musi go sfilmować z ponętą brunetką. - Umiesz jeździć? - spytała nieoczekiwanie.

- Jeździć?

- Konno.

- Tak. Bo co?

- Nic. A latać na lotni?

Na twarzy Parksa odmalował się wyraz zdumienia.

- Zabrania mi tego umowa z klubem, podobnie jak jazdy na nartach i udziału w wyścigach samochodowych. - Zmru ywszy oczy, przyjrzał się jej badawczo. - Mo e mi zdradzisz, o co chodzi?

- Nie. Zjemy deser? - Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Skinął na kelnera. Na wszelki wypadek postanowił mieć się na baczności. Pół godziny później szli przez parking, kierując się do jego samochodu.

- Zawsze jesz z takim smakiem? - spytał.

- Ilekroć nadarza się okazja.

Wsunęła się na miejsce, po czym nieświadoma tego, jak zmysłowe są jej ruchy, uniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się leniwie. Ktoś, kto sam nie pracował w restauracji, nie potrafi docenić, jak przyjemnie jest być gościem w lokalu. Smakowały jej potrawy i podobał się wieczór. Mo e dlatego, e po trzech godzinach z Parksem wciąż niewiele o sobie wiedzieli. Szczypta tajemniczości wzmaga apetyt.

Za kilka miesięcy będą się znali na wylot. Re yser siłą rzeczy musi wejść w swojego aktora, poznać jego przyzwyczajenia, psychikę. A takie będą ich relacje: aktor i re yser. Na razie jednak nie myślała o przyszłości; cieszyła się chwilą oraz towarzystwem przystojnego mę czyzny.

Usiadłszy koło niej, Parks ujął ją pod brodę.

- Powiesz mi, kim jesteś? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Jeszcze nie wiem.

- Zobaczymy się ponownie. - Było to bardziej stwierdzenie ni pytanie.

- Niewątpliwie. - Uśmiechnęła się tajemniczo. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Czuli, e Brooke nie do końca jest z nim szczerą, e gra, ale co? Poznał w swoim yciu wiele kobiet, począwszy od

wyrafinowanych elegantek, a skończywszy na rozentuzjanzmowanych fankach.

Między nimi istniało wiele pośrednich typów. Brooke Gordon nie mieściła się w adnej kategorii. Miała w sobie zarówno kobiecą zmysłowość, jak i dziecięcą wrażliwość. Z

początku chciał się tylko z nią przespać, teraz zapragnął czegoś więcej: ściągnąć z niej kolejne maski, dotrzeć do jej wnętrza, poznać ją dogłębnie. Seks byłby jedynie krokiem na drodze poznania.

Jechali w milczeniu, z włączonym radiem, w którym nadawano stare ballady. Brooke siedziała z głową wspartą o zagłówek, wpatrzona w rozgwieżdżone niebo. Po raz pierwszy od dłuższego czasu w trakcie spotkania z mężem nie była spięta ani zdenerwowana.

Podobało jej się, że Parks nie stara się na siłę zabawić jej rozmową i że nie próbował się do niej dobierać. Wiedziała, że pojeżdżają się normalnie, bez nonsensownej szamotaniny przy drzwiach. Czując się bezpieczna, zamknęła oczy i zaczęła rozmyślać o swoim jutrzejszym harmonogramie.

Obudził ją brak ruchu. Otworzyła oczy. Samochód z wyłączonym silnikiem stał na podjeździe przed jej domem. Obróciwszy głowę, zobaczyła Parksa, który przyglądał się jej z uśmiechem.

- Dobrze prowadzisz - powiedziała cicho. - Zwykle nie ufam kierowcom na tyle, żeby zasnąć podczas jazdy.

Z przyjemnością obserwował ją, kiedy spała. W promieniach księżyca wydawała się niemal postacią eteryczną: blada, z leciutkim rumieńcem na policzkach, z potarganymi przez wiatr włosami. Przyszło mu do głowy, że kiedy spędzi z Brooke upojną noc, właśnie tak będą wyglądać rano na poduszce.

- Teraz ty się gapisz.

Uśmiechnął się, ale nie był to ten sam czarujący, bez troski uśmiech, co wcześniej.

Jego oczy pozostały poważne.

- Có, oboje będziemy musieli do tego przywyknąć.

Wychyliwszy się, otworzył jej drzwi. Nie wzdrygnęła się przed kontaktem fizycznym, nie zesztywniała ani nie odsunęła. Po prostu siedziała zamyślona, jakby zastanawiała się nad tym, co powiedział.

- Podoba mi się twój dom - rzekł na ścieżce prowadzącej na werandę. - Miałem dom w Malibu.

- Już go nie masz?

- Zrobiło się tam za tłoczno. - Weszli po schodach.

- Jeśli wynoszę się z miasta, to nie po to, żeby ciągle nadziewać się na sąsiadów.

- Ja tego problemu nie mam. - Wokół panowała głucha cisza, przerywana jedynie melodyjnym

szemraniem strumyka i cykaniem niestrudzonych świerszczy. - Najbliżej si sąsiedzi mieszkają pół kilometra stąd.

- Wskazała ręką na wschód. - Nowo eńcy. Poznali się na planie serialu, którego produkcję niedawno zakończono. - Wsparta o drzwi uśmiechnęła się. - Nie wchodzimy sobie w drogę... Dziękuję za miły wieczór.

Wyciągając na po egnanie rękę, zastanawiała się, czy Parks ją uściśnie. Podejrzewała, e raczej zignoruje, a zamiast tego pocałuje ją w usta. Ciekawa była, jak całuje...

Wiedział, czego Brooke się spodziewa, w dodatku jej usta od samego początku go kusiły. Postanowił ją zaskoczyć. Ujął wyciągniętą dłoń. Oczy Brooke mówiły mu, e go nie odtrąci. Przytknął wargi do jej policzka.

Zazwyczaj pocałunek czy uścisk traktowała z dystansem, jakby oglądała je przez obiektyw kamery i zastanawiała się, czy dobrze wyjdą na filmie. Tym razem niczego nie oglądała, a wszystko czuła. Zalała ją fala po ądania. Chocia Parks tylko trzymał ją za rękę i lekko przyło ył wargi do jej policzka, miała wra enie, jakby pieścił całe jej ciało.

Wpatrując się w jej otwarte ze zdumienia oczy, Parks powoli odwrócił głowę i pocałował ją w drugi policzek. Nogi miała jak z waty, krew szumiała jej w uszach. Usłyszała cichy jęk, ale nie zdawała sobie sprawy, e wydobył się z jej piersi. Nadstawiła wargi do pocałunku. Ale Parks nie spełnił jej niemej prośby. Przesunął usta wy ej, muskając nimi jej nos, powieki, czoło.

Jeszcze nigdy nikomu nie uległa, nie straciła nad sobą kontroli, dlatego nie wiedziała, co się z nią teraz dzieje. On jednak wiedział. Najwy szym wysiłkiem woli powstrzymywał

się, eby nie zaciągnąć jej do łó ka. Delikatnie powiódł językiem po jej szyi, z prawej strony, potem z lewej. Ponownie usłyszał jej jęk. Oddech miała szybki, urywany. Wysoko w górach kojot zawył do księ yca.

Z podniecenia zakręciło mu się w głowie. Gdyby chciał, mógłby z nią zrobić absolutnie wszystko. Lecz ona sama wciąż pozostałaby poza jego zasięgiem. eby ją zdobyć, potrzebował czasu.

- Parks... - zamruczała zmysłowo. - Pocałuj mnie. Przycisnął wargi do jej ramienia.

- Całuję.

Miała wra enie, e usta jej płoną. Sądziła, e wie, co to głód, pragnienie. Tyle razy jej doskwierało. Ale jeszcze nigdy tak bardzo jak teraz.

- Nie, naprawdę pocałuj.

Spojrzał jej w oczy. Wyzierało z nich zwierzęce po ądanie. Usta miała rozchylone, czekające.

- Następnym razem - szepnął i odwróciwszy się, odszedł.

Zaskoczona, drąca z podniecenia, stała bez ruchu, odprowadzając go wzrokiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Lindo, masz promienieć szczęściem. - Brooke zerknęła na oświetleniowca, który skinął głową. - E.J., zrób powolny najazd, zaczynając od jej stóp.

W czarnej twarzy E. J. pojawił się błysk białych zębów.

- Z przyjemnością, szefowo - rzekł, zatrzymując kamerę na róz owych paznokciach aktorki.

- Jak tu gorąco... - jęknęła Linda, poprawiając ramiączko bikini.

Piękna, długonoga, jasnowłosa, opalona na złocisty brąz, wyciągnęła się na ręczniku.

Reklamowała popularny krem do opalania - Eden. Miała jedynie uśmiechnąć się ponętnie i zmysłowym szeptem oznajmić, e ma „rajską” opaleniznę.

- Nie pój się - poleciła jej Brooke. - Twoja skóra ma lśnić, ale nie od potu. Kiedy zaczniemy kręcić, policz w myślach do sześciu, potem wolno ugnij kolano. Licz dalej. Przy dwunastu weź głęboki oddech i prawą ręką przeczesz włosy. Patrząc w kamerę, powiedz swoją kwestię. Seksownym głosem.

- Do diabła z seksownym głosem! Ja się tu zaraz upiekę!

- Zaczynamy. Mo e się uda za pierwszym ujęciem. Akcja!

E. J. przesunął kamerę z paznokci na całą stopę, potem sfilmował długie, szczupłe nogi, zaokrąglone biodra, wąską talię, piersi przysłonięte mikroskopijnymi trójkątami materiału i doszedł do twarzy: wydatnych ust, równych białych zębów, wielkich niebieskich oczu. Wreszcie kamera odjechała, ukazując całą sylwetkę.

- Mam rajską opaleniznę - szepnęła Linda.

- Cięcie. - Brooke przetarła czoło. Mimo tenisówek na nogach miała wra enie, e piasek piecze ją w podeszwę. Chocia było parę minut po dziewiątej, na pla y panował

straszliwy skwar. - Kochanie, postaraj się wykazać nieco więcej entuzjazmu. Cała reklama opiera się na tobie.

- Dlaczego sama się nie postarasz? - burknęła Linda, opadając na wznak.

- Dlatego, e to tobie płacą, a nie mnie! - Trochę poniewczasie Brooke ugryzła się w język. Od spotkania z Parksem chodziła jak podminowana. Biorąc głęboki oddech, skarciła się w myślach: ycie osobiste nie ma prawa wpływać na sprawy zawodowe! Podeszła do naburmuszonej aktorki i kucnęła obok jej ręcznika.

- Lindo, wiem, e słońce grzeje niemiłosiernie. Ale mamy robotę do wykonania. Jesteś profesjonalistką...

- Wiesz, jak cię ko pracowałam nad opalenizną,

eby dostać tę nędzną

trzydziestosekundową rólkę?

Brooke pogładziła ją po ramieniu, wyra ając współczucie i zrozumienie.

- Więc postarajmy się, ebyś wypadła świetnie. Było po dwunastej, kiedy zaczęli zwijać sprzęt. E. J.

wyjął dwie puszki z zimnym napojem z przenośnej lodówki, którą wszędzie ze sobą woził.

- Łap, szefowo.

- Dzięki. - Przycisnęła zimną puszkę do czoła; dopiero po chwili zerwała kapsel i pociągnęła łyk.

- Myślałam, e nie skończymy. Linda potrafi być uparta, ale jeszcze nigdy nie miałam z nią tyle problemów, co dzisiaj.

- W zeszłym tygodniu zerwała z facetem - wyjaśnił E.J., po czym łapczywie wypił pół

puszki soku winogronowego.

- Czy jest coś, o czym ty byś nie wiedział, E.J.?

- spytała z uśmiechem.

- Nie ma. - Usiadł koło niej na klapie бага nika. Nale ał do niewielu pracowników Thorton Productions, którzy nie bali się Tygrysy, jak ją w firmie przezywano. - Wiem te , e dziś wieczorem wybierasz się na huczną imprezę u de Marca.

- Zgadza się. - Brooke zmru yła oczy z namysłem. Mo e będzie miała okazję odegrać się na Parksie Jonesie? Jeszcze długo po jego odjeździe stała w blasku księ yca, dr ąc z po ądania.

- Nie mogę się doczekać współpracy z Jonesem.

- E. J. opró nił puszkę do dna. - Facet genialnie łapie piłkę, nie mówiąc o tym, jak ją odbija! Wczoraj znów zdobył dwa obiegi!

- No i dobrze. - Brooke się skrzywiła.

- Nie lubisz baseballu? - E. J. zgniótl puszkę i wrzucił do torby na śmieci.

- Nie lubię.

- Oj, szefowo, lepiej zastosuj się do rady, którą dałaś Lindzie: więcej entuzjazmu. -

Trącił ją przyjaźnie łokciem. - Im lepsze wyniki osiąga Jones, tym większą siłę przebicia będzie miała nasza reklama. A jeśli jego drużyna znajdzie się w finale...

- Jeśli znajdzie się w finale - przerwała mu - to z pierwszym klępsem będziemy czekać do października.

E. J. podrapał się po brodzie.

- Hm. Taki ju jest show biznes. Brooke parsknęła śmiechem.

- Dobra, mądralo, zbierajmy się. Po południu mam wynajęte studio. Chcesz, ebym prowadziła?

- Nie. - E. J. zatrzasnął klępę bagażnika, po czym usiadł za kierownicą. - Lubię to miejsce.

- Jesteś tchórzem, E. J.

- Masz rację - przyznał wesoło. - Szczerze mówiąc, nie przepadam za podróowaniami z prędkością światła.

- Poprawiwszy na nosie słoneczne okulary, przekręcił klępczyk w stacyjce. Przez chwilę czule przemawiał do silnika, który zapalał się i gasł.

- Dlaczego nie kupisz nowego samochodu? Zarabiasz wystarczająco dużo o...

Silnik wreszcie zaskoczył. W nagrodę E. J. pogładził deskę rozdzielczą.

- To kwestia lojalności. Mam tę ślicznotkę od siedmiu lat. I będą nią jeździł jeszcze długo po tym, jak twoje cacko rozpadnie się na kawałki.

Brooke odchyliła w tył głowę i wypila do końca sok. E. J. był jedynym z jej współpracowników, który pozwalał sobie na takie uwagi, i pewnie dlatego darzyła go sympatią. Uważała go za jednego z najlepszych kamerzystów na Zachodnim Wybrzeżu.

Pochodził z San Francisco; jego ojciec był kierownikiem szkoły, matka właścicielką popularnego salonu kosmetycznego. Brooke kiedyś ich poznała i zastanawiała się, jak dwoje tak surowych, poukładanych ludzi mogło wydać na świat takiego beztrojskiego, niefrasobliwego lekkoducha uwielbiającego kobiety o bujnych kształtach i filmy pornograficzne.

No, ale co ona może wiedzieć o życiu rodzinnym? Zawsze stała z boku i z zazdrością obserwowała relacje między ojcem, matką a dziećmi. Usiadłszy wygodnie w połatany fotelu, zaczęła planować popołudniową sesję.

- Podobno kilka dni temu byłaś na meczu Kings i Valiants?

- I co z tego?

- Nic. Przedwczoraj wieczorem spotkałem na przyjęciu Brightona Boyda. Rok temu pracowaliśmy razem przy jakimś filmie. Miły facet.

Brooke przypomniała sobie, że widziała Boyda na trybunach; siedzieli niedaleko siebie. Rzuciła puszkę na zaśmieconą podłogę samochodu.

- I co z tego? - powtórzyła.

- Od lat kibicuje drużynie Kings. - Nastawiwszy radio na cały regulator, E. J.

kontynuował podniesionym głosem: - Zachwycał się grą Jonesa, zwłaszcza ostatnim odbiciem. - Ponieważ Brooke milczała, przez chwilę bębnił palcami o kierownicę w rytm nadawanej w radiu piosenki. - Brighton twierdzi, że Jones gapił się na ciebie jak sroka w gnata.

To jego określenie. Brightona.

Brooke z coraz większym zainteresowaniem oglądała mijany po drodze krajobraz.

- Powiedział, że lecąc za piłką, Jones podbiegł do twojego boksu. I że zamieniliście kilka słów.

- Ciągniesz mnie za język, E. J.? - spytała Brooke, wpatrując się w jego lustrzane okulary.

- O psiakość! Myślałem, że się nie skapujesz. Prawdziwy z ciebie mózgowiec!

Parsknęła rozbawiona. Wiedziała,

że odpowiedź: „Bez komentarza”, jedynie

spowoduje dalsze spekulacje, których wolała uniknąć. Postanowiła potraktować sprawę z humorem.

- Pytał o moje nazwisko.

- No i...?

- I nic.

- Dokąd poszliście? Zmarszczyła czoło.

- Nie powiedziałam, że gdziekolwiek poszliśmy.

- Nie każdego kibica na stadionie Jones pyta o nazwisko - zauważył kwaśno kamerzysta.

Brooke posłała mu lodowate spojrzenie, które każdego innego zmroziłoby, a tym samym zniechęciło do dalszych pytań.

- Jesteś jak stara plotkara, E. J.

- Wiem. No to co? Wybraliście się na kolację? Brooke poddała się.

- Tak. A potem się po egności.

- Hm, czyli facet nie jest takim bystrzakiem, na jakiego wygląda. - Poklepał ją po kolanie. - Ale mo e nie chciał podrywać łaski, z którą będzie współpracował przy reklamie.

- Nie wie, e będę go re yserować. - Niepotrzebnie się wygadała. Najchętniej cofnęłaby te słowa.

- Aha.

- Nie powiedziałam mu.

- Aha.

- Nie uważałam, eby to było konieczne. Spotkanie miało charakter czysto towarzyski.

Postanowiłam lepiej mu się przyjrzeć, eby się zastanowić, jak go najlepiej filmować.

- Aha.

Westchnęła głośno i skrzy owiała ręce na piersi.

- Zamknij się, E. J., i skup na prowadzeniu.

- Jasne, szefowo.

- Jeśli o mnie chodzi, mo e wziąć tę swoją złotą rękawicę, pałkę i się wypchać.

E. J. pokiwał z powagą głową.

- Pewnie, szefowo.

- Zarozumiały, bezduszny drań.

- Ciekawy musiał być ten wasz wieczór.

- Nie chcę o tym mówić. - Kopnęła le ącą na podłodze pustą puszkę.

- W porządku - zgodził się kamerzysta.

- To typ faceta, który myśli, e kobieta poleci na niego tylko dlatego, e jest w miarę przystojny, w miarę inteligentny i osiąga świetne wyniki w sporcie.

- Człowiek, który dostał stypendium Rhodesa na Oksfordzie, nie mo e być głupi -

stwierdził E. J., zje d ając z autostrady.

- Co takiego?!

- Miał stypendium Rhodesa. Brooke otworzyła usta.

- artujesz!

- Tak wyczytałem w „Sports View”. - E. J. wzruszył ramionami. - Właśnie z powodu studiów zaczął profesjonalnie grać w baseball dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat.

- E, bzdury - ucięła Brooke, ale czuła, e to prawda. Resztę drogi do studia pokonali w milczeniu.

Kalifornijska rezydencja de Marca była imponująca. W porównaniu z nią posiadłość Claire wydawała się skromna i bezpretensjonalna. Ogromna, zbudowana w kształcie litery E, olśniewająco biała, miała dwa wewnętrzne dziedzińce: w jednym znajdował się basen z miniaturowym wodospadem, w drugim ogród pełen egzotycznie pachnących roślin.

Kiedy Brooke przybyła na miejsce, przyjęcie się rozkręcało. Goście krążyli po domu i ogrodzie, a szum rozmów mieszał się z dźwiękami harfy. Powietrze przesiąknięte było wonią drogich perfum i pikantnych potraw.

Przeciskając się między grupkami gości, Brooke wypatrywała bufetu. Zewsząd dolatywały ją strzępy rozmów:

- Ale , skarbie, co ty mówisz? On nie przyciągnie widzów do serialu. W zeszłym tygodniu w „Ma Maison”... sama widziałaś, jak wygląda.

- Na pewno podpisze. Po fiasku w Anglii marzy o powrocie do Hollywood.

- Nie potrafi zapamiętać ani jednej kwestii!

- Porzucił ją dla garderobianej...

- Ale , moja droga, tylko spójrz na tę suknię! Śmietanka hollywoodzka, pomyślała Brooke, podchodząc do uginającego się stołu.

- Wiedziałam, e cię tu znajdę.

Nadziawszy na widelec kawałek pasztetu, Brooke obejrzała się przez ramię.

- Cześć, Claire - powiedziała, przetykając krakersa.

- Miłe przyjęcie.

- Oczywiście ty oceniasz je po jakości potraw. Claire powiodła wzrokiem po szczupłej sylwetce swojej podwładnej. Brooke wystąpiła w jednoczęściowym komplecie z miękkiej, cieniutkiej kozłej skóry przewiązanym w talii szerokim paskiem z grubą metalową klamrą.

Włosy, zaplecione przy samej głowie, opadały swobodnie na ramiona i plecy. Przed wyjściem z domu przyczerniła tuszem rzęsy, lecz o reszcie makijażu zapomniała.

- Jakie to niesprawiedliwe... - westchnęła Claire.

- Bez względu na to, co na siebie włożysz, wyglądasz fantastycznie.

- Nie narzekaj, te świetnie wyglądasz - powiedziała Brooke, spoglądając na strój Claire, która prezentowała się niezwykle elegancko w jasnoniebieskiej sukience z lejącego się muślinu. - Daj tu coś do picia?

Claire zatrzymała przechodzącego obok kelnera w czerwonej liberii i wzięła z tacy dwa kieliszki szampana.

- Trzymaj, tylko się nie upij. Państwo de Marco mają bardzo staroświeckie poglądy - ostrzegła ją.

- Postaram się nie kompromitować firmy - odparła Brooke, odpowiadając skinieniem głowy na pozdrowienie komika, którego niedawno reyserowała w reklamie samochodów. -

Dlaczego tu nie ma talerzy?

- Zjesz później. Na razie chcę, ebyś poznała agenta Parksa Jonesa.

- Nienawidzę z pustym łożkiem rozmawiać z agentami. O psiakość, tam jest Vera.

Powinam była się domyślić, e tu będzie.

Szczupła, jasnowłosa modelka, uosobienie typowo amerykańskiej urody, posłała Brooke lodowaty uśmiech. Chocia często się spotykały zarówno na płaszczyźnie zawodowej jak i prywatnej, od pierwszej chwili czuły do siebie instynktowną antypatię.

- Schowaj pazurki - szepnęła Claire. - De Marco zamierza ją wykorzystać.

- Nie chcę z nią pracować, Claire, błagam! Niech komu innemu zatruwa życie. Ju wolę tego baseballistę.

- Jeszcze o tym pogadamy. - Nagle Claire się rozpromieniła. - Lee, właśnie rozmawialiśmy o tobie! Poznajcie się: Lee Dutton, Brooke Gordon. Brooke będzie reyserować reklamówkę z Parksem. - Matczynym gestem poklepała Brooke po ramieniu. -

Należy do najlepszych w tym fachu.

Brooke uśmiechnęła się w duchu; publicznie Claire zawsze wychwalała ją pod niebiosa, ale kiedy były same, skąpiła pochwał. Lee Dutton uściśnął wyciągniętą na powitanie dłoń. Był to mąż czyżna średniego wzrostu, dość krępej budowy, lekko łysiejący, o pięknych czarnych oczach. Brooke, która często kierowała się pierwszym wrazeniem, z miejsca go polubiła.

- Za długą i owocną współpracę - powiedział, stukając się z nią kieliszkiem. - Parks nie może się

doczekać...

- Naprawdę? - Brooke przypomniała sobie niechęć Parksa do występu w reklamie. - Ja również .

Claire posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Gdzie on się podziewa? Obie chciałybyśmy go poznać.

- Pewnie gdzieś stoi otoczony wianuszkami adoratorek. - Nie spuszczać z Brooke przenikliwego wzroku, Lee uśmiechnął się niczym dobry wujek dumny z podbojów siostrzeńca.

- Biedaczek - mruknęła. - No có , za popularność się płaci.

- Kochanie, musisz koniecznie spróbować pasztetu...

- Ju próbowałam, Claire. Panie Dutton... - Brooke ponownie zwróciła się do agenta. -

Proszę mi opowiedzieć coś o Parksie. Od lat podziwiam jego grę.

- Siedzi pani rozgrywki baseballowe? Brooke upiła łyk szampana.

- Oczywiście. Byłyśmy z Claire na meczu zaledwie dwa lub trzy tygodnie temu.

Prawda, Claire?

- Prawda - mruknęła Claire. - A ty, Lee, często oglądasz Parksa w akcji?

- Stanowczo zbyt rzadko. Ale mam bilety na niedzielny mecz - rzekł, postanawiając, e musi je koniecznie zdobyć. - Gdyby zechciały mi panie towarzyszyć...

- Z przyjemnością - oznajmiła radośnie Claire. Lee Dutton zauważył przelotny grymas na twarzy Brooke.

- O, widzę Parksa. Parks! - zawołał baseballistę. Na moment rozmowy ucichły, wszystkie głowy zwróciły się w tę samą stronę.

W pierwszej chwili na widok Brooke stojącej koło Lee Duttona oraz szefowej Thorton Productions Parksa ogarnęło zdziwienie. Potem, jak poprzednimi razy, kiedy ją widział, załapała go fala po ądania. Od czasu wspólnej kolacji specjalnie wstrzymywał się z telefonem do niej, licząc na to, e mo e osłabną emocje, jakie Brooke w nim wzbudza. Nie osłabły.

Wolnym krokiem, nie śpiesząc się, przeciskał się przez tłum. Niekiedy ktoś kładł mu rękę na ramieniu, wtedy przystawał, zamieniał parę słów, po czym przeproszał rozmówcę i ruszał dalej. Niecałe dwie minuty później dotarł do Brooke.

Uśmiechnęła się niepewnie, zastanawiając się, jak Parks zareaguje, kiedy Dutton ich sobie przedstawi. Poczowała niepokój graniczący z lękiem, ale szybko wzięła się w garść. W

końcu to on zadzwonił do niej bladym światłem, aby z nią się umówić.

- Parks, poznaj panią Claire Thorton, producentkę reklam z twoim udziałem.

Lee zaborczym gestem, jakby chciał wszystkim mężczyznom na przyjęciu powiedzieć, by trzymali się od niej z daleka, otoczył Claire ramieniem. Parksa rozbawiło jego zachowanie, Brooke rozłościło.

Miło mi - powiedział Parks. Miał ochotę dodać, że po przeczytaniu kilku wzmianek w prasie spodziewał się ujrzeć kostyczną jędzę, a nie sympatyczną kobietę o przyjaznych niebieskich oczach.

- Myślę,

że dobrze będzie nam się współpracowało, panie Jones. Właśnie opowiadałam pańskiemu agentowi, jak bardzo mnie i Brooke podobał się mecz Kings z drużyną Valiants.

- Tak? - Parks uśmiechnął się. A więc Brooke przyjaźni się z szefową firmy? Nic dziwnego. Pewnie często się widują. Podejrzywał, że aktorkę o takiej urodzie często zatrudnia się do reklam. - Dobry wieczór. Znow się widzimy... - Ucisnął jej dłoń.

- To prawda. - Wypiwszy łyk szampana, Brooke czekała nerwowo na kolejną odsłonę.

Parks wciąż trzymał jej rękę.

- Claire twierdzi, że panna Gordon należy do najlepszych fachowców w branży -

poinformował Parksa Lee. - Powinniście się bliżej poznać, skoro macie współpracować.

- A będziemy, tak? - Gładził kciukiem jej nadgarstek.

- Do tak dużej kampanii reklamowej deleguję swoją najlepszą reżyserkę - rzekła Claire, z zaciekawieniem obserwując stojącą obok parę.

Brooke poczuła, jak palce sportowca zaciskają się na jej dłoni. Wyraz jego twarzy niczego nie zdradzał. By stłumić jęk bólu, wypita pośpiesznie resztę szampana.

- A więc kręci pani reklamy? - spytał Parks.

- Tak. - Bezskutecznie próbowała oswobodzić rękę.

- Fascynujące. - Sięgnąwszy po pusty kieliszek Brooke, odstawił go na stół. - Państwo wybaczą... - powiedział do Claire i Duttona.

Ruszył przez pachnący, obwieszony brylantami tłum gości, popychając przed sobą Brooke. Przyspieszyła kroku, aby wyglądało na to, że towarzyszy Parksowi, a nie że jest na siłę prowadzona.

- Puść mnie - syknęła, uśmiechając się promiennie do znajomego reżysera. - Złamiesz mi rękę.

- Nie ma obawy.

Skręcił w stronę otwartych drzwi prowadzących do ogrodu, licząc, że tam znajdzie jakiś cichy kąt. Na zewnątrz jednak grał trzyosobowy zespół, a na murawie już kręciło się kilkanaście par. Zanim Parks z Brooke zdążyli oddalić się ścieżką w miejsce bardziej ustronne, ktoś zawołał jej imię. Parks natychmiast przyciągnął ją do siebie.

Zaskoczona wstrzymała oddech. Ścisnął ją tak mocno, że nie była w stanie nabrać powietrza.

- Pomachaj do niego - szepnął jej do ucha. - Nie mam ochoty na żadne towarzyskie pogaduszki.

Nie chcąc się udusić, posłusznie wykonała polecenie. W myślach już planowała zemstę. Kiedy rozluźnił uścisk, wzięła głęboki oddech, po czym dała upust furii.

- Ty brutalu! Tylko dlatego, że pół Ameryki za tobą szaleje, myślisz, że mogę cię popychać i tarmosić? Nie oczekuję sobie takiego traktowania! Słyszysz?!

Z całej siły nadepnęła mu na nogę. W odpowiedzi ponownie pochwycił ją w ramiona i ścisnął tak, że znów brakło jej powietrza.

- Pięknie tańczysz - powiedział szeptem, po czym ugryzł ją lekko w ucho.

Poczuła złość, lecz, co gorsza, poczuła również podniecenie. O Chryste, tylko tego brakowało! - pomyślała. Mimo że zespół zaczął grać szybszą melodię, Parks trzymał ją mocno w objęciach i kołysał się wolno w rytm poprzedniego utworu.

- Nie mam czym oddychać - ostrzegła go zdziwiona, że człowiek tak szczupłej budowy może być tak silny. - Zaraz zemdleję, a ty będziesz musiał się tłumaczyć.

- Nie zemdlejesz - mruknął, powoli przesuwał się na skraj ogrodu. - A osobą, która powinna się tłumaczyć, jesteś ty, nie ja.

Opuścił ramiona, zanim jednak Brooke zdążyła odetchnąć z ulgą, pociągnął ją w stronę krzewów azalii.

- Do jasnej cholery...

Nagle urwała, bo znów znaleźli się w domu, wśród jaskrawych świateł, śmiechu i rozmów. Nie zatrzymując się, Parks wyprowadził ją na centralne patio, a stamtąd na przyległy dziedziniec z basenem.

Nie docierała tu muzyka ani gwar rozmów. Ciszę zakłócał jedynie szum wodospadu.

Brooke dostrzegła kilka par, bardziej skupionych na sobie niż na tym, co się dzieje. Parks przystanął na końcu basenu, tu przy wysokiej ścianie, po której spływała woda.

- Lubisz intrygi, tak?

Brooke uniosła twarz i popatrzyła mu w oczy.

- Nie wiem, o czym mówisz - oznajmiła.

- Czy by?

Spodziewała się, że będzie zły, ale tłumiona wściekłość, którą ujrziała w jego oczach, ją zdumiała. Czując, jak serce jej wali, przystąpiła do ataku.

- Sam jesteś sobie winien! To ty za ądałeś, ebym podała ci swoje nazwisko. To ty obudziłeś mnie o szóstej rano, eby się ze mną umówić. Ja tylko dałam się zaciągnąć na mecz.

Chciała go odepchnąć, wrócić na przyjęcie, ale przygniótł ją do ściany.

- Nie spuszczałaś ze mnie wzroku - rzekł. - I podczas meczu, i podczas kolacji.

Powiedz: jak wypadłem?

- Chcesz wiedzieć? - spytała. - Dobrze. A więc w ruchach bardziej przypominasz tancerza niż sportowca. Kamera to lubi. Masz sylwetkę, na której ubrania leżą doskonale.

Potrafisz być czarujący. Twarz bardzo ciekawa. Mógłbyś nią reklamować wiele różnych produktów. Emanujesz seksem. Patrząc na ciebie, kobiety chciałyby, eby ich mężowie i narzeczeni byli do ciebie podobni. Reklamy, co pewnie zauważyłeś, adresowane są głównie do kobiet, bo to one stanowią większość kupujących.

Zamierzała wyprowadzić go z równowagi. Był tego świadom, mimo to nie potrafił

opanować irytacji.

- Innymi słowy: nadaję się?

- Och, tak, jak najbardziej - odparła zadowolona, e przynajmniej w ten sposób może się zemścić. Odwiozłszy ją po randce do domu, nie powinien był zostawiać jej dręcej z podniecenia. - Jesteś rozpoznawalny, cieszysz się dużą popularnością, a będziesz się cieszył

jeszcze większą po emisji pierwszej reklamy. Claire uważa, e gdyby udało ci się dotrzeć do finału, to by znacznie wpłynęło na sprzedaż kolekcji de Marca.

- Uczynię, co w mojej mocy - oznajmił ironicznym tonem. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, kim jesteś?

- Powiedziałam.

Przysunął się bliżej. Poczwała zapach wody kolońskiej.

- Nie powiedziałaś.

- Powiedziałam, e kręcę reklamy.

- Dobrze wiedziałaś, e wezmę cię za aktorkę.

- To ju twój problem. - Wzruszyła ramionami. - Ja niczego takiego nie mówiłam.

Zresztą co za różnica, czym się zajmuję?

Doleciał ją przytłumiony śmiech oraz szmer wodospadu.

- Nie lubię takich gier - stwierdził krótko Parks. - Chyba e znam zawodników i wiem, w co gramy.

- W nic nie będziemy grać. Po prostu będziesz grzecznie wykonywał moje polecenia.

- W porządku. Na planie ja słucham ciebie. - Powściągając złość, skinął głową. - A poza planem?

- Poza? Nie ma adnego poza - rzekła stanowczo.

- Hm... - Przysunął się jeszcze bliżej. - Nie podobają mi się takie zasady. Trzeba je zmodyfikować.

Tym razem była przygotowana: nie zamierzała mu pozwolić na serię drobnych, leciutkich pocałunków, które wprawiłyby jej ciało w drżenie. Przeszyła go hardym wzrokiem.

Mijały sekundy. Nie odrywał oczu od jej twarzy. Nie spotkała dotąd mężczyzny, który tak długo wytrzymałby jej spojrzenie. Po raz pierwszy od lat miała wrażenie, e jej sekretna broń ją zawiodła.

Nagle Parks podniósł rękę i zrobił coś, o czym marzył od samego początku. Wsunął

palce w jej gęste, lśniące włosy, po czym pochylił głowę i przywarł ustami do jej ust.

Świat zawirował jej przed oczami. Usiłowała się wzięć w garść, nie reagować na pocałunek, nie jęczeć z rozkoszy. Obejmując ją mocno, aby przypadkiem mu nie uciekła, bawił się jej wargami: to lekko je skubał, to muskał, to znów miał dół. Nie potrafiła stawić mu oporu. Przestała się wyrywać.

Jej nieoczekiwana uległość podziałała na niego podniecająco. Brooke nie należała do kobiet słabych, uległych, a jednak ilekroć ją całował, nie walczyła z nim; poddawała się jego pieszczotom. Na złość odpowiadała złością, na siłę siłą, a na łagodność łagodnością.

Odwzajemniała pocałunki, pragnęła ich coraz więcej. Upajała się dotykiem jego rąk, które powoli, leniwie błędziły po jej ciele. Kiedy jednak pociągnął za długi suwak, który zaczynał się przy szyi, a kończył pod pępkiem, nieśmiało zaprotestowała.

Uniósł głowę.

- Muszę cię dotknąć - szepnął. Delikatnie pogładził jędrną pierś, po czym przesunął

dłoń niżej do płaskiego, drżącego z podniecenia brzucha. - Któregoś dnia będę cię całą pieścił. Będę

cię dotykał wszędzie, badał twoje ciało centymetr po centymetrze. - Wrócił do piersi i zacisnął na niej palce. - Kochając się z tobą, będę obserwował twoją twarz.

Ponownie zbliżył usta do jej ust, po czym leniwym ruchem podciągnął suwak i objął ją w talii.

- Pocałuj mnie, Brooke. - Potarł nosem o jej nos. - Tak naprawdę mnie pocałuj.

Podniecona szeptem, uwiedziona dotykiem, rozchyliła wargi i zaczęła zwiedzać wilgotne zakamarki jego ust. Z początku niepewnie, potem coraz śmieiej ocierała się biodrami o jego biodra, chwyciła w palce jego łokci. Kiedy poczuł, że za moment straci kontrolę, cofnął się. Poznał Brooke trochę lepiej, ale wciąż za mało. Stale te pamiętał, że ma z nią rachunki do wyrównania.

- W pracy, podczas kręcenia reklamy, obowiązują twoje zasady. - Patrząc jej w oczy, zastanawiał się, ile jeszcze razy zdoła puścić ją wolno, zamiast kochać się z nią do upadłego. -

Kiedy nie pracujemy, obowiązują moje.

- Ja w nic nie gram - oznajmiła drącym głosem. Uśmiechnąwszy się, potarł kciukiem jej nabrzmiałą wargę.

- Wszyscy gramy. Niektórzy robią to bez przerwy. I wcale nie mam na myśli zawodowych sportowców. - Zabrał rękę i cofnął się krok. - Oboje nas czeka zadanie do wykonania. Podejrzewam, że ani ty, ani ja nie jesteśmy zbyt szczęśliwi z tego powodu. Myślę jednak, że twój stosunek do mnie nie będzie miał wpływu na ostateczny rezultat...

- To prawda - przyznała Brooke. - Mogę kogoś nienawidzić, a muszę filmować go tak, by wypadł fantastycznie.

- Lub eby wypadł jak krety. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Bystry jesteś.

- Ale tego nie zrobisz, bo jesteś profesjonalistką. Bez względu na to, co się między nami wydarzy, powierzoną ci pracę wykonasz sumiennie.

- Owszem, wykonam sumiennie. - Odsunęła się od kamiennej ściany. - Ale między nami nic się nie wydarzy.

- Có , po yjemy, zobaczymy... Jadłaś ju ? Zmarszczywszy czoło, przyjrzała mu się spode łba.

- Nie.

- Zaraz ci coś przyniosę. - Poklepał ją przyjaźnie po ramieniu i znikł z jej pola widzenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie mogła uwierzyć, że słoneczne niedzielne popołudnie spędza na stadionie baseballowym. A co dziwniejsze, że świetnie się bawi. Mecz miał być karą za kilka ciętych uwag, które rzuciła podczas przyjęcia u de Marco, ale już po kilkunastu minutach przekonała się, że Edna nie przesadziła, twierdząc, że baseball to coś więcej niż odbijanie piłki i bieganie.

Poprzednim razem była zbyt zajęta analizowaniem atmosfery na stadionie, oglądaniem widzów, no i obserwacją samego Parksa. Tym razem skupiła się na grze. Ilekroć musiała robić coś, na co nie miała ochoty, świadomie wprawiała się w odpowiedni nastrój. Denerwowali ją ludzie, którzy narzekają, zamiast twórczo myśleć. Przecież każda sytuację można obrócić na swoją korzyść. Nawet coś, co nie sprawia nam przyjemności, może mieć wartość poznawczą.

Baseball, jak się przekonała, był grą niezwykle wyrafinowaną. Sukces w znacznej mierze zależał od strategii. A strategia zawsze ją fascynowała. Oczywiście dużą rolę odgrywało też zwykłe szczęście. Zdaniem Brooke zaś, szczęście na równi z talentem potrzebne jest do osiągnięcia sukcesu. Nie tylko w sporcie, w każdej dziedzinie życia.

I tym razem tłum kibicował równie głośno i żywiołowo. Widzowie ani przez moment nie siedzieli spokojnie. Na trybunach zapanowało istne szaleństwo. Śpiewy, krzyki i gwizdy rozbrzmiewały bez przerwy. Pewnie dlatego, że od pierwszej zmiany utrzymywał się wynik remisowy.

Tego popołudnia wiele rzeczy intrygowało Brooke; nie tylko mecz, również Lee Dutton. Był to sympatyczny człowiek, trochę niechlujny z wyglądu, mówiący z lekkim brooklyńskim akcentem. Miał na sobie koszulkę polo oraz kraciaste spodnie, które podkreślały jego tuszę. Jedną rzecz zdecydowanie wyróżniała go spośród tłumu: przenikliwe, czarne oczka.

Wydawał się przesadnie zainteresowany Claire. Stała jej dotykał, to gładził po ręce, to obejmował, to poklepywał po kolanie. Ku zdziwieniu Brooke, Claire bynajmniej to nie przeszkadzało; nie próbowała go zniechęcić lodowatym uśmiechem czy uszczypliwym komentarzem. Nie tylko jej nie przeszkadzało, ale chyba sprawiało przyjemność. A może po prostu starała się być miła, ponieważ zależało jej na takim ważnym kliencie jak de Marco i takim znanym sportowcu jak Parks Jones? W każdym razie Brooke postanowiła mieć ich na oku, to znaczy swoją szefową i Duttona. To, że Claire zbliżyła się do pięćdziesiątki, nic nie znaczyło; dojrzałe kobiety te bywają naiwne i dają się wykorzystać.

Najbardziej jednak podobał się jej Parks w akcji. Na boisku był w swoim żywiole.

Zresztą na przyjęciu u de Marca również. W otoczeniu bogaczy, z kieliszkiem oryginalnego francuskiego szampana, wydawał się całkiem odprężony. No ale dlaczego miałby czuć się źle lub nie na miejscu?

Zebrała o nim trochę informacji. Pochodził z bardzo zamożnej rodziny. Potężny, wart wiele milionów dolarów koncern Parkinson Chemicals prowadziło już trzecie pokolenie Parkinsonów. Parks miał dwie siostry, które bogato wyszły za mąż. Ale to on był głównym spadkobiercą i nosił, co prawda w skróconej formie, rodowe nazwisko. Niestety, zamiast iść w ślady ojca i dziadka, Parks pokochał baseball.

Miłość do baseballu nie wygasła, kiedy studiował na uniwersytecie oksfordzkim. Z

uroczystości wręczenia dyplomów poleciał prosto na obóz treningowy Kings. Ciekawe, jak na to zareagowała jego rodzina. Rok później został przyjęty do drużyny. Gra w niej bez przerwy od dziesięciu lat.

Zatem nie kierowała nim chęć wzbogacenia się, lecz autentyczna pasja. Możliwe dlatego gra z takim zapałem. U de Marca zachowywał się identycznie jak podczas meczu: dokładnie wiedział, co robi. Lubi mieć kontrolę, zarówno w życiu, jak i na boisku. Brooke rozumiała to, ceniła taką postawę, ale zastanawiała się, jak w tej sytuacji będzie przebiegała ich współpraca na planie.

Stał na drugiej mecie, rozmawiając z zawodnikiem drugometowym. Trwała siódma zmiana. Drużyna przeciwna wprowadziła do gry nowego miotacza. W powietrzu wyczuwało się ogromne napięcie.

- Jeśli teraz się uda, kingsi obejmą prowadzenie - powiedział Lee, chwytając Claire za rękę.

- Właściwie dlaczego wymieniono miotacza? - spytała Brooke. Pomyślała sobie, że byłaby wściekła, gdyby ją tak potraktowano.

Lee Dutton uśmiechnął się nieco protekcyjnie i jak dziecku zaczął wyjaśniać niuanse gry.

- Ja bym w połowie filmu nie wymieniała kamerzysty!

- A gdyby facet nie potrafił nastawić ostrości?

- No tak, masz rację - przyznała, częstując się orzeszkami.

Posunięcie okazało się słuszne, ponieważ miotacz wyeliminował trzech kolejnych pałkarzy. Parks wciąż tkwił na drugiej mecie, jego kolega na trzeciej. Kibice wrzeszczeli, przeklinali sędziego, złorzeczyli pałkarzom.

- Jaka miła sportowa atmosfera - zauważyła kwaśno Brooke, kiedy usłyszała za plecami serię epitetów pod adresem ostatniego pałkarza.

- A ebyś wiedziała, co się dzieje, kiedy przegrywamy! - powiedział ze śmiechem Lee, obejmując Claire.

Brooke popatrzyła pytająco na przyjaciółkę, ale ta z niewinną miną oznajmiła, że entuzjazm może na wyrażać na wiele sposobów.

Dziwna z nich para, pomyślała Brooke, po czym jak zwykle oparła się łokciami o poręcz, aby obserwować dalszy ciąg meczu. Parks zerknął na nią tylko raz, kiedy wchodził

na boisko, potem zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Trochę ją to złościło. Był pierwszym mężczyzną, który ją zainteresował od czasu niefortunnego związku sprzed dziesięciu lat.

Ósmą zmianę Kings zaczęli od gry w obronie. Przyglądając się Parksowi, Brooke zastanawiała się, o czym myśli, kiedy stoi na trawie, czekając na piłkę.

Czując, jak słońce prać y go w kark, marzył o zimnym prysznicu i galonie piwa.

Spojrzał na miotacza i z zadowoleniem skinął głową, potem zerknął na pałkarza. Miał

fantastyczną pamięć, która fascynowała, a jednocześnie irytowała jego przyjaciół i rodzinę.

Właściwie zapominał tylko to, o czym chciał zapomnieć, reszta informacji czekała w odpowiednich szufladkach. Teraz przywołał w pamięci wyniki pałkarza, miotacza... a tak e zapach perfum Brooke Gordon.

Cały czas miał świadomość, e Brooke siedzi kilkanaście metrów dalej. Jej wzrok parzył go równie mocno jak promienie słońca. To głównie z jej powodu marzył o zimnym prysznicu. Patrząc, jak Ripley wykonuje kilka próbnych narzutów, wyobraził sobie, jak zdziera z Brooke ubranie. Tak, to ju niedługo. Po chwili skoncentrował się na grze.

Narzut piłki i potę ne odbicie. Piłka uderzyła w ziemię przed trzecią metą, potem wzbiła się wysoko w powietrze. Biegacz ślizgiem zbli ał się do trzeciej mety. Nie było czasu na myślenie, nale ało zdać się na instynkt. Parks skoczył, złapał piłkę i dotarł do trzeciej mety dosłownie ułamek sekundy przed biegaczem.

Widzowie poderwali się z miejsc, szaleli z radości. Brooke siedziała wpatrzona w boisko. Nie zauwa yła, e Lee uściśnął Claire i cmoknął ją w policzek. Serce waliło jej jak młotem. Narzut, odbicie i chwyt: to wszystko trwało jedno okamgnienie. Zamknawszy oczy, widziała powtórkę w zwolnionym tempie: wspaniały wyskok Parksa, rozciągnięcie ciała, pochwycenie piłki, powrót na metę, odrzucenie piłki. Wiedziała, e zawodnicy muszą być szybcy, sprawni, doskonale wygimnastykowani, lecz ilu ma tak pełne gracji ruchy tancerza?

Obiecała sobie, e następnym razem przyniesie kamerę. Następnym razem? Tak, zamierza się wybrać na kolejny mecz. Zastanawiała się, czy chodzi jej wyłącznie o Parksa, czy mo e zaczyna ją wciągać baseball?

- Niesamowity, nie? - Lee wychylił się zza Claire i poklepał Brooke po plecach.

- Owszem - przyznała. - Czy to było typowe zagranie?

- Dla Parksa tak. - Lee zaciągnął się cygarem. Przez chwilę milczał zadumany. -

Podczas gry Parks jest najbardziej opanowanym i zdyscyplinowanym facetem, jakiego znam.

- I dobrze. - Claire zało yła nogę na nogę. - Miejmy nadzieję, e oka e się równie utalentowanym aktorem jak graczem i e z takim samym entuzjazmem przystąpi do filmu jak do meczu.

- Je eli Parks - aktor będzie miał dziesięć procent talentu Parksa - baseballisty, to nakręcenie reklamy nie powinno stanowić większego problemu - stwierdziła Brooke.

- Jeszcze obie się zdziwicie, do czego ten człowiek jest zdolny - oznajmił Lee.

Wzruszywszy ramionami, Brooke ponownie oparła się o poręcz.

- Oby tylko potrafił słuchać uwag reysera.

Z narastającym napięciem oglądała dziewiątą zmianę. Wynik wciąż był remisowy, drużyna w ataku nie potrafiła pokonać drużyny w obronie. Nagle Brooke uzmysłowiła sobie, że powinna się nudzić, a ona nie tylko się nie nudzi, ale siedzi jak na szpilkach i śledzi wszystko z zapartym tchem. Chciała, aby Kings wygrali. W pewnej chwili o mało nie zaczęła wymyślać sędziemu, który ogłosił aut i dał znak, aby pałkarz opuścił swoje stanowisko. Po prostu udziela mi się ta atmosfera, pocieszyła się w duchu. Kiedy wszedł

kolejny pałkarz, z całej siły zacisnęła dłonie na poręczy, jakby to mogło mu pomóc w dalekim odbiciu piłki.

- Moje będzie dogrywka - oznajmił Lee.

- Dopiero jeden został wyautowany - warknęła Brooke, nie odwracając się.

Pałkarz uderzył w piłkę, posyłając ją niezbyt daleko. Tłum ryknął. Zupełnie jakby zdobył pełen obieg, pomyślała Brooke, starając się zignorować łomot serca. Nic nie powiedziała, kiedy pałkarz został zdjęty. Jak oni wytrzymują to napięcie? - zastanawiała się, obserwując graczy na metach rozmawiających z zawodnikami obrony. Na ich miejscu nie potrafiłyby uciąć sobie przyjaznych pogawędek z przeciwnikiem.

Wreszcie stanowisko pałkarza zajął Parks. Ryk tłumu wzmógł się. Napięcie sięgało zenitu. Ale po Parksie nie widać było zdenerwowania, jedynie maksymalne skupienie. Brooke oddychała z trudem. Serce podeszło jej do gardła.

- Pokaż im, co potrafisz - szepnęła. - Poślij piłkę na trybuny.

Wziął zamach, ale pierwszej piłki nie uderzył. Potem, jak gdyby nigdy nic, uniósł

rękę, prosząc o czas, po czym schylił się, by zawiązać sznurowadło. Brooke przygryzła wargę, w duchu puszczając wiązkę przekleństw. Kibice dopingowali go, rycząc na całe gardło. Nie zwracając na nich uwagi, wrócił na miejsce.

Odbił piłkę wysoko i daleko. Brooke była pewna, że tak jak za pierwszym razem piłka spadnie na trybuny, ale nie, spadała tu przed siatką.

- Złapie, złapie! - darł się Lee. Środkowozapolewy złapał piłkę na terytorium faulu.

Zanim Brooke zdążyła się zdenerwować, tłum wpadł w szal. Nie był to jednak krzyk zawodu, lecz radości. Kiedy biegacz dotknął mety, zawodnicy Kings wybiegli z boksu na boisko.

- Parks jest wyautowany! - oburzyła się Brooke.

- Dzięki niemu drużyna zdobyła punkt.

- Wiem, ale i tak uwa am to za niesprawiedliwe. Lee pogłaskał ją po głowie.

- Nie przejmuj się. Zdobył dziś kolejne punkty oraz wdzięczność wszystkich fanów.

Jego średnia na tym nie ucierpi.

- Brooke nie lubi sztywnych zasad gry - wtrąciła Claire.

- Bo z reguły wymyślają je ludzie, którzy nie mają pojęcia, co robią. - Wstała, zła na siebie, e się tak bardzo przejmuję.

- Nie jestem pewien, czy Parks by się z tobą zgodził - rzekł Lee. - Ten człowiek całe ycie twardo trzyma się zasad.

Brooke wzruszyła ramionami. Ciekawe, czy Lee wie, e Parks to równie człowiek, który uwodzi i rozbiera kobiety na eleganckich przyjęciach. Nie chciała wdawać się w dyskusję, ale jej zdaniem Parks nale ał do ludzi, którzy ustalają własne zasady.

- Mo e byśmy zeszli do szatni i mu pogratulowali?

- Lee Dutton wziął obie pod ramię i ruszył przez rozhisteryzowany tłum.

U ywając swego wdzięku i wpływów, Lee dotarł do pomieszczeń, gdzie zwykli kibice mają wstęp zabroniony. Ale nie dziennikarze. Reporterzy, ka dy z mikrofonem, kamerą lub notesem, tłoczyli się na korytarzach i w szatniach, usiłując zdobyć od ociekających potem zawodników komentarz lub wywiad. Poziom hałasu był tu nie mniejszy ni na trybunach.

Trzask metalowych drzwi szafek na ubranie mieszał się ze śmiechem, z okrzykami, z ogólną wrzawą. Panowała swobodna atmosfera, napięcie zdecydowanie opadło.

- Gdybym podczas siódmej zmiany nie przyszedł Biggsowi z pomocą - oznajmił z powa ną miną pierwszometowy - wynik mógłby wyglądać całkiem inaczej.

Biggs grający na pozycji łącznika cisnął w kolegę mokrym ręcznikiem.

- Snyder nie potrafi złapać piłki, jeśli sama mu nie wpadnie do rękawicy. Tylko dzięki nam tak dobrze wypada na boisku.

- Pięćdziesiąt trzy razy w tym sezonie uratowałem Parksowi tyłek - kontynuował

Snyder, ściągając mokry ręcznik z twarzy. - Bo wiecie, niektórzy pałkarze są tak dobrzy, e posyłają piłkę prosto w łapę Parksa. Zobaczycie na powtórce, jakiego mają cęla. - Ktoś wylał

Snyderowi na głowę wiadro wody, lecz on ciągnął dalej, jakby tego nie zauwa ył. - Ja natomiast trafiam w rękawicę prawozapolowego. To wymaga większej wprawy...

Brooke spostrzegła Parksa otoczonego grupą dziennikarzy. Strój i twarz miał czarne od brudu. Sine

smugi pod oczami nadawały mu groźny wygląd. Włosy w mokrych strąkach opadały mu na czoło. Ale widać było, że jest rozluźniony. Uśmiechał się bez troski. Znikło skupienie widoczne podczas gry. Wyparowało. Gdyby go wcześniej nie widziała, mogłaby przysiąc, że Parks to człowiek nie mający w sobie grama zacierzwienia czy bojowości. Lecz miał. A ona nie powinna o tym zapominać.

- Zostały nam jeszcze cztery mecze w tym w sezonie - rzekł. - Zadowolę się średnią trzy osiemdziesiąt siedem.

Dziennikarze wypytywali go o dzisiejszy mecz, o wrazenia, o ostatnią piłkę.

- Po prostu chciałem, żeby poleciała wysoko. I udało się.

Odpowiedziawszy na jeszcze kilka pytań, przeprosił dziennikarzy i podszedł do swojego agenta.

Dyskretnie przeciągnął palcem po ramieniu Brooke. O mało nie podskoczyła; miała uczucie, jakby po skórze przebiegł jej prąd.

- Cześć, Lee. Miło panią znów zobaczyć, pani Thorton.

Do Brooke jedynie się uśmiechnął.

- Ciekawy mecz, Parks - pochwalił go agent. - Dostarczyłeś nam niezłej rozrywki.

- Staram się, jak mogę - oznajmił Parks, nie spuszczać oczu z Brooke.

- Idziemy z Claire na kolację. Może ty i Brooke wybralibyście się z nami?

Zanim Brooke zdążyła ochłonąć z wrazenia, jej przyjaciółka przyjęła zaproszenie Duttona, i wymyślić powód, dlaczego musi jak najszybciej wracać do domu, odezwał się Parks:

- Dzięki, ale nie skorzystamy. Mamy inne plany na ten wieczór.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie przypominam sobie żadnych planów.

- Musisz zacząć wszystko zapisywać. - Uśmiechnąwszy się, pociągnął ją za kosmyk włosów. - Zaczekaj na mnie tam, gdzie siedziałaś. Będę gotowy za pół godziny.

Nie czekając na jej reakcję, ruszył w stronę pryszniców.

- Bezczelny typ - mruknęła Brooke, a po chwili poczuła, że przyjaciółka trącają ostrzegawczo w plecy.

- Szkoda, że nie możemy iść z nami - powiedziała Claire. - Ale ty i tak nie przepadasz za chińszczyzną, prawda? A my... najpierw wstąpimy do Lee. Chyba obejrzała jego kolekcję.

- Kolekcję? - zdziwiła się Brooke, skręcając w wąski korytarz.

- Mamy z Lee wspólne zainteresowania. - Claire posłała agentowi zalotny uśmiech. -

Oboje uwielbiamy sztukę orientalną. Trafisz sama na trybuny?

- Spokojna głowa.

- W takim razie do zobaczenia w poniedziałek.

- Baw się dobrze, mała! - zawołał Lee, oddalając się z Claire.

- Wielkie dzięki. - Wsunąwszy ręce do kieszeni, Brooke zaczęła przeciskać się w stronę wyjścia. Następnie ruszyła z powrotem na miejsce, które zajmowała podczas meczu. -

Wielkie dzięki - powtórzyła, patrząc na puste boisko.

Ekipa porządkowa wyposa ona w wielkie odkurzacze krą yła po trybunach, usuwając śmieci. Poza nią oraz Brooke na stadionie nie było nikogo. Podobał się jej ten wielki pusty obiekt. Godzinę temu, wypełniony po brzegi, zdawał się tętnić yciem. Teraz tchnął

spokojem. Jedynym wspomnieniem po ludziach były kartonowe kubelki, w których sprzedawano kukurydzę, oraz puste puszk i kartony. Oparła się o poręcz, tyłem do boiska, twarzą do trybun.

Ciekawe, kiedy zbudowano ten stadion? Które to pokolenie kibiców zasiada na tych ławkach? Ile tysięcy galonów piwa tu wypito? Pokręciła głową. Czy zawodnicy, którzy kończą karierę, przychodzą na stadion, by wspominać stare dzieje? Pomyślała, e Parks na pewno będzie tu zaglądał. Bakcyłem baseballu szybko mo na się zarazić. Ona jest tego najlepszym przykładem, chyba e... chyba e w jej wypadku chodzi nie tyle o grę, co o gracza.

Cienie wydłu ały się, ale powietrze wciąż było nagrzane. Nie przeszkadzał jej upał; nienawidziła zimna. Zmru ywszy oczy, zaczęła się zastanawiać, jak pokazać stadion. Mo e właśnie pusty? Tak, nad trybunami unoszą się okrzyki, słyhać trzask pałki o piłkę, trzepoczący na wietrze plakat. Między rzędami ławek wędrują sprzątacze z gigantycznymi odkurzaczymi. Mo na by dać tytuł „Refleksja”. Niewa ny jest wynik meczu; wa na jest ciągłość gry oraz sami ludzie.

Wyczuła jego obecność, zanim go ujrzała. Obraz, który malowała w wyobraźni, natychmiast się ulotnił. Jeszcze nigdy się jej to nie zdarzyło, po prostu nikt nie miał na nią takiego wpływu. To, e Parks ma, bardzo ją zaskoczyło. Ale i rozzłościło, poniewa praca przedstawiała dla niej najwyszą wartość i nikomu nie wolno było jej zakłócać.

Spodziewała się, e Parks rzuci na powitanie parę ironicznych uwag. Dopuszczała równie myśl, e zachowa się tak, jakby wcale wcześniej nie skłamał, mówiąc, e mają na wieczór inne plany.

Lecz nie spodziewała się, e podejdzie do niej, wsunie dłonie w jej włosy, przytuli ją mocno i namiętnie pocałuje. Zanim zdą yła się oburzyć, załala ją fala gorąca. Zaczęła odwzajemniać pocałunek. W zachowaniu Parksa wyczuwała nie tyle stanowczość, ile de-sperację, wołanie o ratunek. To był jej słaby punkt: potrzeba niesienia pomocy.

Wolno odsunął się, czekając, a ona uniesie powieki. Chocia patrzył jej w oczy, miała wra enie, e oglądają całą, e przenika na wylot.

- Pragnę cię - oznajmił cicho.

- Wiem.

Ponownie wsunął rękę w jej włosy.

- I będę cię miał. Cofnęła się o krok.

- Tego akurat nie jestem pewna.

- Naprawdę?

- Naprawdę - stwierdziła tonem tak zdecydowanym, e na twarzy Parksa odmalowało się zdziwienie.

- Hm, w takim razie miło mi będzie wyprowadzić cię z błędu.

Oswobodziła włosy z jego palców.

- Dlaczego skłamałeś, e mamy plany na wieczór?

- Bo przez kilka godzin na boisku marzyłem tylko o tym, eby się z tobą kochać.

Kąciki warg leciutko mu dr ały, jakby starał się nie roześmiać, ale ona czuła, e to nie arty.

- Przynajmniej nie owijasz niczego w bawełnę.

- Cenisz szczerość, prawda?

- Owszem. - Oparła się o poręcz. - Dlatego ja równie będę z tobą szczera. Otó przez kilka miesięcy, wraz z innymi ludźmi, będziemy współpracować przy du ej kampanii reklamowej. Lubię swoją pracę, jestem w niej dobra i zamierzam dopilnować, ebyś swoje zadanie tak e wykonał jak najlepiej.

- No i...?

- Zaanga owanie emocjonalne wyklucza zachowanie profesjonalnego dystansu. Jako re yser i osoba odpowiedzialna za całokształt filmu nie mam zamiaru wiązać się z tobą, nawet na krótką metę.

- Na krótką metę? - Przyjrzał się jej uwa nie. - Zawsze wiesz z góry, ile czasu potrwa twój związek?

Nie wierzę. - Pokręcił głową. - Myślę, e masz w sobie więcej romantyzmu.

- Nie obchodzi mnie, co myślisz - warknęła. - Bylebyś rozumiał, co do ciebie mówię.

- Rozumiem. - Zamilkł. - Po prostu stosujesz uniki.

- Ja? Uniki? - oburzyła się. Nawet nie próbowała ukryć złości. - Mówię ci wprost, e nie jestem zainteresowana romanssem. Przykro mi, jeśli to rani twoje męskie ego.

Chwyił ją za łokieć, kiedy usiłowała go minąć.

- Doprowadzasz mnie do pasji - powiedział cicho, z trudem tłumiąc wściekłość. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz kobieta tak na mnie działała.

- Nie dziwię się. - Szarpnięciem uwolniła rękę. - Pewnie wszystkie błyskawicznie ulegały twojemu nieodpartemu urokowi.

- Nie chcesz się angażować ze strachu, e cię facet rzuci, prawda?

Skuliła się, jakby ją ktoś uderzył. Przez moment stała bez ruchu, po czym go odepchnęła i rzuciła się biegiem po schodach. Dogonił ją w połowie drogi.

- Trafiłem w czułe miejsce? - Z jego głosu przebijała skrucha. - Nie chciałem.

Przepraszam. - Rzadko tracił nad sobą kontrolę i rzadko mówił coś, za co musiał przeproszać.

- Puść mnie - szepnęła. W jej oczach malował się ból.

- Brooke... - Pragnął ją objąć, pocieszyć, ale wyczuł, e będzie protestowała. -

Przepraszam, naprawdę. Słowo honoru, nie mam w zwyczaju dręczyć kobiet.

Widziała, e jest mu autentycznie przykro.

- W porządku - powiedziała. - Na ogół nie kulę się od jednego ciosu.

- Moemy zdjąć rękawice? Przynajmniej do końca dnia? - spytał. Ciekaw był, jak głęboko sięga jej ból. Ile trzeba czasu, aby zdobyć jej zaufanie?

- Spróbujmy - odparła niepewnie.

- Pójdziemy razem na kolację?

- Jedzenie to moja słabość - przyznała z uśmiechem.

- Zaczniemy od tacos. Pozwoliła, by wziął ją za rękę.

- Kto stawia?

Siedzieli na zewnątrz przy małym metalowym stoliku w jednym z barów szybkiej obsługi. Szum wyjących odbiorników radiowych, klaksonów i piszczących hamulców wypełniał powietrze. Parks zauważył, e jedząc, Brooke się relaksuje, jakby automatycznie opuszczała gardę. Był to nieświadomy odruch, który występował zarówno wtedy, gdy siedziała w eleganckiej restauracji, spożywając

egzotyczne dania i pijąc drogie wino, jak i wtedy, gdy w tanim lokalu jadła meksykańskie placki i popijała je wodą.

Podając jej kolejną serwetkę, postanowił przeprowadzić mały wywiad.

- Wychowałaś się w Kalifornii?

- Nie. A ty?

- Poniekąd. - Pamiętając, że Brooke potrafi sprytnie unikać odpowiedzi, kontynuował:

- Dlaczego przeniosłaś się do Los Angeles?

- Bo tu jest ciepło - odparła. - I tłoczno.

- Ale mieszkasz poza miastem. Na odludziu.

- Bo lubię samotność. Jak zareagowała twoja rodzina, kiedy wybrałeś baseball, odrzucając pracę w Parkinson Chemicals?

Uśmiechnął się; bawiła go ta gra o przejęcie kontroli.

- Przeżyła szok. Mimo że od lat mówiłem, co zamierzam. Ojciec uważył... nadal uważa... a to faza, przez którą przechodzę. A jak twoja rodzina zapatruje się na twoją pracę?

Odstawiła butelkę.

- Nie mam rodziny.

Coś w jej głosie uzmysłowiło mu, że jest to drażliwy temat.

- Gdzie dorastałaś?

- Tu i tam. - Zaczęła upychać zużyte serwetki do pustych szklanek.

Ujął ją za rękę, zanim wstała od stolika.

- W rodzinach zastępczych? Spochmurniała.

- Dlaczego jesteś natrętny? - spytała gniewnie.

- Bo chcę wiedzieć, kim jesteś - odparł łagodnie. - Chcę, byśmy zostali przyjaciółmi, nim zostaniemy kochankami.

- Puść!

Nie posłuchał.

- Denerwujesz się?

- Złóścisz mnie - warknęła, nie odpowiadając na pytanie. - Wystarczy dziesięć minut w twoim towarzystwie i zacznam być na ciebie wściekła.

- Znam to. Chyba nie zaprzeczysz, e działa o ywczó.

- Nie potrzebuję dodatkowych stymulacji. Pragnę spokoju.

Roześmiewszy się, podniósł jej dłoń do ust i leciutko ją pocałował.

- Nie wierzę - rzekł, patrząc ponad ich dłońmi. - Jesteś zbyt energiczna, eby zadowolić się spokojem.

- Nie znasz mnie.

- No właśnie. - Przysunął się bli ej. - Kim jesteś, Brooke?

- Tym, kogo widzisz.

- Widzę silną i niezale ną kobietę nastawioną na sukces. Kobietę, która wybiera ciche, odosobnione miejsce na dom, która ma poczucie humoru i lubi się śmiać, która równie szybko wybacza, co wpada w gniew.

Cały czas uwa nie się jej przyglądał. Ju się na niego nie złościła; była zamyślona, czujna. Miał wra enie, e usiłuje zdobyć zaufanie wróbla, który za moment odfrunie albo na jego dłoni uwije gniazdo.

- Kobietę, którą chciałbym lepiej poznać.

Po chwili wzięła głęboki oddech. Pomyślała, e jeśli uchyli rąbka tajemnicy, Parks da jej święty spokój.

- Moja matka nie miała mę a. Podobno po pół roku znudziło się jej ycie z bachorem i podrzuciła mnie swojej siostrze. Słabo pamiętam ciotkę. Miałam sześć lat, kiedy oddała mnie ludziom z opieki społecznej. Pamiętam jedynie, e ciągle doskwierał mi głód i było mi zimno.

Potem trafiłam do pierwszej rodziny zastępczej. - Wzruszywszy ramionami, strąciła ze stolika jakiś śmietek. - Spędziłam tam rok, po czym wylądowałam w następnej. Zanim skończyłam siedemnaście lat, mieszkałam w pięciu rodzinach. Raz było mi lepiej, kiedy indziej gorzej, ale zawsze czułam się obca. Pewnie w znacznej mierze była to moja wina...

Westchnęła cię ko i na moment zamilkła. Wspomnienia sprawiały jej ból.

- Nie wszystkimi rodzinami zastępczymi kieruje chęć zysku. - Podjęła smutny wątek. -

Większość z nich bierze pod swój dach cudze dzieci, poniewa są dobrymi, kochającymi ludźmi. Po prostu nigdzie nie czułam się jak w domu. Wiedziałam, e to taka tymczasowa rodzina, e jestem tam jakby przejazdem. Byłam trudnym dzieckiem, czasem nawet wyjątkowo trudnym, jakbym sprawdzała

tych swoich opiekunów, czy naprawdę zależy im na mnie, czy kieruje nimi litość albo względy materialne. Ostatnie dwa lata, chodziłam wtedy do szkoły średniej, spędziłam na farmie w Ohio u sympatycznej pary z synem, który ciągnął

mnie za włosy, kiedy nikt nie widział. - Skrzywiła się. - Wyjechałam stamtąd zaraz po maturze. Pracowałam jako kelnerka, ciągle przemieszczałam się z miejsca na miejsce. Po czterech miesiącach dotarłam do Los Angeles. - Napotkawszy spojrzenie Parksa, nagle się zirytowała. - Nie patrz na mnie z taką litością!

Ujął jej drugą rękę. Wiedział, że osoby, które samodzielnie walczą z przeciwnościami losu, nienawidzą, gdy inni nad nimi się litują.

- Nie patrzę - powiedział. - Zastanawiam się, ilu siedemnastolatków miałoby odwagę rozpocząć życie od nowa i ilu by się to udało. Ja w wieku siedemnastu lat marzyłem o tym, żeby pojechać na obóz treningowy na Florydzie. Zamiast tego wsiadłem w samolot i polecia-

łem do Anglii na studia.

- Miałaś zobowiązania wobec rodziny - wtrąciła Brooke. - Ja nie. Gdyby pojawiła się przede mną szansa pójścia na studia... - urwała. - Tak czy inaczej ka de z nas od dziesięciu lat poświęca się karierze.

- Ty, jeśli zechcesz, możesz jeszcze długo pracować przy filmach - zauważył Parks. -

Ja nie. Jeszcze rok, góra dwa i koniec.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Będziesz miał dopiero...

- Trzydzieści pięć lat. - Uśmiechnął się gorzko. - Dziesięć lat temu obiecałem sobie, że w tym wieku zakończę karierę baseballisty. Niewielu jest zawodników, którzy tak jak Mays potrafią grać po czterdziestce.

- No tak, ruszasz się jak starzec - stwierdziła ironicznie.

- Zamierzam się wycofać, zanim do tego dojdzie. Bawiąc się słomką, uwa nie zmierzyła go wzrokiem.

- Chcesz się wycofać, będąc na topie?

- Tak.

To było dla niej zrozumiałe.

- Nie przeraża cię to, że się wycofasz, kiedy jeszcze będziesz miał przed sobą taki kawałek życia?

- Czasem taka perspektywa mnie przeraża, ale przecie nie będę leciał do góry brzuchem. Przyjemnie jest mieć wolne wieczory. Lubisz chodzić na plażę?

- Rzadko tam bywam, ale, owszem, lubię. Choć nie zawsze - dodała, przypominając sobie ostatnią reklamę, z którą tak się męczyła, bo modelka miała muchy w nosie.

- Mam dom na Maui. - Całkiem niespodziewanie pochylił się i pogładził ją po policzku. - Kiedyś cię tam zabiorę. - Gdy otworzyła usta, eby zaprotestować, potrząsnął

głową. - Nie kłóć się ze mną; za często to robimy. Wybierzmy się na przejażdżkę.

- Parks... - Odsunęła krzesło od stolika. - Nie artowałam. Naprawdę nie chcę się w nic angażować.

- Wiem - powiedział.

Kiedy wstawiała z plastikowymi talerzami i szklankami w ręce, Parks niespodziewanie ją pocałował.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minęły trzy dni, zanim się do niej odezwał. Wiedziała, że ostatnie cztery mecze w sezonie będą grane na wyjeździe. Wiedziała też, bo czytając gazetę, zupełnie niechcący zerknęła na strony poświęcone sportowi, że w pierwszych dwóch meczach Parks zdobył trzy pełne obiegi.

Sama w tym czasie harowała od rana do wieczora, bo okazało się, że pierwsza reklama ma być gotowa przed rozpoczęciem rozgrywek, a wyemitowana w ich trakcie. I tak już miała napięty harmonogram: zdjęcia w studiu, w plenerze, montaże, zebrania. Ale ją to nie przeraziło. Uwielbiała wyzwania. Podobnie jak jedzenie nadawały sens jej życiu.

Siedząc w swoim pokoju, bo dopiero za pół godziny miała być w studiu, po raz ostatni rzuciła okiem na scenariusz pierwszego filmu reklamującego ubrania de Marca. Pokiwała głową z aprobatą. Minimum dialogu, brak nachalności: Parks w eleganckim sportowym stroju stoi na stanowisku pałkarza i odbija piłkę. Kolejna scena: Parks w tym samym stroju wysiada z Rolls Royce'a i podaje ramię ponętnej brunetce.

- Ubrania na każdą okazję - mruknęła. Wszystko było dokładnie wyliczone co do sekundy.

Dźwięk właśnie nagrywano; później wgra się jedynie tekst Parksa. Zamierzała umiejętnie przeprowadzić go przez kolejne etapy. Sukces zależy od jej reżyserskich talentów i jego osobistego uroku. W porządku, pomyślała. Sięgnęła po kubek z kawą, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Przesyłka dla ciebie. - Recepcjonistka położyła na zagraconym biurku podłogowe białe pudełko z kwaciarni. - Jenkins prosił, by ci powiedzieć, że skończył montaż. Jeśli chcesz rzucić okiem...

- Dzięki.

Spoglądając na pudełko, zmarszczyła czoło. Czasem zadowolony klient dzwonił albo przysyłał list z podziękowaniem, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się dostać kwiatów.

Chociaż nie. Przypomniła sobie pewnego aktora z reklamy samochodów. Raz na tydzień przysyłał jej czerwone róże, co ją na zmianę bawiło i irytowało. Wreszcie, pół roku temu, zdołała go przekonać, że

to strata czasu oraz pieniędzy.

Mo e to jeden z dowcipów E.J.? Pewnie zamiast kwiatów znajdzie w środku kilka tuzinów zamro-
zonych abich udek. Rozwiązała wstążeczkę i ostro nie uniosła wieko.

Z wrażenia zakręciło się jej w głowie. Pudełko wypełniały pachnące, delikatne ró owo

- białe płatki hibiskusa. Zachwycona delikatnym pięknem i cudownym aromatem, zanurzyła w nich
dłonie. Po chwili cały pokój pachniał niczym tropikalna wyspa. Gdy podniosła kilka kwiatów, by
nasyścić się ich zapachem, z bukietu wypadł biały karnecik. Rozłożyła go:

„Przywodzą mi na myśl Ciebie”.

Jedno zdanie, bez podpisu, ale wiedziała, kto je skreślił. Przycisnęła rękę do serca.

Mo e zachowuje się jak rozmarzona nastolatka, ale... Przeczytała liścik trzy razy. Wzruszenie odjęło
jej mowę. Chocia dzieliły ją od Parksa tysiące kilometrów, niemal czuła dotyk jego palców na
policzku. Zrobiło się jej gorąco. Pojęła, e mu się nie wymknie. e nie chce się bronić przed tym
uczuciem. Szybko, zanim ogarną ją wątpliwości, chwyciła za telefon.

- Połącz mnie z Parksem Jonesem - poleciła sekretarce. - Lee Dutton zna jego numer.

Odłożywszy słuchawkę, ponownie wsunęła rękę w kwieciste morze. Zastanawiała się, skąd Parks
wiedział, w jaki sposób ją rozbroić. Po chwili namysłu doszła do wniosku, e to nieważne. Liczy się
ten cudowny, romantyczny gest. Pojedynczym białym kwiatem gładziła policzek. Był taki jak wargi
Parksa: delikatny i wilgotny... Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy.

- Parks Jones na drugiej linii - oznajmiła sekretarka. - Za dziesięć minut masz być w studiu.

- W porządku. Aha, bądź tak miła i przynieś wazon z wodą. - Spojrzała na biurko. -

Nie, dwa wazony.

- Przełączyła się na drugą linię: - Parks?

- Tak. Cześć, Brooke.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Wiesz... - Zawahała się. - Czuję się jak nastolatka, która dostała pierwsze kwiaty w yciu.

Opadłszy na łokcie, roześmiał się.

- Chciałbym cię zobaczyć z kwiatami we włosach. Na próbę podniosła jeden kwiat do ucha. Bardzo
niepoważnie. Westchnąwszy, przysunęła go do nosa, by cieszyć się jego zapachem.

- Za kilka minut muszę być w studiu. Tam jest takie oświetlenie, e zaraz by zwiędły.
- Bywasz niezwykle trzeźwo myśląca i praktyczna - zauważył, masując obolały bark.
- Inaczej nie mogłabym funkcjonować w tym zawodzie... Co u ciebie? Nie byłam pewna, czy cię złapię.
- Wróciłem pół godziny temu. Przegraliśmy dwa do pięciu.
- Ojej, szkoda.
- Grałem bez wycucia. Ale to minie. - Byleby szybko, dodał w duchu. - Myślałem o tobie. Mo e za bardzo.

Zrobiło jej się ciepło koło serca.

- Woliałabym nie być odpowiedzialna za spadek twojej formy... Bardzo jesteś zmęczony?
- Trochę. To ju końcówka. Wydawało się, e ju pójdzie nam jak z płatka. Wczoraj, na przykład, graliśmy a jedenaście zmian.
- Słyszałam. - Powinna była ugryźć się w język. - Oglądałam fragmenty w wiadomościach. No dobra, lecę do roboty, a ty odpoczywaj. Jeszcze raz dziękuję za kwiaty.

Przymknął powieki. Przed oczami stanęła mu jej twarz.

- Zobaczymy się po moim powrocie?
- Oczywiście. Pierwsze zdjęcia mamy w piątek, więc...
- Brooke ... - przerwał jej. - Czy zobaczymy się po moim powrocie?

Popatrzyła pudło pełne białe - ró owych kwiatów.

- Tak - odparła cicho i przyciskając kwiat do policzka, westchnęła. - Zamierzam popełnić wielki błąd.
- To dobrze. Do zobaczenia w piątek.

Zawsze uważała, e dobry reżyser musi być dokładny, lecz nie drobiazgowy, wymagający, lecz przychylnie nastawiony do ludzi, powinien te umieć dwoić się i troić tak, by być w dziesięciu miejscach naraz. Nauczyła się tego nie na kursach czy studiach, które ukończyło wielu jej kolegów po fachu, lecz podczas pracy. Zanim stanęła za kamerą, wykonywała mnóstwo różnych zajęć; mo e dlatego była taką perfekcjonistką. Nic nie umykało jej uwadze. Na aktorów nigdy się nie złościła, nawet gdy mylili kwestie. Po prostu wiedziała, e często bywają przemęczeni i e wielu z nich dokucza brak pewności siebie.

W pracy, obojętne czy w plenerze, czy w studiu, stała się twarda, opanowana, stanowcza. Nikt nie kwestionował jej poleceń czy autorytetu. Dla wszystkich było jasne, że podczas pracy Brooke ma decydujący głos.

Z kopią scenariusza w ręce krążyła po boisku, sprawdzając oświetlenie. Zupełnie inaczej wyglądało pole wewnętrzne z metami i stanowiskiem łapacza oraz pałkarza oglądane z ziemi, a inaczej z trybun. Miała wrażenie, że jest na wyspie otoczonej górami, na których są miejsca dla publiczności. Odległość między stanowiskiem pałkarza a siatką oddzielającą boisko od trybun wydawała się ogromna.

Mimo zaaferowania czuła zapach świeżo koszonej trawy, wysuszonej słońcem ziemi, a od czasu do czasu dolatywała ją nuta bardzo męskiej wody toaletowej, której używał E. J.

Zerknąwszy na chmury gromadzące się na niebie, podeszła do kamery.

- Chcę mieć słoneczne popołudnie - poinformowała mistrza oświetlenia.

- Nie ma sprawy - oznajmił oświetleniowiec, rozmieszczając odpowiednio reflektory i blendy.

Przez moment Parks stał u wylotu tunelu, obserwując Brooke. Kobieta, której zafundował tacos, oraz ta, którą trzymał w ramionach na przyjęciu u de Marca, różniły się od tej, na którą patrzył teraz. Dzisiejsza Brooke miała włosy splecione w warkocz, a ubrana była w spłowiałe dżinsy, zwykłą bawełnianą koszulkę w kolorze jajecznicy i zakurzone tenisówki.

Za to w jej uszach połyskiwały niewielkie szafiry.

Ale to nie uczesanie i strój różniły ją od dawnej Brooke, lecz pewność siebie.

Wprawdzie już wcześniej dostrzegł w niej tę cechę, lecz jakby na dalszym planie. Teraz Brooke wszystkim zarządzała, wszystko kontrolowała, wydawała instrukcje, a ludzie chodzili jak w zegarku. Nikt nie protestował, nie kwestionował jej poleceń, widać było, że ona tu rządzi.

Skrzywiwszy się, poprawił rękaw cienkiej jedwabnej koszuli, w którą go ubrano, i zerknął na idealnie wyprasowane białe spodnie. Kto, u licha, w takim stroju wyszedłby na boisko? No ale na planie obowiązują reguły ustalone przez Brooke. Wyłonił się z tunelu.

- Bigelow, zabezpiecz kable, zanim ktoś złamie nogę. Libby, postaraj się o zimną wodę, będzie nam potrzebna. No dobrze, gdzie jest... - Obróciwszy się, Brooke ujrzała Parksa.

- A, tu jesteś.

Nie wiedział, czy ucieszyła się na jego widok; jeśli tak, to dobrze skrywała emocje.

- Stań na stanowisku pałkarza. Sprawdźmy kamery i oświetlenie.

Potulnie wypełnił jej polecenie. Zaczni się, stary, przyzwyczajając, mruknął pod nosem. Przez najbliższe dwa lata będziesz reklamował ciuchy de Marca. Wsunął ręce do kieszeni, przeklinając w duchu

Duttona. Ktoś podsunął mu pod nos światłomierz.

- Pokonacie zespół valiantsów? - spytał technik.

- Na sto procent - odparł Parks.

- Postawiłem na kingsów pięćdziesiąt dolców. Parks wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Postaram się o tym pamiętać.

- Hej tam! - Ruchem głowy Brooke wskazała technikowi, dokąd ma się udać, a sama podeszła do Parksa. - Dobra, pierwsza część jest najłatwiejsza. Zero dialogu, a ty robisz to, co umiesz najlepiej.

- Czyli?

Uniosła brwi, po czym wyjaśniła spokojnie:

- Machasz pałką. Trener zgodził się rzucić ci kilka piłek. Po prostu masz je odbijać.

- Bez kasku?

- Nie pasuje do tego stroju - odparła łagodnie, omiatając go wzrokiem. - Wyglądasz znakomicie.

- Ty równie . - Uśmiechnął się łobuzersko. - Z niecierpliwością czekam na chwilę, kiedy będę mógł rozpleść ten warkocz.

- Proszę go przypudrować - rozkazała Brooke - bo za bardzo się świeci.

- Zaraz, zaraz - sprzeciwił się Parks, chwytając za przegub kobiety, która podeszła z pudrem.

- Kamera nie lubi potu - wyjaśniła z zadowoleniem Brooke. - Posłuchaj. Masz przyjąć pozycję pałkarza. Zamachnij się kilka razy dla rozgrzewki, potem odbij piłkę. Zanim rzucisz pałkę na ziemię, uśmiechnij się. Tak po swojemu.

- Czyli jak? - Parks puścił rękę charakteryzatorki i cierpliwie zniósł zabieg pudrowania.

Brooke skinęła głową.

- Szczerze, radośnie, odsłaniając zęby. Tak, eby oczy równie ci się śmiały.

Opuścił powieki.

- Odplącę ci się, zobaczysz - mruknął.

- Staraj się odbić pierwszą piłkę. Nie musisz jej posyłać na trybuny. Wystarczy, e to zamarkujesz. Jasne?

- Jak słońce. - Rozdrażniony, skinął na powitanie trenerowi, który stał na górze miotacza.

- Do twarzy ci w tym stroju, Jones - usłyszał rzuconą przez niego uwagę.

- Dobra, dobra. Skup się na narzutach. Dostanę pałkę? - Odwrócił się do Brooke. -

Czy to te mam markować?

Brooke krzyknęła do swojego asystenta.

- Pałka! E.J., gotowy? Po prostu kręć. adnych zbli eń ani odjazdów. Pamiętaj, tu nie chodzi o artystyczną wizję, lecz o reklamę ciuchów.

- Aluminium.

- Co takiego? - Zdekoncentrowana popatrzyła na Parksa.

- Ta pałka jest aluminiowa. - Wyciągnął ją przed siebie, a Brooke odruchowo ją chwyciła.

- Faktycznie.

Zamierzała mu ją oddać, ale on pokręcił głową.

- U ywam drewnianej.

Na szczęście w porę ugryzła się w język. Zdą yła ju przywyknąć do humorów swoich aktorów.

- Proszę przynieść panu Jonesowi drewnianą pałkę - poleciała asystentowi, odrzucając mu metalową.

- Coś jeszcze? - zwróciła się do Parksa.

Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa, wreszcie spytał:

- Czy zawsze wszyscy robią, co im ka esz?

- Tak. I byłoby dobrze, gdybyś pamiętał o tym przez najbli sze dwie lub trzy godziny...

- Zapamiętam. Tak się te umawialiśmy. Ale po pracy... - zawiesił głos.

Brooke podeszła do kamery. E. J. odsunął się, eby sama sprawdziła kąt. Skupiona wpatrywała się w Parksa przez obiektyw.

- W porządku, Parks - powiedziała, kiedy asystent podał mu drewniany kij. - Zajmij miejsce. Dobrze, świetnie - mruknęła zadowolona, kiedy przyjął pozycję, zginając lekko nogi w kolanach.

Odsunęła się, oddając E. J. miejsce za kamerą.

- Dziesięć dolców, e odbije w lewe zapole - rzucił operator.

Nieznaczne skinienie głowy oznaczało, e Brooke przyjmuje zakład.

- Parks, kiedy krzyknę „Akcja”, zajmij ponownie pozycję i wykonaj kilka próbnych machnięć. Patrz przed siebie, na metę miotacza, nie w stronę kamery. Zapomnij, e cię filmujemy. - Uśmiechnęła się, po czym zwróciła się do trenera: - Jest pan gotów, panie Friedman?

- Gotów. Postaram się trafić, Jones! Parks parsknął śmiechem.

- Po prostu celuj. Tylko pamiętaj, e nie mam kasku. Brooke rozejrzała się, sprawdzając wszystko po raz ostatni.

- Zróbmy jeden raz na próbę, zmierzmy czas. - Uniosła rękę, czekając na ciszę. -

Kręcimy, akcja!

Parks zrobił dwa zamachy dla rozgrzewki. Jasnoniebieska koszula opinała mu ciało.

Brooke liczyła sekundy. Parks przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, napiął mięśnie, po czym zrezygnował z odbicia.

Brooke z trudem powstrzymała przekleństwo, które cisnęło się jej na wargi.

- Cięcie! - Podeszła do Parksa. - O co chodzi?

- Narzut był niedobry. Za wysoki.

- Dobry był, bardzo dobry! - zawołał Friedman. Ekipa natychmiast się podzieliła, jedni wzięli stronę miotacza, inni pałkarza. Ignorując ich, Brooke zwróciła się do Parksa:

- Słuchaj, to nie jest gra o mistrzostwo. Po prostu odbij piłkę. - Wskazała za siebie. -

Tu nie ma adnych zawodników, adnych kibiców ani przedstawicieli mediów.

Oparł pałkę o ziemię.

- Chcesz, ebym odbił zły narzut? Popatrzyła mu w oczy.

- Jakość podania nie ma najmniejszego znaczenia - oznajmiła, wciąż nie zwracając uwagi na toczącą się za jej plecami wymianę zdań. - Po prostu odbij piłkę.

Wzruszywszy ramionami, podniósł kij.

- W porządku. Ty tu rządzisz... póki co.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Brooke odwróciła się do ekipy.

- Powtórka!

Parks odbił narzuconą piłkę hen za trzecią metę. Nie patrząc na E. J., Brooke wyciągnęła rękę w stronę operatora.

- Czas? - spytała, wsuwając do kieszeni banknot dziesięciodolarowy.

- Dwanaście i pół sekundy - odpowiedziała drobna brunetka stojąca nieopodal ze stoperem i notesem.

- Świetnie. Kręcimy.

- Następna poleci za ogrodzenie - stwierdził półgłosem E. J. - Zakładasz się o dychę?

- Trzecie ujęcie! - zawołała, skinieniem głowy dając znać, e przyjmuje zakład. -

Akcja!

Na jej wargach ukazał się uśmiech zadowolenia. Parks coraz bardziej się wciągał.

Wyglądało na to, e zapomniał o kamerze i myślał wyłącznie o grze. Kiedy stał, trzymając oburącz uniesioną nad ramieniem pałkę, miał dokładnie taki wyraz twarzy, o jaki jej chodziło: skupiony, jakby walczył o mistrzostwo kraju.

Wtem nastąpiło odbicie. Wykonał lekki obrót ciała, potę ny zamach kijem i piłka poszybowała w powietrze. Brooke nie obróciła się, nie śledziła jej lotu. Parks błysnął zębami w szerokim uśmiechu, naturalnym i spontanicznym, który nie miał nic wspólnego z jej wcześniejszymi wskazówkami. Po prostu zadowolony z odbicia patrzył na piłkę, która szybowała za siatkę, a kamera filmowała jego reakcję. W końcu skierował wzrok na Brooke i wciąż uśmiechnięty wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: No widzisz? Udało się.

Powinna być zła, bo prosiła go, eby nie patrzył w obiektyw, ale zawadiacka mina i wzruszenie ramion idealnie pasowały. Sięgając do kieszeni, by oddać operatorowi przegrane dziesięć dolarów, postanowiła nie kasować tej partii.

- Cięcie.

Rozległy się oklaski, gwizdy i okrzyki uznania.

- Niezły narzut, panie trenerze - pochwalił Friedmana Parks.

- Chcę, ebyś dobrze wypadł, Jones. Miotacze valiantsów na pewno nie będą tacy przychylni.

Brooke otarła ręką spocone czoło.

- Powtórzmy to jeszcze ze dwa razy - rzekła. - Jaki był czas?

- Czternaście sekund.

- Dobra. Światło się zmienia, proszę zrobić odczyt. Panie Friedman, poproszę o jeszcze dwa lub trzy takie narzuty...

- Dla ciebie, królowo, wszystko.

- Parks, było świetnie. Powtórz to. I pamiętaj, patrz na piłkę, bez względu na to, gdzie polecą. I uśmiechaj się.

- Tak jest, psze pani - powiedział, opierając pałkę na ramieniu.

- Światła?

Technik dokończył ustawienia i skinął głową.

- Gotowe!

Chociaż trzecie ujęcie wypadło bezbłędnie, na wszelki wypadek powtórzyła wszystko jeszcze dwukrotnie. Po montażu ten fragment reklamy będzie trwał dwanaście i pół sekundy.

Praca nad nim zajęła im trzy godziny.

- Koniec, dziękuję! - Z wdzięcznością przyjęła od asystentki kubek z zimną wodą. -

Scenę przed restauracją kręcimy za... - Spojrzała na zegarek. - Za dwie godziny. Fred, przypilnuj, abyśmy mieli rollsa i aby zjawiała się aktorka. E. J., sama odwieź film do montażu. - Przeszła na stronę miotacza. - Panie Friedman... - wyciągnęła rękę. - Serdecznie panu dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł trener, zaskoczony, że tak drobna kobieta ma tak mocny uścisk dłoni. - W moich czasach - dodał ze śmiechem - baseballiści reklamowali yletki i piwo. No i sprzęt, rzecz jasna: rękawice, kije. - Zerknął na Parksa, który podpisywał piłkę dla oświetleniowca. - adnemu projektantowi ubrań nie przyszłoby do głowy prosić naszych chłopców o reklamowanie kolekcji odzieży.

Brooke przeniosła wzrok na Parksa, który artował z E. J. W eleganckim ubraniu i z ciemną, drewnianą pałką w ręce było mu całkiem do twarzy.

- Niech to zostanie między nami - powiedziała do trenera - ale moim zdaniem Parks to nie tylko urodzony sportowiec, ale również aktor i model.

Friedman poklepał ją przyjaźnie po ramieniu.

- Na pewno, kochana, tego mu nie powtórzę. Jeszcze by brakowało, aby mu woda sodowa uderzyła do głowy... Aha - dodał, zanim Brooke odeszła. - Obserwowałem cię podczas pracy. - Uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując rząd pięknych, równych zębów.

- Byłby z ciebie świetny trener!

- Dziękuję. - Zadowolona z komplementu, skierowała się w stronę Parksa. - Nieźle wypadłeś, Parks - pochwaliła go.

Popatrzył z rozbawieniem na jej wyciągniętą dłoń, po czym mocno ją ucisnął.

- Jak na debiutanta? - spytał.

Poczuł lekkie szarpnięcie, jakby Brooke chciała się oswobodzić, ale nie puścił. Palcem pogładził ją po nadgarstku.

- Nie spodziewałam się większych problemów. Bądź co bądź grałeś siebie.

Nieopodal ekipa składała światła, zwijała kable. E. J. entuzjastycznie opisywał

kolegom swoją nową wybrankę serca. Brooke z całej siły starała się skupić na tym, co się dzieje za jej plecami i nie myśleć o dreszczu, jaki wywołuje w niej dotyk Parksa.

- Popołudniowa scena te nie powinna ci sprawić trudności. Najpierw przerobimy ją na sucho. Jeśli będziesz miał pytania...

- Mam jedno. Przejdźmy tu na moment. - Nie czekając, pociągnął ją w stronę boksu dla zawodników oraz drzwi do szatni.

- O co chodzi, Parks? Zanim zaczniemy znów kręcić, muszę zająć się montażem.

- Tutaj już skończyliśmy, tak?

Wzdychając niecierpliwie, wskazała za siebie na ekipę zajęętą pakowaniem sprzętu.

- A jak myślisz?

W odpowiedzi przyparł ją do ściany i zacisnął wargi na jej ustach. Pocałunkiem wyrażał wiele emocji: frustrację, niepokój oraz tęsknotę, bo przecie nie widzieli się od kilku dni. A także złość, bo kiedy w nim narastało podniecenie, ona traktowała go jak element scenografii. Rozdrażnienie, bo musiał wykonywać polecenia kobiety, która zajmowała jego myśli, lecz odmawiała mu swego ciała.

Z trudem wziął się w garść. Siła Brooke stanowiła wyzwanie, z którym musiał się zmierzyć.

- Hej, Brooke, podrzucić cię do... Ups! - E. J. wsunął głowę za ścianę boksu, po czym szybko się wycofał.

Parks oderwał usta od jej ust. Słyszała, jak kamerzysta się oddala, beztrąsko pogwizdując. Wściekła, e straciła nad sobą kontrolę, usiłowała uwolnić się z objęć Parksa.

- Puść mnie!

- Dlaczego?

Najwyraźniej jej lodowaty wzrok bardziej go rozbawił niż przestraszył.

- Nigdy, przenigdy nie rób czegoś takiego, kiedy pracuję - syknęła gniewnie, próbując go odepchnąć.
- Zapytałem, czy skończyliśmy - przypomniał jej, po czym ponownie przyparł ją do ściany.
- Na planie ja jestem reżyserem, a ty produktem - oznajmiła zimno, starannie dobierając słowa. - Masz robić dokładnie to, co ci każe.
- Nie stoisz za kamerą, Brooke. Kamera już jest spakowana.
- Nie chcę sobie, żeby moja ekipa snuła domysły i rozpuszczała plotki, które mogą podważyć mój autorytet i wiarygodność.

Rozgniewana podniecała go jeszcze bardziej.

- A mnie się wydaje - rzekł wolno - że boisz się własnych uczuć. Tego, co ci się podoba mój dotyk. Tego, co gdy cię całuję, zapominasz o tym, kto rządzi.
- Pochylił głowę; ich usta niemal się stykały. - Cały ranek słuchałem twoich rozkazów.

Czas, by role się odwróciły.

Zwarli usta w pocałunku. Oboje czuli narastające napięcie i oboje próbowali je tłumić. Tocząc walkę o dominację, starali się wznieść ponad nie, lecz oboje mieli pełną świadomość, że mu ulegną.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Brooke woliała pracować po południu, by uniknąć wieczornego stania w korkach.

Należało tylko dobrać odpowiednie filtry, aby na filmie oddać atmosferę wieczoru. Scena była prosta do nakręcenia i nie powinna nastęczać większych problemów. Perłowy Rolls zajął miejsce przed elegancką restauracją, wysiadał z niego Parks, ubrany tak jak wcześniej, tylko teraz ma na sobie również marynarkę, by podać dłoń sztywnej brunetce. Kamera pokazuje jej długie, zgrabne nogi, potem spojrzenie, jakie rzuca Parksowi. Objęci, kierują się do restauracji. Obraz zanika, z kadru słychać głos Parksa: „De Marco. Kolekcja dla światowca”.

Scena miała trwać tylko samo co ujęcie na stadionie:

dwanaście sekund, a cała reklama zamknąć się w przewidzianym czasie pół minuty.

- Chcę mieć całego Rollsa, potem zbliżenie na wysiadającego Parksa. Musi być widać, że ma na sobie ten sam strój, w którym odbijał piłkę. Tylko błagam, E. J., nie zagap się na dziewczynę.
- Kto? Ja? - oburzył się kamerzysta. Wyciągnąwszy z kieszeni czapkę z emblematem drużyny Kings, podsunął ją Brooke. - Chcesz? żeby bardziej wczuć się w nastrój?

Z ręką na biodrze Brooke zmierzyła go złym wzrokiem. Roześmiawszy się, E. J.

nasadził czapkę na swoje afro.

- W porządku, szefowo. Wszystko gotowe.

Tak jak to miała w zwyczaju, podeszła do kamery, sprawdziła filtry, kąty, oświetlenie.

Usatysfakcjonowana, dała ręką znać, e mo na zaczynać. Rolls podjechał wolno i zatrzymał

się przy krawę niku. Brooke odtworzyła w głowie melodię, która miała stanowić tło. Zgodnie z instrukcją Parks otworzył drzwi, wysiadł, a następnie podał dłoń towarzysze. Brooke skrzywiła się. Nie, tak jest niedobrze. Wiedziała, co jej się nie podoba, ale postanowiła doczekać do końca sceny, zanim porozmawia z Parksem.

Kiedy kierowca odjechał rollsem, eby przygotować wóz do kolejnego ujęcia, Brooke odprowadziła Parksa na stronę.

- Postaraj się być nieco bardziej wyluzowany - powiedziała łagodnie. Mówiła zupełnie innym tonem ni rano. Często miała do czynienia ze stremowanymi aktorami, więc wiedziała, e krytyką niewiele osiągnie.

Mimo to Parks zareagował gwałtownie.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Po pierwsze, reklamujesz naprawdę dobry produkt. Spróbuj w to uwierzyć.

- Gdybym nie wierzył, nie zgodziłbym się wystąpić w tej reklamie - odparł, mru ąc oczy przed ra ącym blaskiem reflektorów.

- Ale jesteś sztywny. Jeśli będziesz skrępowany, kamera to wychwyci. Poczekaj -

powstrzymała go, gdy chciał zaprotestować. - Rano byłeś w swoim ywiole. Stadion, pałka...

Odbijałeś piłkę, nie zwracając uwagi na kamerę. Tego samego oczekuję teraz.

- Nie jestem aktorem...

- Kto ci ka e grać? - spytała. - Masz być sobą, świetnym, lubianym sportowcem, który jeździ superbryką z piękną kobietą. Powinieneś być odprę ony, pewny siebie. Niczego więcej od ciebie nie ądam. Po prostu się wyluzuj.

- Ciekawe, jak ty byś się czuła, gdyby ktoś ci kazał odbijać piłkę na oczach dwudziestu tysięcy widzów.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Ty ich nie widzisz. Koncentrujesz się na grze i nie myślisz o trybunach.

- To prawda. Ale tu to co innego.

- Wcale nie. Po prostu skup się na sobie. Jedziesz rollsem ze wspaniałą laską... Twoja twarz powinna wyrażać zadowolenie. To chyba nic trudnego, co? - Poprawiła mu kołnierzyk.

- Czy wiesz, e Nina ma iloraz inteligencji jak kurczak?

- Jaka Nina?

- Ta wspaniała laska z rollsa. Brooke westchnęła.

- Przestań kapryścić. Nie ka ę ci się z nią enić.

Parksa zamurowało. Jeszcze nikt nigdy nie zarzucił mu kapryszczenia. Je eli menad er kazał mu przepuścić trzy piłki, to je przepuszczał. Je eli trener kazał mu stanąć na drugiej mecie, to stawał. Nie dlatego, e był uległy, ale dlatego, e był członkiem zespołu i słuchał

poleczeń. Nie zawsze się z nimi zgadzał, ale zawsze je wypełniał. Przeczesaując ręką włosy, uświadomił sobie, e tym razem te powinien je potulnie wykonywać. Brooke jest odpowiednikiem trenera.

- W porządku, postaram się.

Obdarzając ją czarującym uśmiechem, któremu nie ufała, skierował się do rollsa.

Brooke zmarszczyła czoło: podejrzenie szybko skapitulował.

Filmowanie ciągnęło się jeszcze dwie godziny, ale do Parksa nie miała ju adnych zastrzeżeń. Miała natomiast problemy z gapiami, wśród których znalazło się kilku zapalonych kibiców baseballu, oraz z Niną, bądź co bądź zawodową aktorką. Brooke parokrotnie musiała jej tłumaczyć, o jaki efekt jej chodzi: o pewną wyniosłość i chłód, które kontrastowałyby z ciepłem bijącym od Parksa. Tak długo powtarzali ujęcie, a uzyskała to, na czym jej zaleało.

- Dobra, koniec! - ogłosiła. Pracowała od ośmiu godzin, w przerwie zjadła pół

kanapki. Była zadowolona z tego, co zdołali nakręcić, dumna z Parksa i głodna jak pies. -

Moście się zbierać! - powiedziała do ekipy.

- Świetna robota, E. J. Jutro monta i udźwiękowienie. Je eli chcesz zobaczyć, jak będziemy ciąć, to zapraszam.

- Jutro jest sobota.

- Wiem. - Naciągnęła mu czapkę na twarz. - Zaczynamy o dziesiątej. Nino... - Ujęła aktorkę za łokieć.

- Byłaś cudowna, dziękuję. Fred, przypilnuj, eby rolls wrócił na miejsce bez adnych obtarć czy

słuczek, bo będziesz miał do czynienia z Claire Bigelow, jak ten nowy się nazywa? - Wskazała głową na młodego elektryka, który pakował reflektory.

- Silbey.

- Jest niezły. - Postanowiła zapamiętać chłopaka; mo e kiedyś jeszcze z niego skorzysta. Następnie zwróciła się do Parksa: - No, twoja pierwsza reklama. Jutro robimy postsynchrony. Bardzo bolało?

- Do wytrzymania.

- Pewnie nie powinnam ci mówić, e ten film był najłatwiejszy z wszystkich zaplanowanych.

- Pewnie nie powinnaś.

- Gdzie zaparkowałeś?

- Pod stadionem. Spojrzała na zegarek.

- Podrzucę cię. - Przez moment zastanawiała się, czy nie zatrzymać się w Thorton Productions, eby zerknąć na nakręcony materiał, uznała jednak, e następnego dnia rano będzie miała świe sze oko. - Muszę zadzwonić do Claire... Chocia nie, to mo e poczekać.

Panowie, wszystko w porządku? - zwróciła się do ekipy.

- Jutro jest sobota - burknął niepokieszony E.J., wstawiając sprzęt do samochodu. - Ty mnie wykończysz.

- Nie musisz przychodzić. - Wiedziała, e i tak się pojawi. - Cześć!

- Często pracujesz w weekendy? - spytał Parks.

Po długim, pracowitym dniu maszerowała tak szybkim krokiem, jakby miała jeszcze dziesiątki pilnych spraw do załatwienia.

- Jeśli trzeba... Akurat z reklamą de Marca jest pośpiech. Ma być wyemitowana podczas rozgrywek krajowych. - Przyjrzała mu się z ukosa. - Dobrze by było, by kingsi nie odpadli za wcześnie.

Nie zwalniając kroku, zaczęła grzebać w torebce.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparł. - Chcesz, ebym prowadził?

Ściskając w dłoni kluczyki, zmru yła oczy.

- Rozmawiałeś z E. J.?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Nie, nic. - Zatrzymała się przy datsunie. - Dlaczego chcesz prowadzić?

- Bo stałem przed kamerą tylko przez parę godzin, a ty zwijasz się od rana do wieczora. Trzeba mieć elastyczne zdrowie.

- Mam - odparła buńczucznie.

- Jasne. Kobieta z elaza - powiedział półgłosem, gładząc ją po policzku.

- Wsiadaj - mruknęła, wsuwając się za kierownicę. - Trochę potrwa, zanim wydostaniemy się na drugi koniec miasta.

- Mnie się nie spieszy. - Usiadł wygodnie. - Umiesz gotować?

- Słucham? - spytała, włączając silnik.

- Czy umiesz gotować? No wiesz... - Zamieszał wyimaginowaną łyką w wirtualnym garnku.

Z takim impetem włączyła się w ruch, a wstrzymał oddech.

- Oczywiście, e umiem - odparła.

- Czyli mo e do ciebie?

Przejechała skrzyżowanie na ółym świetle.

- Co mo e do mnie?

- Pojedziemy. Na kolację. - Zamilkł, czekając, a Brooke zmieni bieg, by wyprzedzić porsche. - Chyba mi się należy, zważywszy, e do tej pory ja zawsze fundowałem.

- Chcesz, ebym podała ci kolację? - W jej głosie oburzenie mieszało się z niedowierzaniem.

Parks wybuchnął śmiechem. Oj, niełatwo z nią będzie.

- Tak. A potem wezmę się za ciebie. Wcisnęła hamulec. Samochód z piskiem opon stanął kilka centymetrów od wozu tu przed nimi.

- Doprawdy?

- Doprawdy - powtórzył, odważnie spoglądając jej w oczy. - Skończyliśmy pracę.

Zaczynamy nową grę. - Ujął w dłoń jej warkocz. - W której obowiązują nowe zasady.

- A je eli mam obietnice?

- Musimy je przedyskutować, najlepiej w jakimś cichym, ustronnym miejscu. -

Opuszką palca powiódł po jej wargach. - Boisz się?

Tego było jej za wiele. Kiedy światło się zmieniło, ruszyła jak z katapulty.

- Wiesz, e prowadzisz jak szalenciec?

- Wiem.

- To tylko taka uwaga na marginesie - oznajmił, wpatrując się przed siebie.

Kiedy wzbijając tumany kurzu, samochód wjechał na podjazd, a potem zahamował z piskiem opon, Parksa ogarnął taki sam spokój jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrzał dom Brooke. W powietrzu unosił się balsamiczny zapach jesieni, który nigdy nie dociera do L.A.

Liście na drzewach przybrały ró ne odcienie ólci, purpury i czerwieni. Słońce opadało coraz ni ej, a cienie drzew odbijały się w szybach okien. Dookoła rosły przeró ne kwiaty, tworząc wspaniałą artystyczny nieład idealnie pasujący do tej samotni.

Brooke wysiadła w milczeniu i zatrzasnęła z furią drzwi. Uśmiechając się pod nosem, Parks ruszył za nią leniwym krokiem. Jest wściekła. To dobrze, pomyślał. Bo nie bawi go łatwe zwycięstwo. Odkąd ujrzał ją po raz pierwszy, wiedział, e będzie musiał stoczyć z nią cię ki bój. O rezultat był jednak spokojny. Kobieta i mę czyzna, między którymi tak bardzo iskrzy, zostają albo wrogami, albo kochankami. On zaś nie zamierzał zostać wrogiem Brooke Gordon.

Wciąż nie odzywając się słowem, przekręciła klucz w zamku. Weszła do środka, nie oglądając się za siebie.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, był kominek, du y, murowany, niemal na całą ścianę. Drugą ścianę zajmowało okno, które sięgało od podłogi a po dach. O dziwo, stwarzało to niezwykle przytulne wra enie. Przed kominkiem stała ogromna, zawalona poduchami kanapa, niski okrągły stół oraz kilka foteli. Kolory wnętrza były raczej stonowane, jasne brązy i be e, gdzieniegdzie przełamane a to ostrą zielenią pęku pawich piór w miedzianym wazonie, a to czerwienią koca rzuconego na oparcie fotela, a to barwnym dywanem na podłodze z desek.

Rozglądając się, Parks podszedł do półki na wschodniej ścianie. Stały na niej ró ne drobne przedmioty: szklany motyl, który w blasku światła mienił się wszystkimi kolorami tęczy; wyszczerbiona fili anka z talerzykiem kupiona na targu staroci; gruby, uśmiechnięty misiek; porcelanowy wazonik, a obok ró owa mała trzymająca talerze, w które zaczęła uderzać, kiedy Parks wcisnął przycisk. Rozbawiony wyłączył urządzenie. W pokoju znajdowało się mnóstwo takich skarbów: jedne, jak wazonik Wedgwooda, były autentycznie stare i cenne, inne - kupione za grosze w supermarkecie.

Zadumał się. Królestwo Brooke wiele mu o niej mówiło: e nie lubi zamkniętych przestrzeni, e ma eklektyczny gust, e uwielbia be e i szarości upstrzone jaskrawymi plamami koloru. Przyszło mu do głowy, e cały ten dobytek zgromadziła w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Co było przedtem?

Speszona przeprowadzaną w milczeniu lustracją, Brooke podeszła do naro nej szafki, by wyjąć stamtąd butelkę.

- Jak chcesz, mo esz pozwiedzać. Ja zamierzam się napić.

- Ja równie się napiję - powiedział Parks. - Potem mo esz mnie oprowadzić.

Czując się jak u siebie w domu, rozsiadł się wygodnie na miękkiej, niskiej kanapie. Po ilości popiołu w palenisku uznał, e Brooke często korzysta z kominka.

- Miło byłoby popatrzeć na płomienie. Masz jakieś szczapki, polana?

- Za domem. - Podetknęła mu kieliszek pod nos.

- Dzięki. - Przytrzymał ją. - Usiądź. Od samego rana nie miałaś chwili wytchnienia.

Jego troskliwy, przyjazny ton coraz bardziej działał jej na nerwy.

- Nie jestem zmęczona - burknęła. Gdy nagle wylądowała obok niego na kanapie, ogarnęła ją jeszcze większa złość. Cholera, powinna była to przewidzieć! - Co ty sobie wyobra asz? Na co liczysz? e ugotuję ci kolację, a potem zaproszę do łó ka? Je eli...

- Jesteś głodna? - przerwał jej.

- Nie - warknęła.

Poło ył ramię na oparciu kanapy, nogi zaś oparł o stół.

- Jak jesteś głodna, to masz zły humor.

- Nie mam złego humoru! I nie jestem głodna!

- Nastawić muzykę?

Z trudem hamowała wściekłość. Jakim prawem Parks siedzi rozwalony na jej kanapie i zachowuje się tak, jakby to on był gospodarzem?

- Nie.

- Powinnaś się odprę yć. - Palcami zaczął masować jej kark.

- Jestem odprę ona, dziękuję. - Wystraszona prądem, który wędrował jej po krzy u, odepchnęła jego rękę.

- Brooke... - Postawił kieliszek na stole. - Kiedy zadzwoniłaś do mnie przed paroma dniami, zgodziłaś się na to, co, jak wiedziałaś, musi nastąpić.

- Zgodziłam się jedynie spotkać z tobą. Zamierzała wstać, lecz ją zatrzymał.

- Ale wiedziałaś, co to spotkanie oznacza. - Popatrzył jej w oczy, po czym przesunął

spojrzenie niżej, na wargi. - Mogłaś nie pozwolić mi tu dziś przyjechać, ale się temu nie sprzeciwiłaś. - Ponownie utkwiał w niej wzrok. - Chcesz powiedzieć, że to pomyłka? że mnie nie prowadzasz?

Poczuła, że cała dremnęła. Dotychczas inni pierwsi odwracali wzrok, bała się jednak, że tym razem to ona nie wytrzyma. Niemal nadludzkim wysiłkiem zmusiła się, by nie uciec spojrzeniem w bok.

- Co to? Przesłuchanie? - spytała. - Pamiętaj, Parks, że nie jesteś u siebie. To jest mój dom...

- Czego się boisz?

Malujący się na jej twarzy wyraz zmieszania i niepewności ponownie ustąpił miejsca furii.

- Niczego!

- Kochać się ze mną? - ciągnął cicho Parks. - Czy kochać się w ogóle?

Czerwona jak burak zerwała się z kanapy. Dawno, na pewno od dziesięciu lat, nie czuła takiego bólu, strachu i wściekłości.

- Chcesz się kochać?! - spytała gniewnie. - W porządku.

Obróciwszy się na pięcie, ruszyła w stronę schodów na piętro. W połowie drogi obejrzała się przez ramię.

- Idziesz? - Nie czekając na odpowiedź, szła dalej. Weszła do sypialni, trzęsąc się ze złości. Popatrzyła na łóżko. Usłyszała odgłos kroków. To najlepsze rozwiązanie, powtarzała w myślach. Seks pomoże rozładować nagromadzone emocje. Prześpij się ze sobą i ugasz ogień, który ich trawi. Gdy wszedł do pokoju, spiorunowała go wzrokiem. Nie potrafiła wyzbyć się lęku. Szybko, zanim stchórzy, zaczęła ściągać ubranie.

W pierwszej chwili Parks chciał jej powiedzieć, aby przestała, postanowił jednak pójść jej śladem. Dręła na całym ciele, ale chyba nawet nie była tego świadoma. Miał

straszną ochotę przytulić ją, pocieszyć, lecz wiedział, że go odepchnie. Nie spojrzał na nią, kiedy zdjęła bluzkę i cisnęła na podłogę. Ale z satysfakcją zauważył kilka gałązek hibiskusa w wazonie na toalecie.

Podeszła naga do łóżka i odrzuciła róg kołdry, po czym zerknęła przez ramię.

- Gotów?

Z trudem nad sobą panował; najwyśmiałym wysiłkiem woli powściągał głowę. Brooke była taka piękna, taka ponętna, szczupła, miała delikatną, porcelanową skórę i zaokrąglenia we wszystkich właściwych miejscach. Stała dumnie wyprostowana, z groźną miną i wyzwaniem w oczach.

Czy ona zdaje sobie sprawę z własnej kruchości? - zastanawiał się, zbliżając się powoli do łóżka.

Dzieliły ich zaledwie centymetry. Brooke przełknęła ślinę, po czym się odwróciła. Złapał ją za warkocz, zmuszając, by ponownie spojrzała mu w twarz. Wściekłość w jej oczach ostudziłaby zapal większości męczyzn, ale nie Parksa. Uśmiechnął się.

- Tym razem ja jestem reyserem - szepnął. Stała sztywno, podczas gdy on rozplatał jej włosy.

Nie spieszył się, a ona czekała, czując rosnące podniecenie. Była pewna, że Parks zaraz dotknie jej ramienia, pleców, ale nie; koncentrował się na włosach.

- Piękne - szepnął.

Podziwiał ich miękkość i wspaniały tycjanowski odcień. Uniósłszy pukiel, przytknął

go do warg. Brooke zakreśliło się w głowie. Wpatrywała się w niego, bojąc się oderwać od niego spojrzenie.

- Rozluźnij się - szepnął, obejmując ją w talii. - Nie zrobię niczego wbrew twojej woli.

Pokrył jej ramię i szyję drobnymi pocałunkami. Nie potrafiła ukryć podniecenia.

Starając się jednak nie okazać uległości, przycisnęła dłonie do jego klatki piersiowej i odchyliła się do tyłu.

Nie puścił jej, ale nie próbował na siłę przyciągnąć. W jego oczach oprócz pożądania dojrzała wesołe iskierki.

- Chcesz, abym przestał? - spytał. Zrozumiała, że bez względu na to, jaką da odpowiedź, to i tak przegra.

- A przestałbyś? - Powstrzymała się, by nie przejechać palcami po jego nagim torsie. -

Gdybym poprosiła?

- Poproś, to się przekonasz.

Otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo przywarł do nich wargami.

Całował ją czule, a zarazem namiętnie. Nie umiała dłużej się hamować. Zrzuciła mu ręce na szyję. Nawet nie zauważyła, kiedy opadła na łóżko; po prostu w pewnym momencie uświadomiła sobie, że już nie stoi, a leży. Pieszczotami i pocałunkami Parks łamał bariery, za którymi się chowała, uwalniał ją od kolejnych zakazów i ograniczeń. Przyjemność była zbyt wielka, aby się przed nią bronić. Brooke przymknęła oczy, unosząc się na falach zmysłowych doznań.

Parks przesuwiał się w górę i w dół, zostawiając na jej skórze wilgotny szlak.

Dotykiem lekkim jak tchnienie wiatru badał jej ciało. Nigdzie długo nie pozostawał. Jego dłonie rozgrzewały ją, potem wędrowały dalej, w coraz to nowe rejony.

Czuła rozkosz, a zarazem ból. Długo jej nie mogła tego znieść.

- Kochaj mnie - szepnęła. - Kochaj...

- Właśnie to robię - odparł cicho, pieszczotami doprowadzając ją do granic wytrzymałości.

- Teraz... wejdz... - błagała.

Przesunęła rękę niżej, lecz on chwycił ją za przegub.

- Jeszcze nie. - Czuł, jak serce jej wali, słyszał jej jęk i urywany oddech. Mógł spełnić jej prośbę, chciał jednak, by na zawsze zapamiętała tę noc. - Dopiero zacząłem.

Unieruchomiwszy jej ramiona, rozpoczął podróż po jej ciele. Językiem i wargami badał wszystkie jego zakamarki, poznawał najwrażliwsza miejsca, odkrywał tajemnice.

Spocona, wiała się na łokciu, dyszała, unosiła biodra, podsuwała mu piersi do pocałunków.

Przenieśli się w inny wymiar czasu i przestrzeni, a potem złączyli się w jedno: ciało połączyło się z ciałem, serce z sercem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zawieszona pomiędzy jawą a snem była pewna, że leży pod miękką puchową kołdrą, a za oknem srogią zimą. Tłumaczyła sobie, że nie ma powodu opuszczać łóżka i wystawiać się na ziąb. Może przecież wylegiwać się cały dzień, rozkoszować słodkim lenistwem. Och, jak dobrze! Ziewnęła, przeciągnęła się, po czym otworzyła oczy i nagle czar przysł.

Zima wcale nie srogiła się za oknem. Była dopiero wczesna jesień. Ona sama leżała przytulona do Parksa, owinięta miękkim prześcieradłem, a nie puchową kołdrą. Wszystko sobie przypominała: cudowne pieszczoty, szaloną namiętność, brak zahamowań. Niewiele rozmawiali; po prostu pragnęli dawać i brać, dzielić się przyjemnością. Następowały krótkie chwile spełnienia, po których znów wybuchała namiętność. Wreszcie, zmęczeni, spleceni w uścisku, zapadli w sen.

Pamiętała własne podniecenie, niesamowitą energię, siłę, która ją rozpieierała.

Pamiętała także dźwięk Parksa, rozkosz, jaką jej sprawiał pieszczotami. Ale najważniejsza była jedna rzecz, którą sobie uświadomiła w trakcie wieczoru: że potrzebuje Parksa. Trochę się tego bała; nie chciała być od nikogo zależna. Kobieta jest łatwiej zraniona.

Na dworze świtało. W szarym świetle poranka twarz Parksa, od której dzieliło ją zaledwie parę centymetrów, tchnęła spokojem. Wciąż leżała objęta; jego ręka nadal była zanurzona w jej włosach.

Wzdychając, przytknęła powieki. Tak, ceni swoją niezależność i nie chce jej stracić.

Powinna dobrze się zastanowić, zanim będzie za późno; zanim nie tylko straci niezale ność, ale i głowę; zanim wtuli się w rozgrzane ciało le ącego obok mę czyzny. Je eli chce się od niego uwolnić, musi to zrobić teraz.

Zmieniła pozycję, cofnęła rękę. Parks zacisnął wokół niej ramiona i przytulił ją mocniej.

- Nie - mruknął, nie otwierając oczu. - Za wcześnie, eby wstawać.

Ogarnęło ją tak potę ne pragnienie, by na zawsze pozostać w tych objęciach, e a się przestraszyła. Ponownie próbowała się odsunąć i ponownie Parks jej to uniemo liwił. Mówiła sobie, e nie będzie odwzajemniać czulego pocałunku, ale nie posłuchała. Mówiła sobie, e zrzuci rękę, która gładzi ją po udzie, ale nie potrafiła. Zadr ała. Przestań! - zganiła się w myślach, wstań z łó ka! Ale było ju za późno. Nie miała siły ani chęci się opierać. Jęk protestu przeszedł w jęk rozkoszy. Parks czuł, e Brooke toczy wewnętrzną walkę, e usiłuje powściągnąć podniecenie. Przyjrzał się jej uwa nie. Oczy miała w półprzymknięte, oddech urywany. Ręce trzymała na jego ramionach, jakby chciała go odepchnąć.

- Chyba nie ałujesz? - spytał cicho.

- Nie powinniśmy... - wyszeptała po chwili. - To bez sensu.

- Bez sensu? - Starając się nie okazać zawodu, jaki mu sprawiła, ani złości, jaka powoli zaczęła w nim narastać, odgarnął jej włosy z policzka. - Dlaczego?

Napotkała jego wzrok. Chowanie głowy w piasek byłoby przyznaniem się do pora ki.

- Bo tego nie chcę.

- Nie chcesz chcieć.

- Masz rację. Chcę, ale nie chcę chcieć. - Zadr ała, gdy pogładził ją po uchu. - Muszę być rozsądna, myśleć realistycznie. Przez dłu szy czas będziemy z sobą współpracować.

Współpraca przynosząca zadowalające efekty nie będzie mo liwa, je eli będziemy kochankami.

- Ju nimi jesteśmy - zauwa ył.

Sam jego głos, niski, zmysłowy, przyprawił ją o dreszcz.

- Je eli nadal nimi będziemy - uściśliła, starając się zachować spokój.

- Dlaczego? - spytał z uśmiechem.

- Bo... - Wiedziała dlaczego. Znała mnóstwo powodów, dlaczego nie powinni ze sobą sypiać, ale kiedy Parks ją pocałował, wszystkie wyleciały jej z głowy.

- Pozwól, e przez moment to ja będę realistą - rzekł, składając na jej ustach kolejnego całusa. - Jak

często dajesz sobie wolne?

- Nie rozumiem... - Zmarszczyła brwi.

- Mo na pracować osiem, nawet dwanaście godzin na dobę. Mo na kochać swoją pracę, być doskonałym lekarzem czy re yserem, ale od czasu do czasu trzeba porzucać frisbee.

- Frisbee? - Roześmiała się zdziwiona. - O czym ty mówisz, na miłość boską?

- O rozrywce, Brooke. O przyjemności. O le eniu do góry brzuchem, o wyprawie do wesołego miasteczka, o przeja d ce na karuzeli. O tym wszystkim, co sprawia, e praca ma sens.

Miała wra enie, e zbacząją z głównego tematu.

- Czy mo esz mi wyjaśnić, co wyprawa do wesołego miasteczka ma wspólnego z nami, z tobą i mną?

- Czy kiedykolwiek miałaś ukochanego? - Poczuł, jak Brooke sztywnieje, mimo to kontynuował: - Nie chodzi mi o kogoś, z kim spałaś, ale kogoś, z kim spędzałaś razem czas?

O nic więcej nie proszę. - Mówiąc to, zdawał sobie sprawę, e kłamie. Wkrótce będzie chciał

wiedzieć więcej. Jednak był sportowcem z krwi i kości; ył po to, by wygrywać. -

Porzucamy razem frisbee, poskaczmy przez fale. Zobaczmy, dokąd to nas zaprowadzi.

Powoli jej opór topniał.

- Kiedy to mówisz, wszystko wydaje się takie proste.

Poło ył palec na jej wargach.

- Nic nie jest proste, Brooke - powiedział cicho.

- Pragnę cię. Chcę tulić twoje nagie, rozgrzane ciało. Pragnę jeździć z tobą samochodem, patrzeć, jak wiatr rozwiewa ci włosy. Chcę widzieć, jak stoisz roześmiana w deszczu. - Obsypał jej twarz pocałunkami. - Chcę być z tobą, ale wiem, e to nie będzie proste.

Przewróciwszy się na wznak, przyciągnął ją do siebie. Le ała z głową na jego piersi, dumając nad tym, co powiedział. Jego słowa wywarły na niej du e wra enie. Ale czy jest dostatecznie silna, aby robić to wszystko, o czym mówił, i jednocześnie się nie zatracić?

Przyjemność, zabawa... tak, to byłoby miłe. I stanowiłoby wyzwanie. Jak on to kiedyś ujął?

e powinni zostać przyjaciółmi, zanim zostaną kochankami?

- Nie mogę sobie pozwolić na to, eby się w tobie zakochać - szepnęła.

- W porządku - stwierdził, gładząc ją po włosach.

- Ustalmy więc zasady. Punkt pierwszy: obiekt A nie zakocha się w obiekcie B.

Trzepnęła go w ramię.

- Nie wyśmiewaj się ze mnie.

- Dobrze, nie będę - obiecał.

- Hm, zabawa, rozrywka... - rozmyślała na głos.

- Jest to coś, co się robi w wolnym czasie, wyłącznie dla przyjemności - wyjaśnił z powałą miną.

Wybuchnęła śmiechem.

- Dobra, kupię frisbee. - Zbliżyła usta do jego ust.

- Mmm, za wcześnie, eby wstawać.

- Ale ja już się wyspałam - szepnęła.

- A ja... - Przeciągnął się i zamknął oczy - jestem bardzo śpiący. Występowanie w reklamówkach to męczące zajęcie.

- Och, biedaku. - Pogłaskała go po policzku.

- W takim razie odpoczywaj. Oszczędzaj siły. - Przesunęła się niżej, okrywając pocałunkami jego brodę, szyję, pierś. Nagle zahaczyła palcem o okrągły, płaski wisiołek, który połyskiwał na nagim torsie. - Co to?

Otworzywszy jedno oko, zerknął na złotą pięciodolarówkę na łańcuszku.

- To? Amulet. Na szczęście. Dostałem go od ciotki, kiedy wyjeżdżałem na obóz treningowy na Florydzie.

- Zamknął ponownie oko. - Ciotka powiedziała swojemu bratu, a mojemu ojcu, że jest... - Przez moment szukał w pamięci dokładnego sformułowania - ...starym, zadufanym durniem, który myśli wyłącznie o liczbach i wykresach, po czym wręczyła mi ten łańcuszek z pamiątkową monetą i kazała ruszać w drogę.

Brooke obracała w palcach monetę. To znaczy, że on też nosi przy sobie kawałek swojej przeszłości...

- Zawsze to nosisz? - Przesunęła palcami po jego udzie.

- Mmm.

Gdy wciągnął gwałtownie powietrze, ośmielona przeniosła dłoń niżej. Pomruki zadowolenia, jakie docierały do jej uszu, dawały jej poczucie władzy. Zaczęła badać, eksperymentować. Wargami

sprawdzała twardość brzucha, stopień napięcia mięśni. Ona, drobna kobieta, potrafi spowodować, by silny, wysportowany męczyzna dyszał jak po wyczerpującym biegu. Wciągała się coraz bardziej, zapamiętywała w tej grze zmysłów.

- Brooke, ju nie mogę... - Chwycił ją za biodra.

- Chodź, błagam, teraz. Potrzebuję cię. Och, jak bardzo cię potrzebuję.

To były słowa, na które czekała. Ona potrzebowała jego; okazało się, e on jej równie . Poczwała ulgę i radość. Była najszczęśliwszą kobietą na świecie.

O dziewiątej pięćdziesiąt pięć drzwi się otworzyły i do monta owni weszła Claire.

Nikt się nie zdziwił na widok szefowej Thorton Productions, która pojawia się w pracy w sobotni ranek. Ka dy, kto pracował w Thorton dłu ej ni tydzień, wiedział, e Claire nie jest osobą, która jedynie reprezentuje firmę na bankietach, lecz kobietą, która rządzi i wymaga.

Tego dnia miała na sobie jeden ze swoich ukochanych wiśniowych kostiumików i pachniała perfumami prosto z Pary a.

Skinąwszy na powitanie kamerzyście i monta ystom, ruszyła w stronę dzbanka z kawą. Nowy pracownik pewnie natychmiast by się poderwał, eby obsłu yć szefową, ale trójka siedząca przy stole monta owym wiedziała, e nie ma takiej potrzeby.

- Sam parzyłem - oznajmił E. J., kiedy przechyliła dzbanek nad kubkiem. - Więc nie jest taka kwaśna jak kawa Dave'a czy Liii. - Wskazał głową na parę obok.

- Dzięki, E. J.

Ju sam zapach kawy postawił ją na nogi. Chyba oszalałaś, zganiła się w duchu, jeśli sądzisz, e mo esz tańczyć do trzeciej w nocy, a rano normalnie funkcjonować. Uśmiechnęła się pod nosem. Ale jak miło być kobietą szaloną!

- Słyszałam, e wczoraj dobrze wam poszło? Nie było adnych problemów?

- Absolutnie adnych - odparł E. J. - Mamy fantastyczne ujęcie, jak Parks odbija piłkę hen na trybuny.

- Pokręcił głową na samo wspomnienie. - Za to odbicie wygrałem od Brooke dychę. -

Zapomniał ju , e wcześniej tę dychę przegrał.

Z cichym westchnieniem Claire osunęła się na fotel.

- Przyszła ju ? To znaczy Brooke?

- Ja jej nie widziałem. - Oczywiście pamiętał, e po skończonej pracy Brooke oddaliła się z Parksem.

- Masz ju gotowy materiał, Dave?

- Tak. Puścić?

- Za chwilę. - Spojrzała na zegarek.

W tej samej chwili na korytarzu rozległ się głos Brooke.

- Pod warunkiem, e nie będziesz się wtrącał i mówił, co zostawić, a co wyciąć.

- Ale gdybym miał jakieś inteligentne uwagi...?

- Parks, nie artuję. Roześmiał się cicho.

- Dzień dobry - rzuciła Brooke do siedzącej w monta owni grupy. - Jest kawa?

- Osobiście zaparzona przez E. J. - odparła Claire. Sponad kubka obserwowała przyjaciółkę. Hm, wygląda inaczej. Przeniosła wzrok na Parksa. A oto powód tej zmiany, pomyślała z satysfakcją. - Witaj, Parks.

Tonem głosu ani spojrzeniem niczego nie dała po sobie poznać, ale Parks odczytał jej myśli i lekkim skinieniem głowy potwierdził ich trafność.

- Dzień dobry, Claire - rzekł, przechodząc za jej przykładem na „ty”. - Mam nadzieję, e nie przeszkadza ci moja obecność? - Podniósłszy dzbanek, nalał kawę do dwóch kubków. -

Brooke najchętniej by mnie tu nie wpuściła.

- Nie ma nic gorszego - rzekła Brooke, sięgając po śmietankę - ni amatorzy, którzy do wszystkiego się wtrącają...

- Jesteśmy zachwyceni, e nas odwiedziłeś - powiedziała Claire, patrząc na E. J., który rechotał w kułak. - Puść taśmę, Dave. Zobaczymy, jak to wyszło.

Po chwili Parks ujrzał się równocześnie na trzech ekranach. Zza kadru doleciał go głos Brooke, potem klapser wysunął przed obiektyw deseczkę z numerem ujęcia.

- Najlepsze jest trzecie - oznajmiła Brooke, przysiadając na oparciu fotela Claire. -

Mistrzowi pałki nie spodobała się pierwsza piłka.

Parks uśmiechnął się pod nosem, a Claire wykrzyknęła:

- Znakomite oświetlenie!

- To zasługa tego nowego chłopaka, Silbeya - wyjaśniła Brooke. - De Marco powinien być zachwycony. - Pokiwała z zadowoleniem głową. - Zobacz, uniesienie pałki... swobodne ruchy... Nic

się nie ciągnie, nic nie uciska. Parks wygląda świetnie, niesamowicie seksownie.

- Skoncentrowana na ekranie, nie zauważyła spojrzenia, jakie Parks jej posłał. - Chciałabym wykorzystać trzeci dubel.

W milczeniu oglądała wymachy pałką, skupienie na twarzy gracza, odbicie, a na końcu wzruszenie ramion i uśmiech od ucha do ucha.

- To te chciałabym zachować. To wzruszenie ramion. Jest w tym geście cudowna arogancja, beztroska, pewność siebie...

Parks niemal zachłysnął się kawą, lecz Brooke udąła, że tego nie słyszy.

- Tu wszystko jest jasne i proste. Ale w następnej scenie...

Ściskając oburącz kubek, Parks usiadł w fotelu i przez następne dwie godziny słuchał, jak fachowcy go mierzą, ważą, kroją na kawałki. Z początku czuł się zakłopotany, potem jednak zobaczył, że nikt nie chce zrobić z niego idioty. Kto wie, pomyślał, może udział w przewidzianej na dwa lata kampanii okaże się całkiem miłym zajęciem.

Mimo że dziesiątki razy różni trenerzy, zawodnicy, dziennikarze sportowi rozkładali go na czynniki pierwsze i analizowali, nigdy nie robił z tego problemu. Ale kiedy Brooke rzeczowym tonem dyskutowała o jego twarzy, gestach, grymasach, ruchach, momentami czuł

się niezręcznie. Miał wrażenie, jakby to on był produktem, który należy sprzedać, a nie ubrania de Marca.

Puszczali nakręcony materiał w normalnym tempie, w zwolnionym, klatka po klatce, przyspieszali, cofali. Claire słuchała uwag, od czasu do czasu sama dawała wskazówki. Tak, twarz jest świetna, następnym razem trzeba kręcić zbliżenie. Owszem, porusza się doskonale, warto to wykorzystać, a przy okazji pokazać wytrzymałość ubrań oraz ich różnorodność. Tak, może na korcie, w szortach, jeśli nogi mają w porządku.

Parks rzucił Brooke ostrzegawcze spojrzenie, żeby przypadkiem nie wypowiadała się w tej kwestii. Ogólną wesołość, jaką wywołało to zastrzeżenie, Brooke pokryła atakiem kaszlu, po czym posłała Parksowi zalotny uśmiech i porozumiewawcze mrugnięcie.

Natychmiast jej zapragnął. Uczesana w warkocz, w luźnych spodniach i za duży sweterku, pachnąca perfumami, działała na niego podniecająco.

- Tekst nagraliśmy dziś rano - rzekła do Claire.

- Głos ma dobry, chociaż nie wiadomo, jak sobie poradzi z dialogiem. Lila, pokaż grafikę...

Na ekranie pojawił się znak firmowy de Marca: lew z czarną grzywą na błękitnym tle, a niżej nazwa kolekcji. Po paru sekundach wszystko znikło.

- Ładnie, elegancko - pochwaliła Brooke. - To co? Bierzemy trzecie ujęcie z pierwszego segmentu i piąte z drugiego?

- Tak jest. - Claire wstała z fotela. - Dajcie znać, kiedy całość będzie zmontowana i udźwiękowiona. E. J. spisał się znakomicie, jak zawsze.

- Dzięki.

Podawała mu pusty kubek.

- Potrafisz nie tylko świetnie parzyć kawę, ale i rewelacyjnie operować kamerą. -

Ruszyła do drzwi, nie zwracając uwagi na śmiech pary montażystów.

- Parks... mam nadzieję, że się nie nudziłeś?

- Wprost przeciwnie. - Przypomniały mu się szczegółowe analizy jego twarzy i ciała. -

To było bardzo pouczające.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Brooke, zajrzyj do mnie za dziesięć minut. Chociaż ... - Spojrzała na zegarek. - Parks, a może wybrać się z nami na lunch?

- Przykro mi, ale nie mogę. Mam parę spraw do załatwienia.

- No trudno. - Poklepała go po ramieniu. - Powodzenia w rozgrywkach - dodała, oddalając się korytarzem.

- Przez ciebie nie zjem lunchu - mruknęła Brooke, spoglądając z pretensją w oczach na Parksa. - Gdybyś przyjął zaproszenie, Claire pewnie zarezerwowałaby stolik w Ma Maison.

- Przepraszam. - Wyciągnął ją na korytarz. - Czy twoje mrugnięcie oznaczało, że podobają ci się moje nogi?

- Mrugnięcie? - spytała z niewinną miną. - Jakie mrugnięcie? Mruganie podczas montażu jest surowo zabronione.

- Czuję się trochę dziwnie - wyznał. - Rozmawialiście o mnie tak, jakbym był produktem.

Roześmiawszy się, potrząsnęła głową.

- Bo nim jesteś.

Zaskoczyła ją złość w jego oczach.

- Nie jestem produktem. Ja tylko go noszę. Otworzyła usta, eby zaprotestować, po czym westchnęła cicho.

- Wszystko zale y od punktu widzenia, Parks. Z twojego punktu widzenia, z punktu widzenia de Marca, a nawet klientów, produktem są ubrania. Ale z naszego punktu widzenia, producenta, re ysera, kamerzysty, ty jesteś takim samym produktem jak ubranie, które reklamujesz. Musisz przyciągać wzrok, intrygować, podobać się. Inaczej reklama nie ma sensu.

Rozumiał to, ale się z tym nie zgadzał.

- Nie jestem produktem.

- Stajesz się nim za ka dym razem, kiedy wchodzisz na boisko. To dzięki tobie sprzedają się bilety na mecze kingsów, dzięki tobie czapeczki baseballowe i pocztówki z graczami idą jak woda. Więc przestań się oburzać!

- Zgoda, masz rację - mruknął niezadowolony.

- Wszystko zale y od punktu widzenia.

- Uprzedzałam cię, e to nie będzie łatwe. Zorientował się, e Brooke jest o krok od zamknięcia się w sobie. Delikatnie pogładził ją po twarzy.

- W porządku - szepnął - ale pamiętaj, o czym rozmawialiśmy. e w yciu liczy się nie tylko praca, ale równie przyjemności. - Przytknął wargi do jej ust.

- Muszę załatwić parę spraw na mieście, a potem... Wpaść po ciebie?

Odprę yła się.

- Jak chcesz. Do piątej na pewno będę zajęta.

- Dobra. Wieczorem mo esz mi zrobić obiecaną kolację.

- adnej kolacji ci nie obiecywałam. Ale kto wie, mo e coś przyszykuję.

- Kupię wino. - Uśmiechnąwszy się, ruszył do wyjścia.

Nagle Brooke coś sobie przypomniała.

- Poczekaj. Nie masz samochodu.

- Wezmę taksówkę.

Widział wahanie w jej oczach; toczyła wewnętrzną walkę. Po chwili podjęła decyzję i sięgnęła do torebki.

- Jedź moim... - W ręce trzymała kluczyki. Zdawał sobie sprawę, że Brooke nie należała do osób, które chętnie poyczały swoje rzeczy. Tym bardziej więc docenił jej gest.

- Dziękuję.

- Drobiazg. - Zaczerwieniona po uszy wróciła do montażu. - Do zobaczenia o piątej! - zawołała przez ramię.

Jadąc windą na spotkanie z Claire, zastanawiała się, co się z nią dzieje. Czy to normalne, żeby się czerwienić, kiedy ktoś dziękuje za pożyczkę samochodu? Spojrzała na wyświetlające się nad drzwiami numery pięter. Tak mało Parksowi o sobie powiedziała, a on zna ją tak dobrze!

Chociaż nie, wielu rzeczy o niej nie wie. Choćby tego, że wciąż ma egzemplarz

„Małych kobietek” podarowany przez drugą matkę zastępczą. Ani tego, że uwielbiała tę drugą parę zastępczych rodziców i była zdruzgotana, kiedy na skutek ich rozvodu trafiła do trzeciego z kolei domu. Nie wiedziała też o wrednej dziewczynce, z którą przez rok, najkoszmarniejszy rok swojego życia, dzieliła pokój. Ani o Richardsonach, którzy traktowali ją bardziej jak służącą niż dziecko wzięte na wychowanie. Ani o Clarku.

Wzdychając, potarła palcami skronie. Nie lubiła wspomnień, a znajomość z Parksem zmuszała ją do tego, by coraz częściej stawiać czoło przeszłości. Do diabła z tym! Przeszłość to przeszłość, nie ma co zawracać sobie nią głowy. Dość problemów dostarcza teraźniejszość.

Wyszła z windy i szerokim korytarzem ruszyła w stronę biura Claire. Miękka wykładzina tłumiła odgłos jej kroków. Na widok Brooke recepcjonistka, młoda ładna dziewczyna, błysnęła w uśmiechu zębami i wyprostowała się na krześle. Pracowała na najwyszym piętrze od dwóch lat i do Brooke odnosiła się nawet z większą czcią niż do Claire.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, Sheilo. Jestem umówiona z panią Thorton.

Sheila nie sprzeciwiłaby się Brooke, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

Nieświadoma wrażenia, jakie wywołuje, Brooke przeszła dalej wewnętrznym korytarzem i pchnęła szerokie szklane drzwi, za którymi siedziały przy komputerach dwie asystentki Claire zwane bliźniaczkami z powodu identycznych biurek.

Uchyliwszy drzwi do gabinetu szefowej, zorientowała się, że Claire śpi. Zaskoczona, zamarła w bezruchu.

Na lśniącym biurku z hebanu leżały stosy papierów, a za nim stał elegancki skórzany fotel z wysokim oparciem. Właśnie na nim siedziała Claire, trzymając w ręce okulary, których zwykle używała do czytania. Na ścianie po prawej wisiała chińska akwarela. Przez okno wpadały do środka jaskrawe promienie słońca. Brooke zawahała się: wyjść czy zostać?

Postanowiła zostać. Usiadła na krześle na wprost biurka. Krzesło zaskrzypiało. Claire zatrzepotała rękami.

- Cześć. - Brooke rzadko się zdarzało widzieć zmieszanie na twarzy szefowej. -

Wygodniej by ci było na kanapie.

- Na moment przymknęłam oczy.

Nie zwracając uwagi na wyraz niedowierzania w spojrzeniu Brooke, Claire podniosła tekst, który czytała, zanim zmorzył ją sen.

- Chciałam, ebyś zerknęła na scenariusz kolejnego filmu.

- Chętnie. - Brooke sięgnęła po zadrukowane strony. - Kochanie, dobrze się czujesz?

- A co, źle wyglądam?

Brooke przyjrzała się jej wnikliwie. Oczy miała lekko podkrę one, jakby z niewyspania, w sumie jednak wyglądała lepiej i młodziej ni kiedykolwiek.

- Wyglądasz fantastycznie.

Claire odruchowo poprawiła fryzurę.

- Źle spałaś? - Brooke nie dawała za wygraną.

- Późno wróciłam do domu. Słuchaj, ten scenariusz...

- Byłaś z Duttonem?

Zazwyczaj nie wtrącała się do ycia przyjaciółki. Gdyby chwilę wcześniej pomyślała, pewnie ugryzłaby się w język. Claire uśmiechnęła się z pobła aniem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to tak. Brooke odło yła tekst na biurko.

- Claire, czy ty na pewno... - zaczęła. Przerwało jej pukanie do drzwi.

- Zamówiony lunch - oznajmiła bliźniaczka numer jeden, pchając przed sobą wózek.

Brooke poderwała się z krzesła.

- Claire, jesteś cudowna! - Uniosła pokrywkę, rozkoszując się smakowitym zapachem.

- Myślałaś, e ska ę cię na śmierć głodową? - Roześmiewszy się, Claire przesiadła się na kanapę. - Zbyt długo cię znam. Podaj mi sałatę oraz kawę.

- Claire, muszę z tobą powa nie porozmawiać o Lee Duttonie - odezwała się Brooke.

- Proszę bardzo. - Claire nabiła na widelec plasterki rzodkiewki. - Tylko błagam cię, usiądź. Nie mogę patrzeć, jak krąysz z jedzeniem.

Postawiwszy na stole salaterkę, Brooke usiadła i sięgnęła po kanapkę z pieczoną wołowiną.

- Spotykasz się z Duttonem? - zapytała.

- Uważasz, że spotkanie się z mężczyzną nie przystoi kobiecie w moim wieku?

Przysuń, proszę, sól.

- Ale co ty mówisz! - oburzyła się Brooke, podając przyjaciółce solniczkę. - Nie bądź

śmieszna. Chodzi mi o to, że... mogę sobie wyobrazić cię z różnymi wspaniałymi facetami, a z Duttonem jakoś mi to nie wychodzi.

- Dlaczego?

Brooke zmieszana się. Nie taki obrót miała przybrać ta rozmowa.

- Lee sprawia całkiem sympatyczne wrażenie, na pewno jest inteligentny, ale wydaje się... - Westchnęła. - Po prostu... to typ, który... tak mi się przynajmniej wydaje... lubi spędzać czas na kręglach. Ciebie jakoś nie widzę w kręgielni.

- Kręgle, powiadasz? - Claire zmarszczyła w zadumie czoło. - Tego jeszcze nie próbowaliśmy.

- Claire! - Brooke zaczęła przemierzać pokój. - Słuchaj, nie chcę się wtrącać w twoje prywatne sprawy...

- Naprawdę? - Claire uśmiechnęła się łagodnie.

- Jesteś mi bardzo bliska. - Brooke opadła z powrotem na kanapę. - Martwię się o ciebie.

Przyjaciółka ścisnęła ją za rękę.

- Wiem, kochanie. I doceniam to. Ale od bardzo wielu lat świetnie sobie radzę w życiu. Z facetami równie.

Trochę uspokojona Brooke ponownie wbiła zęby w kanapkę.

- No dobrze. Gdybym podejrzewała, że naprawdę zależy ci na Duttonie...

- A dlaczego sądzisz, że mi na nim nie zależy? Na widok wytrzeszczonych oczu Brooke Claire wybuchnęła śmiechem.

- Claire, czy... czy ty... - Brooke wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Czy z nim spałam? - Claire dokończyła za nią.

- Jeszcze nie.

- Jeszcze nie - powtórzyła Brooke.

- Nie proponował mi łożka. - Claire wzięła do ust kolejny kęs sałaty. - Myślałam, że to zrobi, ale ma bardzo konserwatywne poglądy. To mi się podoba. Czuję się przy nim wyjątkowo kobieco, a w naszym fachu człowiek ztraca czasem kobiece cechy.

- To prawda. - Brooke utkwiała wzrok w szklance z mrozoną herbatą. - Kochasz go?

- Chyba tak. - Claire oparła się wygodnie o kanapę.

- Dotychczas tylko raz byłam zakochana. Miałam wtedy tyle lat, co ty teraz. -

Uśmiechnęła się do własnych myśli. - Potem już ani razu nie spotkałam mężczyzny, za którego chciałabym wyjść za mąż.

Brooke pociągnęła łyk herbaty. Doskonale rozumiała Claire.

- Myślisz o małżeństwie?

- Wkrótce skończę pięćdziesiąt lat. Prowadzę prosperującą firmę, mam wygodnie urządzonego dom, grono cudownych znajomych i przyjaciół, nie narzekam na brak zajęć.

Spotkałam jednak mężczyznę, do którego chcę się przytulać, kiedy wracam zmęczona po pracy.

- Ponownie się uśmiechnęła, tym razem do Brooke.

- To miłe uczucie. Dlatego radzę ci: nie czekaj na to tak długo jak ja. Aten Parks...

Wyraźnie mu się podobasz.

Brooke znów podjęła wędrówkę po pokoju.

- Znamy się tak krótko...

- Brooke, nalej się do kobiet, które wiedzą, czego chcą.

- Tak sądzisz? Może faktycznie wiem. Ale nie wiem, czego chce Parks. A jeśli mu się znudzę i mnie porzuci?

- Nie porównuj go z innymi, Brooke. Nie ka mu naprawiać błędów, które inni popełnili.

- O Boże, Claire. - Odgarniając włosy z twarzy, Brooke podeszła do okna. - To ostatnia rzecz, jaką chcę zrobić.

- A na czym ci tak naprawdę zależy, Brooke?

- eby mieć coś dla siebie. Coś własnego. eby nikt nie mógł powiedzieć: „Oddaj, to nie twoje. Rzeczy po ychzone trzeba zwracać!”. - Roześmiała się smutno.

- To wciąż we mnie tkwi. Strach przed utratą tego, co kocham.

- W ka dym to tkwi. Wszyscy pragniemy być szczęśliwi. Niestety, aby to szczęście osiągnąć, nale y podjąć ryzyko.

- Chyba się w nim zakochuję, Claire. I bardzo się tego boję. Im bli szy staje mi się Parks, tym większy ogarnia mnie strach, e to wszystko zaraz runie. Dlatego próbuję się bronić. Próbuję mieć nad nim władzę, eby nie mógł mnie skrzywdzić. To nienormalne.

- To zrozumiałe. Kiedyś przed laty zostałaś boleśnie zraniona. Długo nie mogłaś dojść do siebie. Teraz jesteś dorosłą kobietą, a nie naiwną nastolatką.

Potrzebujesz silnego mę czyzny, takiego, który potrafi nie tylko brać, ale i dawać. Nie śpiesz się, do niczego się nie zmuszaj. Po prostu ciesz się yciem, a wszystko samo się uło y.

- Na pewno?

Claire błysnęła w uśmiechu zębami.

- Na pewno. Ale czasem to trwa dwadzieścia lat... Pokręciwszy smętnie głową, Brooke odeszła od okna i opadła z powrotem na kanapę.

- Ale mnie pocieszyłaś - westchnęła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Brooke siedziała po turecku na orientalnym dywanie w salonie Claire. Przeniosła się z fotela na podłogę w trakcie czwartej zmiany. Tu obok Lee i Claire zajmowali wygodną, pokrytą brokatem sofę. Edna przeszła samą siebie, przygotowując pysznego strogonowa. Ale Brooke nie była w stanie nic przelknąć. Jak miała się nie denerwować, kiedy dru yna Kings grała na stadionie valiantsów?

- Cholera jasna! Powinien odpaść! - zezłościła się. - Trzeba być ślepy, eby tego nie widzieć!

Do sędziego przy drugiej mecie podszedł menad er kingsów, niski krępy facet, wiecznie skrzywiony, który pukał się w czoło, podnosił wzrok do nieba i wykonywał

mnóstwo innych gestów świadczących o tym, e nie zgadza się z decyzją sędziego. Wszystko na nic; sędzia utrzymał decyzję w mocy. Kingsi wciąż mieli przewagę, ale niewielką.

Kiedy kolejny pałkarz kingsów posłał piłkę za siatkę i przeciwnik wyszedł na prowadzenie, Brooke jęknęła głośnie.

- Zwariuję! - Uderzyła pięścią w podłogę. - Nie wytrzymam.

- Brooke staje cię coraz bardziej zapaloną entuzjastką baseballu - szepnęła Claire do Duttona.

- Zauważyłem. - Agent Parksa cmoknął ją w policzek. - Cudownie pachniesz.

Claire poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat wielu mężczyzn przawiło jej komplementy, ale nigdy wcześniej serce nie łomotało jej tak mocno. Gdyby byli sami w pokoju, przytuliłaby się do Lee, ale z uwagi na obecność Brooke jedynie ścisnęła jego dłoń.

- Napij się wina, kochanie - powiedziała do przyjaciółki, wyjmując z kubelka zimną butelkę. - Wino koi nerwy.

Brooke, przejęta grą, nie zwróciła uwagi na lekko ironiczny ton Claire. Odetchnąwszy z ulgą, gdy następny pałkarz wypadł z gry, sięgnęła po kieliszek.

- To ju trzeci.

- Drugi - poprawił ją Lee.

- Drugi, jeśli wierzyć ślepemu sędziemu. - Uśmiechnęła się przez ramię. - To nie ja nazwałam go dupkiem.

- Jeszcze wszystko przed tobą - oznajmił Lee, mrugając porozumiewawczo do Claire.

- Niektórzy zawodnicy... - zaczęła Brooke i nagle urwała, gdy pałkarz valiantsów odbił piłkę w kierunku trzeciej mety.

Parks rzucił się do niej, maksymalnie wyciągając ramię. Sprawiał wrażenie, jakby szybował nad trawą. Chwycił piłkę ułamek sekundy przedtem, nim runął na ubitą ziemię.

- Złapał! - Lee poderwał się, o mało nie rozlewając wina Claire. - Patrzcie na niego!

Tylko patrzcie! Złapał.

Wskazał na ekran telewizora: Parks leżał na ziemi, z uniesioną w górę rękawicą, w której trzymał piłkę.

- Sukin... - W ostatniej chwili agent ugryzł się w język. - On jest rewelacyjny.

Najlepszy w całej lidze!

Wychyliwszy się nieco, poklepał przyjaźnie Brooke po ramieniu. Parks wstał, otrzepał się. Widząc, że nic sobie nie połamał, Brooke się odprężyła.

- Obejrzałabym powtórkę. W zwolnionym tempie.

- Nie martw się, obejrzysz. Będą ją pokazywać do znudzenia. Patrzcie! - Lee ponownie wskazał na

ekran telewizora.

Brooke skupiła uwagę na reklamie ubrań de Marca. Oczywiście widziała ją dziesiątki razy podczas montażu, a potem parokrotnie w telewizji, ale za każdym razem bacznie śledziła trzydziestosekundowy film, usiłując wykryć najdrobniejsze niedociągnięcia.

- Jest idealny - powiedziała zadowolona. - Po prostu idealny.

- Co z następnym filmem? - spytał Lee.

- Czekamy na Parksa - odparła Claire. - Mam nadzieję, że uda nam się przystąpić do pracy w przyszłym tygodniu.

Lee otoczył ją ramieniem.

- To świetny pomysł, żeby reklamy leciały w czasie mistrzostw.

- Kingsi muszą jeszcze wygrać dwa mecze - przypomniała mu Brooke. - A dzisiejszy...

- Dzisiejszy wciąż trwa - zauważył Lee. - Nie denerwuj się.

Brooke zerknęła w bok. Claire i Lee siedzieli przytuleni, uśmiechnięci, ona z kieliszkiem wina w ręce, on w koszuli opinającej wydatny brzuch i z nogą założoną na nogę.

Wyglądali na bardzo szczęśliwych.

- Lubię cię, Lee - powiedziała niespodziewanie. - Naprawdę cię lubię.

Zamrugał, po czym uśmiechnął się lekko speszony.

- Ja... dzięki, mała.

Zaaprobowała nas, pomyślała Claire z zadowoleniem, ujmując jego dłoń.

Brooke z uporem przeciskała się przez tłum. Na lotnisku w Los Angeles zawsze panował duży ruch, tego dnia jednak pojawiły się setki, a nawet tysiące fanów pragnących powitać zwycięską drużynę L. A. Kings. Obserwując tłum, zauważyła, że wśród czekających na powrót baseballistów jest sporo młodzieży, która o tej porze powinna być w szkole, oraz dorosłych, którzy najwyraźniej zwolnili się z pracy. No ale po tak wspaniałym meczu zawodnicy zasłużyli na uwielbienie kibiców. Zastanawiała się, czy zdoła przepchnąć się bliżej, by Parks miał szansę ją dojrzeć. Chyba pomysł sprawienia mu niespodzianki nie był najszcześniejszy. Jakiś ojciec - wagarowicz posadził na ramionach syna - wagarowicza.

Brooke uśmiechnęła się szeroko. Mimo że pomysł nie był najszcześniejszy, ale atmosfera na lotnisku była świetna.

Przesunąwszy okulary słoneczne na czubek głowy, zmrużyła oczy przed blaskiem słońca i czekała, a

samolot wylądował. Im bardziej mała ciemna kropka w powietrzu przybierała kształt maszyny, tym większe Brooke odczuwała zdenerwowanie. Stała w tłumie podekscytowanych kibiców niepewna, czy słusznie postąpiła.

Będzie zmęczony, pomyślała, przysłuchując się dziesiątkom rozbrzmiewających wkoło rozmów. Będzie marzył o tym, aby pojechać prosto do domu i zwalić się do łóżka.

Przyglądała włosy. Powinna była go uprzedzić, że wybiera się na lotnisko. Przeszując z nogi na nogę, patrzyła na kołujący samolot.

Kiedy tylko otworzyły się drzwi, tłum zaczął wiwatować. Okrzyki przybrały na sile, gdy w drzwiach pojawili się pierwsi zawodnicy. Pomachali do oczekujących fanów. Sprawiali wrażenie zmęczonych. Brooke uśmiechnęła się w duchu. Nic dziwnego. Długi lot, różnica czasu między wschodnim a zachodnim wybrzeżem oraz oblewanie zwycięstwa - wszystko to odcisnęło na nich swoje piętno. Nazajutrz po walkach zapaśniczych gladiatorzy pewnie wyglądali podobnie.

Na widok Parksa zrobiło się jej ciepło w środku. Stojąca obok nastolatka ścisnęła za rękę przyjaciółkę i zapiszczała.

- Zobacz, to Parks Jones! Ale on boski!

Ciekawe, pomyślała z rozbawieniem Brooke, jak by Parks zareagował na taki komplement.

- Kiedy na niego patrzę, nogi się przede mną uginają - kontynuowała nastolatka, opierając się o ogrodzenie. - Widziałas tę reklamę w telewizji? Jak się uśmiechnął, miałam wrażenie, że uśmiecha się do mnie. O mało nie zemdlalam.

Nie odrywając wzroku od Parksa, Brooke pogratulowała sobie w duchu. Właśnie o to chodziło; aby reklama działała na zmysły.

Okiem rezerwy obserwowała opuszczających samolot graczy. Ona widziała grupę spiętych, znudzonych mężczyzn, kibice zaś wielkich bohaterów. Kiedy dego witali głośnymi okrzykami i brawami. Niektórzy gracze jedynie machali w odpowiedzi i szli dalej, większość jednak podchodziła do ogrodzenia, aby zamienić z fanami parę słów, uścisnąć kilka rąk.

Parks zbliżył się razem ze Snyderem, pierwszometowym. Byli pochłonięci rozmową.

Zastanawiała się, o czym tak dyskutują: pewnie wciąż przeżywają wygrany mecz.

- Wystarczy dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści pojemników z kremem do golenia i cała jego szafka będzie w pianie! - podniecał się Snyder.

- Po pierwsze, opróżnianie pojemników potrwa za długo. A po drugie, piany szybko opadnie - stwierdził Parks. - Trzeba myśleć praktycznie, George.

- Masz lepszy pomysł? - spytał Snyder, uniesioną ręką pozdrawiając kibiców.

- Dwutlenek węgla. - Parks powiódł wzrokiem po wiwatującym tłumie. - Działa szybko i niezawodnie.

- Jasne! - Snyder klepnął go w plecy. - Wiedziałem, Einsteinie, e coś wymyślisz!

- Dobra, dobra. Ale moja szafka pozostaje czysta. Rozumiemy się?

- No pewnie. - Snyder uśmiechnął się od ucha do ucha. - Stary, tylko spójrz na tych ludzi. Czy to nie fantastyczne?

Parks zamierzał przyznać koledze rację, gdy nagle spostrzegł lśniąca w słońcu burzę rudych włosów. Zmęczenie, które odczuwał, znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Fantastyczne - mruknął, kierując się do Brooke. Na widok zbliżającego się Parksa nastolatka jęknęła i chwyciła się ramienia przyjaciółki, eby nie osunąć się na ziemię.

- Idzie tu - szepnęła. - Do nas. Bo e, chyba zemdleję!

Brooke popatrzyła mu w oczy, gdy zatrzymał się po drugiej stronie ogrodzenia.

- Cześć - powiedział, przykrywając ręką jej dłoń.

- Cześć - odparła, czując, jak zalewają ją fale po ądania.

- Podwieziesz mnie?

- Zawsze i wszędzie. Przycisnął wargi do jej palców.

- Spotkamy się na zewnątrz? Muszę odebrać baga ...

Kątem oka widziała, z jakim zafascynowaniem przyglądają się im nastolatki.

- Wspaniale wczoraj grałeś.

- Dzięki. - Wyszczrzył zęby, powoli ruszając do budynku.

Kiedy oddalił się od siatki, Snyder złapał go za ramię.

- Świetna babka.

- Owszem, ale trzymaj się od niej z daleka.

- Stary, przecie jesteśmy kumplami. Tworzymy zespół. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Wara!

- Problem z Parksem - powiedział Snyder, zwracając się do stojącego za ogrodzeniem starszego kibica - polega na tym, e to samolub. Ja mu rzucam dobre piłki i ja przyjmuję na siebie krytykę, kiedy

on nawala, i co za to mam? - Popatrzył z pretensją na kolegę. - Mógłbyś mnie chociaż przedstawić swojej znajomej...

- Twoje niedoczekanie! - zawołał ze śmiechem Parks.

Dojście do terminalu zajęło mu niemal pół godziny. Z każdą minutą stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Niewinny dotyk dłoni Brooke jedynie zaostrzył jego apetyt. Podczas wyjazdów nigdy nie czuł się samotny. Zawsze był otoczony ludźmi, których znał i szanował.

Stanowili namiastkę rodziny. Mógł spędzać z nimi wieczory i dni wolne od meczów, a jeśli nie miał ochoty na towarzystwo, mógł zamknąć się w swoim pokoju. Nikt się o to nie obrażał.

Teraz po raz pierwszy w życiu zaczęła mu doskwierać samotność.

Nie potrafił powiedzieć, ile razy w ciągu ostatnich czterech dni myślał o Brooke. Bez niej świat wydawał mu się pusty, niepełny...

Nagle znów ją ujrzał. Stała oparta o filar przy pasie, na którym przesuwały się bagaże.

U jej stóp stała jego walizka.

Uśmiechnęła się, ale nie ruszyła mu naprzeciw. Nie chciała, aby zorientował się, jak mocno wali jej serce.

- Masz bardzo mało bagaży - zauważyła na powitanie.

Ujął jej twarz w dłonie i nie zważając na kłębiący się tłum, przycisnął wargi do jej ust w długim, namiętnym pocałunku.

- Tęskniłem za tobą - szepnął.

Koledzy z drużyny, którzy czekali na odbiór bagaży, zaczęli znacząco pokasływać.

- Najmocniej przepraszam. - Położywszy rękę na ramieniu Parksa, Snyder posłał

Brooke czarujący uśmiech. - Chyba się pani pomyliła. Nazywam się George Snyder, a ten, z którym się pani całuje, to nasz wiekowy pałkarz Jones.

- Miło mi. - Brooke wyciągnęła dłoń na powitanie. - Bardzo panu współczuję z powodu tych dwóch niefortunnych zagrań.

Inni gracze przysłuchujący się tej wymianie zdań, parsknęli śmiechem.

- Chciałem uśpić czujność przeciwnika - wyjaśnił Snyder.

- Rozumiem. - Skinęła głową. - No i udało się.

- George, czas się po egnąć. - Parks dał znak dwóm kolegom z drużyny, którzy wzięli Snydera pod pachy i odciągnęli na bok.

- Jones, nie bądź takim egoistą! - protestował ze śmiechem Snyder. - Myśmy z panią tylko omawiali moją strategię.

- Do widzenia, George. - Brooke pomachała mu na pożegnanie.

Parks schylił się po walizkę.

- Spływamy! - Chwycił Brooke za rękę.

- Mogłeś mnie przedstawić swoim przyjaciołom - powiedziała z udawaną pretensją w głosie.

- Nic z tego. To niebezpieczne typy. Wszyscy co do jednego.

- Zwłaszcza ten z dwójką maluchów na ręce - powiedziała rozbawiona.

- No dobrze, jest parę wyjątków - przyznał Parks.

- Do których i ty należysz? Objął ją w pasie i przytulił.

- Nie.

- Moje więc masz ochotę pojechać do mnie i zdradzić mi swoją strategię?

- To najlepszy pomysł, jaki od dawna słyszałem. Wstawił walizkę do bagażnika, po czym usadowił się na miejscu pasażera. Przyzwyczajony już do sposobu, w jaki Brooke prowadzi, odprężył się i zaczął jej opowiadać o meczu. Słuchała zadowolona, a wzięła dzień wolny, aby mogli spędzić razem chociaż kilka godzin.

- Telewizja już emitowała reklamę de Marca - powiedziała, kiedy wyjechali z miasta.

- Tak? I jak wypadła? - Oparł głowę o zagłówek. Cieszył się, a w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie musi nic robić.

- Fantastycznie. - Brooke nacisnęła mocniej pedał gazu. - W dodatku z pierwszej ręki wiem, a odnosi zamierzony skutek.

- Z pierwszej ręki?

- Tak. Od dziewczyny z tłumu na lotnisku. - Zacytowała słowa nastolatki, obserwując grymas na twarzy Parksa przy słowie „boski”.

- To wielki zaszczyt podobać się szesnastoletnim panienkom - oznajmił ironicznie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile pieniędzy szesnastoletni zostawiają w sklepach. - Z

wprawą wzięła zakręt na wąskiej drodze. - Mo e nie one same, ale ich rodzice. A poniewa szesnastolatki lubią modne ciuchy, będą wiercić rodzicom dziurę w brzuchu, eby im kupili a to d insy de Marco, a to koszulę, pasek i tak dalej, i tak dalej. - Odrzuciwszy w tył włosy, przyjrzała mu się z ukosa. - Masz piękny uśmiech, wiesz o tym?

- Tak, wiem - przyznał, spuszczać skromnie oczy.

Zahamowała ostro na podjeździe przed domem i wysiadłszy pośpiesznie, zanim Parks zdą y zakląć, ruszyła ście ką do drzwi.

- Za karę - oznajmił Parks, wyciągając z baga nika walizkę - nie dam ci prezentu.

Brooke przystanęła; uśmiech na jej twarzy ustąpił miejsca zdumieniu.

- Kupiłeś mi prezent?

Wyglądała jak dziecko, które spodziewa się, e dostanie ślicznie opakowane puste pudełko.

- Tak - odparł lekko. - Ale powa nie się zastanawiam, czy nie zatrzymać go dla siebie.

- Co mi kupiłeś?

- Nie wejdziemy do środka?

Wzruszywszy ramionami, energicznie przekręciła klucz w zamku.

- Ju uło yłam drewno w kominku - rzekła, wchodząc do holu. - Rozpalisz ogień? A ja tymczasem zrobię kawę...

- Z przyjemnością. - Postawił walizkę na podłodze.

przeciagnał się, a potem jęknął cicho, dotykając eber, które wcią go bolały po wczorajszym zetknięciu z twardą murawą.

Rozejrzał się po salonie. Na stoliku pod ścianą stały w wazonie chryzantemy i cynie.

Stolik był stylowy, dziewiętnastowieczny, wazon tandetny, ze sklepu z przecenionym towarem. Kręcąc z uśmiechem głową, podszedł do kominka.

Potarł zapałkę i przyło ył ją do papieru pod podpałką. Suche drewno błyskawicznie się zajęło. Gdy wciągnął w nozdrza zapach dymu, przed oczami stanęły mu ró ne obrazy: przytulny salon w domu rodziców, biwaki, na które jeździł z wujem i kuzynami, weekendy w Anglii w domu kolegi ze studiów. Ogień w kominku kojarzył mu się z samymi miłymi rzeczami. Jak e chętnie patrzyłby w płomień, trzymając Brooke w ramionach.

Weszła, niosąc tacę z butelką i dwoma kieliszkami.

- Pomyślałam, e wolałbyś napić się wina.

- Wolałbym. - Wziął tacę i postawił ją na pufie. Z uznaniem przyjrzał się etykietce na butelce. - Coś świętujemy? - spytał, unosząc brwi.

- Owszem. Wasze jutrzejsze zwycięstwo. A jeśli przegracie, to trudno. Co wypijemy, to nasze.

- Słusznie. - Napelnił kieliszki. - A zatem za mecz, tak? - spytał z uśmiechem.

Serce zabiło jej mocniej.

- Za mecz - potwierdziła, podnosząc kieliszek do ust.

Pociągnęła łyk, po czym zdziwiona otworzyła szeroko oczy, kiedy Parks delikatnie ujął pasmo jej włosów.

- Jak wspaniale lśniły w słońcu - zachwycił się. - Gdyby nie siatka, która nas odgradzała, rzuciłbym się na ciebie, nie zwa ając na cały ten tłum... To były cztery bardzo długie dni - dodał cicho.

Skinęła głową, po czym podprowadziła go do kanapy. Usiedli.

- Jesteś spięty.

Przytulił ją. Wiedział, e to napięcie go wkrótce opuści, by powrócić godzinę przed jutrzejszą grą.

- Czasem myślę, e najszczęśliwsi są ci zawodnicy, którzy zamiast w październiku odbijać kolejne piłki i ganiać od mety do mety, grabią w ogródku suche liście.

- Nie mówisz tego powa nie. Roześmiał się.

- Nie - przyznał. - Rozgrywki te są miłe, nie mówiąc o zwycięstwie w mistrzostwach.

Nie chciał o tym myśleć; wolał skupić się na tej cudownej istocie, którą trzymał w ramionach, a tak e na długim leniwym popołudniu i wieczorze, który mieli razem spędzić.

Unoszący się w powietrzu zapach jesiennych kwiatów mieszał się z zapachem perfum. Parks wyciągnął się wygodnie i popijając wino, wpatrywał się w tańczące płomienie.

- Bardzo byłaś zajęta?

Przytaknęła. Podobnie jak on nie chciała myśleć o pracy.

- Dajmy temu spokój - odparła. - W dodatku E. J. zabrał mnie do kina na koszmarny film, którego bohaterowie biegali w antycznych strojach i ciskali gromy.

- Na „Zemstę Olimpu”?

- Tak. Był tam trzygłowy gadający smok.

- Widziałem go w zeszłym miesiącu w Filadelfii. Padał deszcz, więc mecz odwołano.

- Trzy razy zauważyłam w kadrze mikrofon.

- Zapewniam cię, e tylko ty. Poza tobą wszyscy w kinie spali.

- Drażni mnie taka rażąca niekompetencja i niefrasobliwość twórców. - Oparła głowę na jego ramieniu. Nagle uświadomiła sobie, jak przeraźliwie pusty był jej dom w ostatnich dniach i jak bardzo zmieniła się w nim atmosfera, odkąd Parks przekroczył jego próg. Do tej pory cechowało ją silne poczucie własności, które teraz w obecności Parksa słabło, niemal całkiem zanikało. Popatrzyła na jego profil. - Tęskniłam za tobą.

- Liczyłem na to - szepnął.

Musnął wargami jej policzek. Zadrżała. Jeszcze nie, powiedział do siebie, czując, jak ogarnia go porażenie. Powoli, stary, nie spiesz się.

- Moje jednak dam ci ten prezent... Pocałowała go w szyję.

- Nie wierzę, e mi coś kupiłeś. Wiedział, e go prowokuje.

- Zaraz się przekonasz. - Wstał z kanapy. Podeszedł do walizki, otworzył ją i przez chwilę czegoś szukał. Kiedy wyprostował się, trzymał w ręce małe białe pudełko. Brooke popatrzyła na nie z zaciekawieniem, ale i podejrzliwością.

- Co to jest?

- Sama zobacz. - Położył prezent na jej kolanach. Podniosła ostro pudełko, obejrzała je ze wszystkich stron, podrzuciła, jakby sprawdzała jego wagę. Nie była przyzwyczajona do prezentów wręczanych bez okazji.

- Nie musiałeś... - zaczęła.

- O czym ty mówisz? - przerwał jej. - Musieć, to człowiek musi dać siostrze prezent pod choinkę.

- Usiadł obok niej. - Ale ty nie jesteś moją siostrą, a do świąt jeszcze dwa miesiące.

Marszcząc czoło, Brooke w milczeniu rozpakowała paczuszkę. W środku była owinięta w kilka warstw bibułki ceramiczna figurka róźowej hipopotamicy w kolorowe grochy. Miała pomalowane rzęsy i uwodzicielski uśmiech.

- Jaka cudna! - zawołała uradowana.

- Trochę mi przypomina siebie - powiedział Parks, zadowolony z jej reakcji.

- Czy by? - Obejrzała figurkę z wszystkich stron.

- Oczy ma prześliczne. - Wzruszona, pogłaskała hipopotama po szerokim zadku. - Jest naprawdę urocza. Ale... skąd ci przyszedł do głowy pomysł, eby mi ją kupić?

- Uznałem, e będzie pasowała do twojej mena erii.

- Widząc jej skonfundowaną minę, wskazał na półkę, na której stała małpka i niedźwiedź. - Jest jeszcze pies na drzwiach wejściowych, drewniany zajęc w sypialni i porcelanowa sowa na parapecie w kuchni.

Dopiero po chwili skojarzyła, o czym Parks mówi. W całym domu znajdowały się przeró ne zwierzaki. Zbierała je od lat, nie zastanawiając się, dlaczego to robi. Nagle, bez adnego ostrze enia, wybuchnęła płaczem.

Zaskoczony i przera ony, rzucił się ją objąć. Nie miał pojęcia, jak ją pocieszyć.

Poniewa jednak dorastał z siostrami, wiedział, e dziewczynskie łzy czasem płyną bez adnego logicznego powodu.

Brooke wstała z kanapy.

- Nie, proszę cię, nie - wyjąkała speszona. - Zaraz mi przejdzie. Nienawidzę płakać.

On mimo to ją przytulił.

- Nie mogę znieść widoku twoich łez - szepnął, a po chwili z nutą rozdra nienia w głosie spytał: - Dlaczego płaczesz?

- Pomyślisz, e jestem głupia. - Pociągnęła nosem. - A ja nienawidzę być głupia.

- Brooke...

Nie wiedząc, jak powstrzymać jej łzy, zaczął ją całować: dr ące wargi, słone policzki, wilgotne powieki.

Powoli narastało w nim podniecenie. Próbował się opamiętać, powtarzał w myślach, e Brooke jest smutna, bezbronna, e nie powinien wykorzystywać tej chwili słabości. Ale nie potrafił powściągnąć namiętności, zwłaszcza e Brooke się nie opierała.

Opadli na puszysty wełniany dywan przed kominkiem. Płomienie syczały, rzucając ciepły pomarańczowy blask. Nie spieszyli się. Czas przestał istnieć. Nie było jesieni ani wiosny, ranka ani popołudnia, była tylko terażniejszość.

Le eli nadzy, ogrzewało ich ciepło ognia i promienie słońca, które wpadały przez okna w salonie. Nie przerywając pocałunków, pieścili się, badali dłońmi swoje ciała. Co rusz ciszę mącił czyjś jęk lub westchnienie.

Przenieśli się w inny świat, w świat zmysłów, w którym się czuje, lecz o niczym nie myśli.

Chyba zasnął. Był pewien, e przymknął oczy dosłownie na sekundę, ale kiedy uniósł

powieki, promienie słońca padały pod zupełnie innym kątem. Brooke le ała obok, z otwartymi oczami. Przyglądała mu się prawie od godziny. Uśmiechnąwszy się, musnęła wargami jej ramię.

- Przepraszam. Zasnąłem?

- Na chwilę. - Wtuliła twarz w jego szyję, eby niczego nie wyczytał z jej spojrzenia. -

Byłeś potwornie zmęczony.

- Ale ju nie jestem. - Faktycznie, czuł się rześki, świe y, pełen energii. Pogładził ją po plecach. - Chciałem cię o coś spytać, ale zupełnie mi to wyleciało z głowy. - Oparł głowę na łokciu. - Dlaczego płakałaś?

Wzruszyła ramionami. Zamierzała się odsunąć, ale ją przytrzymał.

- Brooke, nie odtrącaj mnie. Nie zamykaj się przede mną - poprosił cicho.

Zaczęła protestować, czuła opór przed uzewnętrznianiem swoich emocji, ale po chwili uświadomiła sobie, e Parks ma rację.

- No dobrze - rzekła. - Płakałam, bo postąpiłeś szlachetnie, bezinteresownie. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Uniósł zdziwiony brwi.

- To nie był jedyny powód, prawda? Wzdychając cię ko, usiadła. Tym razem jej na to pozwolił.

- Nie zdawałam sobie sprawy, e kolekcjonuję zwierzątka. - Odgarnęła włosy z twarzy, po czym objęła kolana. - Dopiero ty mi to uzmysłowiłeś. Całe ycia marzyłam o tym, eby mieć pieska, kotka, ptaszka, cokolwiek. Ale ponieważ ciągle zmieniałam miejsca, nie było to mo liwe. - Ponownie wzruszyła ramionami. Włosy opadły jej na plecy. - Nie miałam świadomości, e tymi małpkami i zajączkami próbuję zapełnić pustkę z dzieciństwa.

Zrobiło mu się jej al. Ale wiedział, e współczuciem niewiele wskóra.

- Jesteś dorosłą kobietą, Brooke. Z własnym domem, własnym yciem. Mo esz mieć wszystko, czego zapragniesz. - Sięgnąwszy za siebie, nalał im obojgu po kieliszku wina.

- Wiem - przyznała półgłosem.

- Gdybyś mogła wybierać, to jakiego chciałabyś mieć psa? - spytał, pociągając łyk.

Przez chwilę z namysłem obracała kieliszek w dłoni, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Normalnego. Po prostu miękkiego, miłego, kochanego. - Wyciągnęła rękę i pogładziła Parksa po

policzku. - Nawet ci nie podziękowałam.

- Istotnie. - Szybkim, wprawnym ruchem pchnął ją na dywan. - Mo e byś to zrobiła teraz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Claire zeszła na dół, eby rzucić okiem na plan i ewentualnie wprowadzić jakieś poprawki. Na końcu studia pełnego sprzętów, reflektorów i przeróżnych rekwizytów urządzono przytulny „salonik”. Na stoliki obok obitej brązową skórą wygodnej kanapy stała lampa z witrażowym abażurem, której ciepły blask stwarzał romantyczny nastrój. Ekipa, niezadowolona z efektu, ciągle coś poprawiała.

Nieźle, pomyślała Claire, oceniając efekt końcowy. Z klasą. A co najważniejsze, powinno podobać się de Marco. De Marco do tego stopnia był zachwycony pierwszą reklamą, że nalegał, aby w drugim filmie zagrała jego obecna dama serca.

Oczywiście Brooke zaczęła jęczeć i protestować, kiedy o tym usłyszała, jednak musiała się zgodzić. Dobrze, że nie kazał dopisać kwestii dla swojej flamy, mruknęła pod nosem.

Claire spojrzała na zegarek. Najpierw mieli kręcić fragment w studiu, który w reklamie ukaże się na samym końcu. Po prostu poznawszy temperament Parksa, Brooke uznała, że lepiej zacząć od trudniejszej partii. Szczęście im dopisywało. W przyszłym tygodniu drużyna Kingsów miała grać o mistrzostwo Stanów; reklama wyemitowana w tym czasie niewątpliwie odniesie znacznie większy skutek.

Za drzwiami studia przygotowano stół z przekąskami. Kilka osób z ekipy, między innymi E. J. z oświetleniowcem, posilało się przy nim. Brooke krążyła po planie, z kawałkiem sera w ręce, sprawdzając, czy wszystko odpowiada jej wymaganiom.

- Cholera, Bigelow, światło znów migocze. Zmień żarówkę albo skombinuj nową lampę. Silbey, pokaż filtry.

Silbey wcisnął przełącznik. Efekt był taki, o jaki jej chodziło.

- Dobrze - pochwaliła. - A jak dźwięk?

Operator dźwięku wskazał mikrofon. Brooke zaczęła recytować wierszyk dla dzieci, lekko improwizując. Kiedy skończyła, rozległ się aplauz. Dygnęła.

- No i co? Są jakieś problemy? - spytała Claire, podchodząc bliżej.

- Nie, wszystko w porządku. A u ciebie?

- Te - odparła Claire. - Flama się właśnie przebiera. Mignęła mi w przejściu. Piękna.

- To dobrze. Czy de Marco zamierza się zjawić?

- Nie. - Claire uśmiechnęła się, słysząc westchnienie ulgi. Brooke nienawidziła, gdy na plan filmowy

przychodzili członkowie rodziny, przyjaciele, kochankowie, czyli osoby postronne. - Gina mu zabroniła. Powiedziała, e czując na sobie jego wzrok, miałyby większą treść. Ale pan de Marco wyraźnie dal mi do zrozumienia, e Ginę nale y traktować z wyrozumiałością i szacunkiem.

- Nie pogryzę jej - obiecała Brooke. - Przećwiczyłam tekst z Parksem. Zna swoją kwestię na pamięć. Oby tylko nie wystraszył się kamery i nie zaczął dukać...

- Nie wygląda na takiego, co duka. Twarz Brooke rozpromienił uśmiech.

- To prawda. I wiesz co? Wydaje mi się, e te przygoda z reklamą coraz bardziej go bawi.

- To doskonale. Chciałabym, eby przeczytał pewien scenariusz...

W górze, na drabinie nad ich głowami, ktoś siarczyście zaklął.

- Jest tam mała rólka - ciągnęła Claire, jakby nic nie słyszała - do której, moim zdaniem, świetnie by się nadawał.

Brooke Zastrzygła uszami.

- Mówisz o filmie fabularnym?

- Tak, dla telewizji kablowej. Kompletowanie obsady rozpoczniemy dopiero za miesiąc czy dwa, więc będzie miał sporo czasu do namysłu. Dobrze by było gdybyś te przeczytała tekst...

- Jasne. - Wciąż rozmyślając o nowej kariere Parksa, Brooke wydała komuś jakieś polecenie.

- Bo mo e chciałabyś wyre yserować prawdziwy film - dodała Claire.

- Co takiego? - Brooke niemal się zakrztusiła.

- Wiem, e lubisz kręcić reklamówki. Stale powtarzasz, e odpowiada ci ten rodzaj pracy, ale mo e zmienisz zdanie, kiedy przejrzysz scenariusz.

- Ale , Claire... - Brooke pokręciła głową - najdłu szy film, jaki kiedykolwiek wyre yserowałam, trwał sześćdziesiąt sekund.

- Mówisz o zeszłorocznej zapowiedzi nowych programów telewizyjnych? Trzy znane gwiazdy filmowe powiedziały mi, e jesteś najlepszym re yserem, z jakim w yciu pracowały. - Zabrzmiało to jak suche stwierdzenie faktu, a nie komplement. - Od dawna chcę, abyś podjęła nowe wyzwanie. Oczywiście do niczego nie będę cię zmuszać, ale... po prostu przeczytaj ten scenariusz, dobrze?

- W porządku - zgodziła się Brooke po chwili namysłu.

- Wspaniale... O, jest Parks. - Zmierzyła go krytycznym wzrokiem - Nie da się ukryć, ubrania de Marca świetnie na nim le ą.

Wyglądał tak, jakby całe życie chodził w jasnoniebieskich kaszmirowych swetrach i szarych dżinsach; jakby ten elegancki, sportowy styl został stworzony specjalnie dla niego.

Trzymając w dłoni szklanę z zimnym napojem, rozglądał się po zastawionej sali, po której kręciły się dziesiątki osób. Jediną oazą spokoju i porządku zdawała się być nieduża przestrzeń z boku, gdzie stała kanapa oraz stolik z lampą. Obserwując panujący dookoła rozgardiasz, zastanawiał się, jak można pracować wśród wijących się po podłodze kabli, rozrzuconych pudeł, skrzyń, reflektorów... Można, pomyślał z uśmiechem, dojrawszy Brooke. Ona sobie zawsze ze wszystkim radzi; nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Owszem, parę dni temu jak dziecko szlochała w jego objęciach, ale w pracy jest profesjonalistką nie uznającą żadnych kompromisów.

Może dlatego się w niej zakochał? I może dlatego zamierzał zachować tę informację w tajemnicy, przynajmniej na razie. Nie chciał jej wystraszyć, a podejrzewał, że tak by się stało, gdyby teraz wyznał jej miłość.

Zmrużywszy oczy, Brooke ruszyła mu naprzeciw. Kiedy przeobraziła się w panią reżyser i szacowała go wzrokiem, czuł się jak sklepowy manekin.

- No i co? - spytał, gdy podeszła bliżej.

- Wyglądasz świetnie - odparła, udając, że nie zauważa lekkiej irytacji w jego głosie.

A może rzeczywiście jej nie zauważała. Uniósłszy rękę, poczochnęła mu włosy, po czym odsunęła się pół kroku. - Tak, naprawdę świetnie. Denerwujesz się?

- Nie.

Uśmiech złagodził jej rysy.

- Nie krzyżuj się, Parks. Będzie dobrze. - Wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę kanapy. - Znasz swoje kwestie, ale na wszelki wypadek mamy przygotowane kartki z tekstem. Więc nie martw się. Masz być odprężony, pewny siebie, bardzo męski. Pamiętaj, ten segment idzie na końcu. Najpierw jesteś na boisku w stroju meczowym, potem przebierasz się w szatni.

wreszcie dom, przyćmione światła, kieliszek koniaku, piękna kobieta u boku.

- I wszystko dzięki de Marco - mruknął ironicznie.

- Pokazujemy ludziom, że należy ubierać się stosownie do okazji. I liczymy na to, że następnym razem, kiedy będą sobie coś kupować, mężczyźni wybiorą stroje de Marca...

Usiądź tam... - Wskazała koniec kanapy. - W swobodnej, zrelaksowanej pozycji. Możesz?

Skrzywił się.

- Co, teraz?

- Gdybyś mógł... - Odsunęła się, czekając, a Parks się usadowił. - Doskonale. Oprzyj łokieć wy ej...
Doskonale. - Uśmiechnęła się. - O to mi chodziło! Jesteś coraz lepszy.

- Staram się.

- Tym razem masz mówić do kamery - poinstruowała go. - Siedzisz zrelaksowany, dziewczyna podchodzi od tyłu, pochyla się i podaje ci kieliszek. Nie patrzysz na nią. Bierzesz kieliszek i kończysz swoją kwestię. Potem się uśmiechasz - dodała, spoglądając na zegarek. -

Gdzie dziewczyna?

Gina pojawiła się jak na zawołanie: piękna, wysoka, zmysłowa. Za nią kroczyła blondynka o surowym wyrazie twarzy oraz dwóch męczyzn w garniturach. Gina wyglądała jeszcze lepiej niż na zdjęciach, które przysłał im de Marco. Miała dwadzieścia pięć lat, czyli nie była dżierlatką, lecz młodą kobietą. Brooke przyjrzała się jej uważnie. Duże ciemne oczy, kruczoczarne włosy, ciało ponętnie zaokrąglone, wspaniale wyeksponowane w obcisłej, ledwo zakrywającej pośladki sukni z olbrzymim dekoltem. Słowem, chodzący seksapil.

Nie zwracając uwagi na zachwycone spojrzenia, szepty i poszturchiwania męskiej części ekipy, Brooke podeszła się przywitać.

- Witam na planie - powiedziała, wyciągając rękę.

- Jestem Brooke Gordon, reżyser.

- Gina Minianti - zamruczała czarnula.

Brooke natychmiast po nią szła, a Gina nie miała żadnych kwestii do wypowiedzenia.

Jej głos, niski, lekko chropawy, nawet ją przyprawił o dreszcz.

- Cieszę się, że będzie pani z nami pracować. Czy ma pani jakieś pytania, zanim zaczniemy?

- Słucham? - Gina uniosła brew.

- Jeśli pani czegoś nie rozumie albo nie jest pewna... - zaczęła Brooke.

- Signorina Minianti nie mówi po angielsku - przerwała jej blondynka. - Nikt pani o tym nie uprzedził?

- Co takiego?! - Brooke podniosła wzrok do nieba.

- Pięknie, wspaniale.

- Jestem osobistą sekretarką pana de Marco - kontynuowała blondynka. - Chętnie służę pomocą jako tłumacz.

Brooke zmierzyła blondynkę chłodnym spojrzeniem, po czym zwróciła się do ekipy.

- Kochani, bierzemy się do roboty! - zawołała.

- Czekaj nas długi dzień.

- Co? Jakieś kłopoty? - spytał cicho Parks, gdy go mijiała.

- Nie wtrącaj się - warknęła rozdrażniona.

Z trudem zachowując powagę, podszedł do Giny i ujął jej dłoń.

- Signorina...

Brooke z niedowierzaniem usłyszała, jak płynnie zwraca się po włosku do kochanki de Marca. Rozpromieniona Gina, gestykulując wolną ręką, odpowiedziała coś entuzjastycznym tonem.

- Jest bardzo podekscytowana perspektywą wystąpienia w reklamie - wyjaśnił Parks, zerkając na Brooke.

- Widzę.

- Zawsze chciała wystąpić w amerykańskim filmie...

Ponownie zwrócił się do Giny. Ta odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, następnie odprawiła sekretarkę i ujęła Parksa pod rękę.

Przystojny, jasnowłosy Kalifornijczyk i kruczowłosa Włoszka. Patrząc na nich, Brooke pomyślała, e widzowie nie będą mogli oderwać wzroku od ekranu. Dzięki Ginie i Parksowi ubrania de Marca będą sprzedawać się jak ciepłe bułeczki.

- Widzę, e świetnie się rozumiecie.

- Na to wygląda - odrzekł. Zauważył, e w głosie Brooke nie ma cienia zazdrości. Jest profesjonalistką w każdym calu, skupioną na pracy. - Pyta, czy mogę służyć za jej tłumacza.

- Oczywiście. Powiedz jej, e najpierw zrobimy próbę, eby zorientowała się, co i jak.

Zaczynamy! Światło! - Ruszyła w stronę „saloniku”. Parks z Giną za nią. - Parks, usiądź i poproś Ginę, eby uważnie obserwowała. Odegram jej rolę.

Parks zajął miejsce, następnie na dany znak zaczął wygłaszać swoją kwestię. Mówił swobodnym tonem, jakby zwracał się do grupy przyjaciół. Idealnie, pomyślała Brooke.

Podniosła kieliszek i ruszyła w stronę Parksa. Stanąwszy za kanapą, pochyliła się, niemal ocierając się policzkiem o jego policzek, i podała mu koniak. Nie odrywając wzroku od kamery, Parks prawą

ręką wziął kieliszek, a lewą zakrył spoczywającą na jego ramieniu dłoń.

Brooke wolno wyprostowała się i po chwili znikła z kadru.

- Zapytaj ją, czy rozumie, co ma robić.

Gina wzruszyła ramionami. Oczywiście, e rozumiała.

- Dobrze, spróbujmy. - Brooke cofnęła się. - Cisza na planie! - rozkazała, skutecznie ucinając wszelkie rozmowy. - Kręcimy.

Trzask klapsa. Parks Jones, reklama de Marco, scena trzecia, ujęcie pierwsze.

Początek wyszedł nieźle, natomiast część z Giną... No có , zgodnie z poleceniem Gina podeszła do kanapy, pochyliła się zmysłowo, a potem zaskoczona najazdem kamery...

popatrzyła prosto w obiektyw.

- Cięcie! Parks, poproś ją, eby nie patrzyła w obiektyw. - Siłac się na cierpliwość i wyrozumiałość. Brooke uśmiechnęła się do młodej kobiety.

Po piątej nieudanej powtórce jej cierpliwość była ju mocno nadwątlona. Gina bowiem, zamiast przyzwyczajając się do kamery, coraz bardziej się jej bała.

- Pięć minut przerwy - zarządziła Brooke.

Silne reflektory zgasły, ekipa pognała do bufetu a Brooke wezwała do siebie aktorów.

- Parks, powiedz pannie Minianti, e jedyne, czego od niej wymagam, to naturalność.

Jest piękną kobietą Te kilka sekund, kiedy pojawia się na ekranie, pozostawi na widzach niezapomniane wra enie.

Wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, Gina błysnęła zębami w uśmiechu.

- *Grazie* - rzekła, po czym wylała z siebie potok słów będących przeprosinami za nieudolność oraz prośbą o coś na uspokojenie.

- Parks, przynieś jej szklankę soku pomarańczowego - poleciła Brooke. - I powiedz jej, e wcale nie jest nieudolna. Niech spróbuje sobie wyobrazić, e jesteście kochankami i...

- W porządku, rozumiem.

Kiedy przetłumaczył słowa Brooke, Gina wybuchnęła perlistym śmiechem. Po chwili potrząsając głową, zaczęła rozkosznie trajkotać.

- Ona mówi, e się postara - przetłumaczył Parks.

- Ale tylko trochę. Bo jeśli za bardzo puści wodze wyobraźni, to Carlo rozkwasi mi nos.

- Sztuka wymaga poświęceń - oznajmiła sucho Brooke. - Nie zaszkodziłoby, gdybyś ty te okazał nieco większy entuzjazm.

- Ja?!

- Facet, który siedzi jak kołek, kiedy pochyla się nad nim tak piękna kobieta, jest impotentem. - Poklepała go po ramieniu. - To co, spróbujesz?

- Oczywiście. Czego się nie robi dla sztuki? Kiedy E. J. zajął miejsce za kamerą, Brooke ustawiła się tu za nim.

- Oby tym razem się udało - mruknęła cicho pod nosem.

- Jeśli o mnie chodzi, mogę pracować cały dzień - oznajmił E.J., kierując kamerę na Ginę. - Patrząc na nią, mam wrażenie, że umarłem i jestem w niebie.

- Uważaj, E. J., bo jak się narazisz do Marco...

- zawiesiła głos. - Kochani, zaczynamy!

Szósty dubel był o wiele lepszy od pięciu poprzednich. Ale czegoś wciąż brakowało.

Brooke poprosiła Ginę, aby następnym razem spojrziała zalotnie w kamerę. Widząc, że Gina nie bardzo rozumie, zamieniła się z nią miejscami. Z kieliszkiem ciepłej herbaty udającej koniak podeszła do kanapy. Parks wziął od niej kieliszek i nie przerywając monologu, podniósł jej dłoń do warg.

- Wiem, że tego nie ma w scenariuszu, ale wydało mi się takie naturalne - powiedział, gdy skończył swoją kwestię.

Brooke chrząknęła, zdając sobie sprawę,

że wszyscy obserwują ich z

zainteresowaniem.

- W porządku - oświadczyła, jak gdyby nigdy nic.

- Spróbujcie w ten sposób. - Ustawiła się ponownie obok E. J. - Akcja!

Potrzebne były jeszcze trzy duple, zanim Parks z Giną zagraли tak, jak Brooke chciała.

Gina, szczęśliwa, zadowolona z siebie, pocałowała Parksaw oba policzki, następnie podeszła do Brooke i coś powiedziała. W oczach Parksa Brooke ujrzała wyraz rozbawienia.

- Po prostu jej podziękuj.

- Dziękuję - rzekła posłusznie Brooke. Kobiety wymieniły na po egnanie uścisk dłoni i po chwili Gina wraz z osobami towarzyszącymi skierowała się do drzwi.

- Za co mi kazałeś jej dziękować? - spytała Brooke, ocierając rękawem pot z czoła.

- Pochwaliła twój gust.

- Tak?

- Tak. Powiedziała, e masz wspaniałego kochanka. Przez moment przyglądała mu się bez słowa.

- Czy by?

Uśmiechając się od ucha do ucha, ruszył do bufetu, eby sprawdzić, czy zostało coś do jedzenia.

Brooke oparła ręce na biodrach, z trudem zachowując powagę.

- Spotykamy się za godzinę! - zawołała do ekipy.

Słusznie przewidywała, e krótka scena w salonie będzie najtrudniejsza do nakręcenia.

W następnej kolejności nakręciła scenę w szatni kingsów. Claire załatwiła z menad erem zespołu, aby w tle pojawiło się kilku bardziej znanych kolegów Parksa. Z początku zachowywali się jak dzieci, machali do kamery i wygłaszali idiotyczne mowy, ale Brooke szybko zaprowadziła ład na planie. Dalej wszystko poszło jak z płatka.

Poniewa z filmowaniem nie było większych problemów, zdziwił ją narastający ból głowy. Owszem, między ujęciami panował w szatni spory harmider, a w zamkniętej przestrzeni ogrzewanej potężnymi reflektorami unosił się silny odór potu, lecz to nie tłumaczyło bólu głowy.

Z początku postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Kiedy jednak nie dała rady go dłużej ignorować, ogarnęła ją złość. Cholera, przecie wszystko przebiega według planu.

Parks do ka dego dubla bez protestu wciąga na siebie kaszmirowy sweter. W dodatku gra z wyczuciem. Więc skąd to łupanie w głowie?

Kiedy ekipa ustawiała sprzęt do ostatniego segmentu, który mieli kręcić na boisku, Brooke znów skupiła się na pracy. Trudno, pomyślała, niech boli; od tego jeszcze nikt nie umarł. Po powrocie do domu łyknie aspirynę; na pewno pomo e.

Obserwowała dźwiękowca, który poprawiał mikrofony, gdy nagle poczuła, jak ktoś ją obejmuje.

- Cześć. - Snyder wyszczerzył zęby w uśmiechu. Spoglądając na potężnego nie zbudowanego zawodnika, uznała, e jest mniej groźny ni cocker spaniel.

- Cześć, George. Jesteś gotów do następnej sceny? Tylko obawiam się, że tym razem nie będzie cię widać na ekranie.

- Oj, złotko, popełniasz duży błąd, wykorzystując do reklamy Parksa. To chuderlak. -

Napiął dumnie bicepsy.

Brooke zerknęła na niego z podziwem.

- Niestety nie mam nic wspólnego z doborem obsady.

- Szkoda. Czy teraz, kiedy ja tu jestem gwiazdą, będziesz odbierać mnie z lotniska?

- Nic z tego, Snyder - odpowiedział za nią inny zawodnik, Kinjinsky, który podszedł z kijem w jednej ręce, piłką w drugiej. - Nie dorastasz pani do pięt.

- Uśmiechając się do Brooke, skinął na Snydera.

- George specjalizuje się w tancerkach brzucha.

- On to jak pies! Po prostu mnie oczernia.

- Kiedy moja córka trochę podrośnie - kontynuował Kinjinsky - ostrzeżę ją przed takimi jak ty. - Podrzuciwszy piłkę w powietrze, złapał ją, po czym posłał do środkowozapolewego.

- Kinjinsky to jeden z najlepszych pałkarzy w kraju.

- Snyder poinformował Brooke. - Tyle że rzadko zdarza mu się trafić w piłkę.

- Za to dystans między pierwszą a drugą metą pokonuję w mniej niż dwie i pół minuty

- odciął się najlepszy pałkarz.

Snyder, przyzwyczajony do artów na temat swojego ówkiego tempa, zrobił obrażoną minę.

- Spowalnia mnie pewien problem anatomiczny.

- Rozumiem. - Wciągnąwszy się w zabawę, Brooke skinęła współczująco głową.

- Po prostu nasz przyjaciel George cierpi na dolegliwość o nazwie ołowiane nogi -

wtrącił Parks, podchodząc niezauważony.

Na dźwięk jego głosu ból głowy, o którym prawie zapomniała, znów dał o sobie znać.

Obróciwszy się, Brooke napotkała jego rozbawione spojrzenie. Miał na sobie przepisowy strój, którego olśniewająca biel jeszcze bardziej podkreślała złocisty odcień skóry. Nasunięta na czoło czapka z daszkiem nadawała mu nieco zawadiacki wygląd.

- Hej, ja tylko staram się umilić czas twojej pani - oznajmił Snyder.

- Moja pani jest osobą bardzo zajęta, więc lepiej jej nie przeszkadzaj.

Po tonie Parksa Snyder, który potrafił ze wszystkiego bezlitośnie kpić, a zarazem wzruszał się na romantycznych filmach, domyślił się, że tych dwoje coś łączy. A strzała Amora wreszcie ugodziła w serce faceta, który długo uchodził za zimnego, nieczułego twardziela.

- Uwa aj, stary! Bo kiedy panna Gordon przekona się, jaki jestem fotogeniczny i jak ogromny mam talent, może się nagle znaleźć bez pracy.

- De Marco nie produkuje ubrań dla zawodników sumo - odciął się Parks.

- Panowie, panowie... - przerwała im Brooke.

- Ekipa czeka. Zajmijcie, swoje miejsca. George, przejdź, proszę, na pierwszą metę.

Parks, będziesz rzucał do George'a.

Snyder skrzywił się.

- Tylko tak, żeby mnie nie uszkodzić, stary. Pamiętaj, że kijem i piłką zarabiam na życie.

- Mike... - Brooke zwróciła się do Kinjinsky'ego - odbijaj piłkę w stronę Parksa. Ale nie celuj mi prosto w rękawicę; niech się trochę pomęczą.

Kinjinsky ruszył przed siebie.

- Postaram się - obiecał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Skinąwszy głową, Brooke wróciła do swojej ekipy.

- No dobra, zaczynamy. Parks, czy wszystko jasne?

- Pewnie. - Wzbijając kolcami kurz, pobiegł na trzecią metę.

Brooke przytknęła oko do kamery i znów poczuła ciarki na plecach. Parks posłał jej szeroki uśmiech. Czym prędzej odskoczyła, przywołując do siebie E. J.

- Co jest, szefowo? - spytał kamerzysta. - W porządku?

- Tak. Kręć.

Poszło idealnie, bez najmniejszych problemów. Wiedziała, że może wykorzystać pierwsze ujęcie, ale na wszelki wypadek zrobiła jeszcze dwie powtórki. Za każdym razem nagranie wychodziło doskonale.

Kinjinsky wykonywał potężny zamach, piłka cięła powietrze, Parks z trudem ją chwycił, po czym

rzucił w Snydera stojącego na pierwszej mecie.

- Trzecie ujęcie jest kapitalne - powiedział E. J., kiedy Brooke ogłosiła koniec zdjęć.

- Wiem. - Odruchowo zaczęła masować kark.

- On nie miał prawa złapać tego odbicia - kontynuował kamerzysta, pakując sprzęt.

- Parksowi często udają się rzeczy z pozoru niemożliwe.

- Boli cię głowa?

- Słucham? - Zobaczyła, że E. J. przygląda się jej z zaniepokojeniem. - Trochę -

przyznała, opuszczając rękę.

Parks stał na boisku, zawzięcie dyskutując z kolegami z drużyny: Snyder właśnie wpadł na kolejny pomysł, jak zrobić kawał przeciwnikom.

- Zaraz minie - mruknęła Brooke, sięgając po butelkę z sokiem, która chłodziła się w przenośnej lodówce.

Musi minąć, powiedziała do siebie, biorąc łyk zimnego napoju. Po prostu jestem zmęczona po długim dniu pracy. Tabletki aspiryny, ciepły posiłek i osiem godzin snu - to mi pomoże. A tak to odpoczynek od Parksa.

Gdy tylko o nim pomyślała, ogarnęła ją wściekłość. Co ma do tego Parks Jones? Jest przemęczona, bo haruje jak wół! Bo... nagle poczuła na sobie wzrok E. J.

- Co się gapisz?! - warknęła. - Spadaj!

- Ju spadam - odparł z uśmiechem. - Po drodze podrzucę film do montażu.

Skinięszy na znak zgody, Brooke ruszyła w stronę graczy, by podziękować Snyderowi i Kinjinsky'emu. Kiedy dzieliło ją od nich kilka kroków, usłyszała, jak Snyder mówi o podrzuceniu ab do boksu rywali.

- Jak wyszło? - spytał Parks, kiedy podeszła bliżej.

- Świetnie. - Czowała, jak ciało jej płonie. Nie patrząc na Parksa, zwróciła się do pozostałych dwóch graczy:

- Chciałam wam podziękować. Bez waszej pomocy wszystko trwałoby znacznie dłużej.

Snyder oparł łokcie na ramieniu Kinjinsky'ego.

- Pamiętaj o mnie, kiedy do kolejnej reklamy będziesz potrzebowała prawdziwego faceta, a nie tylko

ładną buźkę.

- Nie omieszkam.

Parks czekał cierpliwie, od czasu do czasu wtrącając się do rozmowy, ale myślami był gdzie indziej. Kiedy koledzy odeszli do szatni, delikatnie ujął w rękę jej twarz.

- Co ci jest?

Cofnęła się na odległość ramienia.

- A co ma być? - Jego dotyk przejął ją dreszczem.

- Nagranie poszło doskonale. Myślę, e ta reklama c się spodoba. Na razie wystarczą te dwa filmiki, trzeci nagramy w listopadzie. - Zerknąwszy za siebie, zobaczyła, e większość ekipy ju odjechała. Nie chciała, zostać na boisku sama z Parksem. - Mam jeszcze pan spraw do załatwienia, więc...

- Brooke... - przerwał jej w pół słowa. - Dlaczego jesteś taka rozdra niona?

- Nie jestem rozdra niona! - mruknęła. - To by długi dzień. Po prostu padam na nos.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie wierzę.

- Daj mi spokój - powiedziała dr ącym głosem, nie potrafiąc zapanować nad nerwami.

- Chcę być sama.

Rzuciwszy na ziemię rękawicę, zacisnął ręce na jej ramionach.

- Nic z tego - zaproponował. - Mo emy porozmawiać tutaj albo mo emy pojechać do ciebie i tam sobie wszystko wyjaśnić. Jak wolisz.

- Nie ma nic do wyjaśniania. - Odepchnęła go.

- W porządku. To wybierzmy się na kolację, a potem do kina.

- Mówiłam ci, e mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Wiem. - Pokiwał głową. - Ale kłamałaś.

- Nie muszę uciekać się do kłamstw. Wystarczy, e ci powiem „nie”.

- To prawda - przyznał cicho, nie dając się sprowokować. - Dlaczego jesteś na mnie zła? - Głos miał spokojny, ale spojrzenie drapie ne.

- Nie jestem!

- Kiedy ludzie są źli, to krzyczą.

- Nie krzyczę! Uniósł pytająco brwi.

- Nie? Więc co robisz?

- Boję się, e się w tobie zakochuję - oświadczyła, zaskakując samą siebie. Przerą ona szeroko otworzyła oczy, po czym zakryła ręką usta, jakby ze strachu, e niechcący powie coś więcej.

- Naprawdę? - Podszedł krok bliżej. Serce waliło mu jak młotem. - Mówisz poważnie?

- Nie, ja...

Obejrzała się nerwowo za siebie, jakby szukając drogi ucieczki. Byli sami. Na jego terytorium. Dookoła niczym mury więzienia wznosiły się trybuny. Zaczęła się cofać.

- Muszę się stąd wydostać. Dotrzymywał jej kroku.

- Powiedziałaś: boję się. Dlaczego, Brooke?

- Uniósł dłoń do jej policzka. Przystanęła. - Dlaczego taka kobieta jak ty boi się miłości?

- Bo wiem, co się wtedy dzieje! - odparła. Oczy płonęły jej dzikim blaskiem.

- Co? Zdradź mi, proszę.

- Przestaję myśleć. Przestaję być ostro na. - Nerwowym ruchem przygładziła włosy. -

Daję z siebie wszystko, a potem zostaję z niczym. Zawsze tak jest - dodała szeptem, myśląc o swoich kolejnych rodzinach zastępczych, a tak e o Clarku. - Nie chcę tego znów doświadczać. Nie chcę się w nic angażować. To za bardzo boli.

Bezwiednie szła w stronę trzeciej mety. Parks po chwili ruszył za nią. To przeznaczenie. Tam, przy trzeciej mety, rzadko popełnia błędy.

- Czy tego chcesz, czy nie, to jednak coś nas łączy - zauważył.

Posłała mu złowrogie spojrzenie.

- Łatwo sprawić, by przestało.

- Tak? - Chwycił ją za brzeg koszuli i przyciągnął! do siebie.

Wściekła i bardziej wystraszona niż kiedykolwiek w życiu, odrzuciła w tył głowę.

- Poza pracą nie chcę z tobą więcej się widywać - oznajmiła, patrząc mu w oczy. -

Je eli współpraca ze mną będzie dla ciebie kłopotliwa, porozmawiaj z Claire.

- Kłopotliwa? Bynajmniej - rzekł łagodnie. - Mogę z tobą współpracować, mogę wypełniać wszystkie twoje polecenia. Bo jesteś dobra w tym, co robisz. Mówiłem ci, e póki filmujemy, obowiązują twoje reguły gry.

- Rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy nie ma wkoło adnych kamer. - Ale teraz obowiązują moje zasady, Brooke. A ja przywykłem do zwycięstw.

- Nie jestem pucharem, który mo na zdobyć - powiedziała, siląc się na spokój.

- Wiem. - Wolną ręką pogładził ją po policzku.

- Puchar zdobywa cały zespół, a ja nie zamierzam tobą się dzielić.

Jego ręka przesunęła się w dół, do jej szyi. Czy on czuje, jak łomocze mi serce? -

zastanawiała się. W jego oczach nie znalazła odpowiedzi na to pytanie, dojrzała za to cudowny, ciepły uśmiech.

- Kocham cię, maleńka.

Wymówił te słowa tak prosto, tak naturalnie, e dopiero po dłu szej chwili dotarł do niej ich sens. Znieruchomiała.

- Przestań.

Uniósł pytająco brwi.

- Mam przestać cię kochać czy przestać mówić o tym, co czuję?

- Przestań - powtórzyła. Poło yła dłonie na jego klatce piersiowej, chcąc go od siebie odepchnąć. - Nie jestem w nastroju do artów.

- Ja nie artuję. Czego się boisz, Brooke? - Powiódł spojrzeniem po jej bladej twarzy. -

Kochać czy być kochana?

Potrząsnęła przecząco głową. Do tej pory tak bardzo się pilnowała, eby nie przekroczyć granicy, którą sobie wyznaczyła... eby innym nie pozwolić jej przekroczyć.

Udało się to tylko Claire oraz E. J. Tych dwoje darzyła autentycznym uczuciem. Ale miłość, prawdziwa miłość, ją przera ała. Dlaczego?

- Nie umiem ci powiedzieć, kiedy się w tobie zakochałem - kontynuował, rozmasowując jej kark. - Nie było adnego błysku ani gromu, nie doznałem nagłego olśnienia. Po prostu od pierwszej chwili wiedziałem, e tak się stanie. I nawet nie próbowałem przed tym się bronić. - Zbli ył usta do jej warg.

- Przed miłością nie ma ucieczki, Brooke.

Całował ją długo, namiętnie, a ona nie miała siły się sprzeciwić. Mogłaby walczyć, mogłaby się opierać, ale po co? Powoli opuszczało ją napięcie, a przepełniało uczucie radości.

Nie przypuszczała, że tak wielkie szczęście może stać się jej udziałem. Jest kochana.

Parks patrzył jej w oczy. Po chwili zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła policzek do jego piersi, a on poczuł, że rodzi się coś nowego. I po raz pierwszy odkąd się poznali, Brooke postanowiła mu zaufać.

- Powtórz - poprosiła szeptem. - Powiedz, że mnie kochasz.

Przygarnął ją do siebie i pogładził po rozwichrzonych włosach.

- Kocham cię.

Wiatr, który hulał po pustym boisku, poniosł jego szept przez pusty stadion.

Z cichym westchnieniem Brooke przekroczyła magiczną granicę.

- Ja ciebie też kocham, Parks. - Wspiąwszy się na palce, pocałowała go w usta.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Szatnię wypełniał zapach potu, talku, kabin prysznicowych oraz kawy. Wciągając koszulę, Parks nie zwracał na to uwagi. Wyczuwał jednak panujące w powietrzu napięcie.

Wszyscy byli podminowani; nawet Snyder swoimi dowcipami i artami nie zdołał roz-

ładować atmosfery. Kiedy cały zespół marzy o jednym, kiedy zawodnicy spędzają razem miesiące, razem trenują, wygrywają i przegrywają, i kiedy wreszcie nadchodzi ich siódmy mecz w zawodach o mistrzostwo Stanów Zjednoczonych, nie należy się dziwić ich zde-nerwowaniu.

Może gdyby dopisywało im szczęście, nastrój byłby inny. Nie odczuwaliby drobnych kontuzji, które nękają wszystkich sportowców pod koniec sezonu. Ale drużyna L. A. Kings przegrała ostatnie dwa mecze z zespołem Herons. Każdy zawodowiec zaś wie, że do zwycięstwa potrzeba nie tylko umiejętności, ale również szczęścia. Teraz obie drużyny stały przed swoją ostatnią szansą. Po tym meczu zawodnicy będą mieli kilkumiesięczną przerwę, wrócą do życia, jak to Artem nazywali, do cywila.

Parks rozejrzał się po kolegach. Snyder już za tydzień będzie wygrzewał się w słońcu Florydy, pływając na swoim jachcie i łowiąc ryby. Kinjinsky, który wcierał w siebie masę rozgrzewającą, będzie grał w piłkę w Puerto Rico. Maizor, główny miotacz, będzie szykował

się do roli ojca, którym zostanie w listopadzie. Inni w zależności od wyniku dzisiejszego meczu ruszą w objazd po kraju: będą występować w telewizji, udzielać wywiadów. Jeszcze inni wrócą do

dawnych zajęć, które przerwą ponownie w lutym, kiedy rozpocznie się wiosenny trening.

On, Parks Jones, wolny czas przeznaczy na kręcenie kolejnej reklamy. Wcześniej na myśl o kamerze wzdygał się z niechęcią, teraz ju nie. Praca aktora, choćby tylko w reklamach, zaczęła sprawiać mu przyjemność. Nie był jedynie zachwycony pomysłem plakatu ze swoją podobizną, o co postarał się jego agent.

Uśmiechając się pod nosem, schylił się, eby włożyć buty. Nieustannie myślał o Brooke. Podziwiał jej spostrzegawczość, inteligencję, intuicję. Czy to mądre kochać kobietę, która potrafi cię rozszyfrować? Odczytać ka dy twój gest, grymas, nieopatrnie rzucone spojrzenie? No có , mógł wybrać inną, mniej wymagającą, łatwiejszą do zadowolenia. Mógł, ale nie wybrał.

Wybrał Brooke Gordon. Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś, kto, tak jak ona, odpowiadałby mu niemal pod ka dym względem. Nie zamierzał jej stracić.

Powiedziała, e go kocha, ale nie darzy go bezwzględnym zaufaniem. Oboje lubią rządzić, lubią rywalizację. Wyciągnął z szafki pałkę i uwa nie się jej przyjrzał. Tak, Brooke od początku stanowiła dla niego wyzwanie. Teraz jednak doszło tyle innych emocji...

Był zły, kiedy nie chciała zmienić swoich planów i polecieć z nim na wschodnie wybrze e, na poprzedni mecz z Herons. Przykro mi, oznajmiła chłodno, wyjaśniając, e nie mo e zawalić terminów. Chocia doskonale ją rozumiał, złość mu nie minęła. Po prostu chciał eby mu towarzyszyła, eby swoją obecnością dodawała mu siłę; eby ją widział, gdy podniesie głowę. I eby cieszyła się razem z nim po meczu. Tak, jest egoistą. Właściwie oboje są egoistami.

Przejechał dłonią po gładkiej pałce. Hm, Brooke uprzedzała go, e nie będzie łatwo.

Miała własne ycie zanim on w nim zaistniał. ycie niezbyt udane, niezbyt szczęśliwe, które uczyniło z niej kobietę silną, a zarazem delikatną, rozsądną i wra liwą. Kobietę, która pokochał. Czasem jednak miał ochotę wziąć ją za ramiona, porządnie nią potrząsnąć i powiedzieć, e od dziś obowiązują jego zasady gry.

Mieszkają razem, a jednocześnie nie razem. To znaczy, on, Parks, do niej się wprowadził, ale dom nale y do Brooke. Czyli mieszkają pod jednym dachem ale nie na równych prawach. Nie wiedział, na ile wystarczy mu cierpliwości, aby dalej znosić ten układ. Bo mur, który ich dzieli, prędzej czy później musi runąć.

Przeklinając w duchu, Parks sięgnął do szafki po rękawicę, po czym wetknął ją do tylnej kieszeni. Tak, ten mur musi runąć. I runie. Nawet jeśli przyjdzie mu u yć dynamitu.

- Hej, Jones, idziemy.

- Idziemy.

Wsunął rękę w rękawicę. Tak, odbędzie z Brooke powa ną rozmowę. Razem pokonają przeszkody. Tylko najpierw musi zdobyć puchar.

Na zmianę bębniąc palcami o kierownicę i klnąc pod nosem, Brooke krążyła po parkingu w poszukiwaniu wolnego miejsca.

- Wiedziałam, e nale y wcześniej wyruszyć - mruknęła. - Nawet jeśli znajdę tu miejsce, będziemy mieli z kilometr do przejścia.

E. J. oparł się wygodnie o siedzenie.

- Mecz się zaczyna dopiero za kwadrans - oznajmił spokojnie.

- Jak ktoś ci załatwia darmowy bilet, to mógłbyś przynajmniej być gotów na czas... O, jest miejsce!

- Nacisnąwszy na pedał gazu, wjechała pomiędzy dwa zaparkowane samochody, po czym ostro zahamowała.

- Dobra, E. J. - powiedziała, patrząc na swojego pasażera - ju mo esz otworzyć oczy.

Otworzył jedno, po chwili drugie, i zerknął w bok na stojący z prawej samochód.

- Hm, a jak ja mam wysiąść?

- Otwórz drzwi i wciągnij brzuch - poradziła mu, demonstrując, jak to się robi. -

Pospiesz się. Zawodnicy lada moment wyjdą na boisko.

- Tego lata twoje zainteresowanie baseballlem wyraźnie wzrosło... - Mimo szczupłej budowy E. J. z trudem wydostał się z samochodu.

- To ciekawa gra.

- Tak mówisz? - Wyszczерzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Uwa aj, kochany. Jeszcze nie dałam ci biletu. Jeszcze mogę go opchnąć i nieźle na tym zarobić.

- Nie bądź taka, Brooke. Mnie mo esz powiedzieć, co jest grane.

Skrzywiwszy się, wsunęła ręce do kieszeni. Od tygodnia we wszystkich gazetach, do których zaglądała, trafiała na zdjęcia Brooke Gordon z Parksem Jonesem albo na wzmianki w kronice towarzyskiej. W Los Angeles plotki szybko się roznosiły, a romans popularnego baseballisty z atrakcyjną reyserką błyskawicznie podzielał na wyobraźnię czytelników.

- Nawet coś znalazłem w jednym z pism bran owych - ciągnął E. J., nie zwracając uwagi na jej naburmuszoną minę. - Chodzą słuchy, e Parks całkiem serio rozwa a karierę aktorską.

- Claire ma dla niego pewną propozycję - odparła wymijająco. - Niedu a rola, dość ciekawa. Ale na razie niewiele o niej rozmawialiśmy. Najpierw niech się skończą mistrzostwa.

- I bez tego ma facet sporo na głowie.

- Uwa aj, E. J. - ostrzegła go, wyjmując bilety.

- Wiesz - ciągnął, gdy przeciskali się przez tłum kibiców - od dawna zastanawiałem się, kiedy wreszcie pojawi się człowiek, który stopi ten sopel, w jaki zamieniło się twoje serce.

- Tak? - Włożyła na nos okulary słoneczne, eby ukryć wyraz rozbawienia w oczach. -

I uwa asz, e ktoś taki się pojawił?

- Skarbie, kiedy jesteście razem, nie mo na do was podejść, taki bucha od was ar.

Wiesz... - Gestem, jakby wyrównywał krawat, wygładził na piersi bawełnianą koszulkę. -

Jako twój przyjaciel i bliski współpracownik chyba powinienem spytać Parksa Jonesa, jakie ma wobec ciebie zamiary.

- Tylko spróbuj, E. J., a przysięgam, e potłukę ci obiektywy. - Nie mogąc się zdecydować, czy jest bardziej zła, czy rozbawiona, zajęła miejsce na trybunie. - Lepiej kup mi hot doga.

E. J. skinął na krą ącego między rzędami sprzedawcę.

- Z cebulą i keczupem?

- Ze wszystkim.

Zapłacił za hot dogi i zimne napoje, po czym usiadł obok niej.

- No dobra, Brooke, przyznaj się. Przecie jesteśmy kumplami. Ty i Parks... to coś powa nego?

- Nie odpuścisz, co?

- Pytam, bo troszczę się o ciebie.

Przyjrzała mu się spod oka. Nie szczyrzył ironicznie zębów, jak to miał w zwyczaju; uśmiechał się ciepło. Jak prawdziwy przyjaciel. I tym uśmiechem wytrącił jej broń z ręki.

- Kocham go - przyznała cicho. - Zatem odpowiedź brzmi: owszem, to coś powa nego.

- Bardzo, bardzo powa nego. - E. J. pokiwał głową. - Gratuluję.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego czuję się, jakbym szła nad przepaścią.

- Nie wiem. - Wgryzł się w bułkę. - Nigdy nie byłem zakochany.

- Serio? - Oparła się wygodnie. - Nigdy?

- Nigdy. Wciąż szukam. I szukam. - Westchnął. - To cię ka praca, Brooke.

- Domyślam się. - Zdjęła mu z głowy czapkę z daszkiem i lekko trzepnęła go nią w ramię. - A teraz siedź cicho. Zaraz podadzą nazwiska zawodników.

Cię ka praca? Brooke zamyśliła się. Nawet jeśli powiedział to artem, to niewiele się pomylił. Szukanie miłości, tego jedyne go partnera, jest zajęciem mudnym, wymagającym skupienia i wysiłku. Zajęciem, które porzuciła przed wieloma laty, a przynajmniej tak jej się dotąd wydawało.

- Parks Jones, numer dwadzieścia dziewięć, na trzeciej mecie. Będzie odbijał jako czwarty.

Tłum oszalał z radości na widok Parksa, który wybiegł na boisko i dołączył do kolegów. Zająwszy miejsce przy Snyderze, powiódł wzrokiem po trybunie. Napotkawszy spojrzenie Brooke, uśmiechnął się szeroko i swoim zwyczajem uniósł lekko czapkę. Zawsze w ten sposób pozdrawiał publiczność, ale Brooke czuła, e tym razem ten gest jest przeznaczony dla niej. Wiedziała te , e do końca meczu Parks będzie skoncentrowany na grze. I dobrze. Tak być powinno.

- Zobaczysz, stary, dziś cię przechytrzę - powiedział Snyder, uśmiechając się do tłumu. - Wtedy Brooke zrozumie swoją pomyłkę.

- Brooke - oznajmił Parks, nie spuszczać z niej oczu - zostanie moją oną.

Snyderowi ze zdziwienia szczęka opadła.

- Nie gadaj! O, kurczę...

- Ona jeszcze o tym nie wie - mruknął pod nosem Parks, klepiąc w plecy prawozapolowego, który jako piąty miał odbijać piłkę. - Ale wkrótce się dowie.

Brooke dostrzegła zmianę w wyrazie twarzy Parksa. Zmru ywszy oczy, usiłowała odgadnąć, co ją spowodowało.

- On coś knuje - szepnęła.

- Co mówisz? - spytał E. J., odwracając głowę od aparatu fotograficznego.

- Nic. - Kostki lodu zagrzechotały w jej styropianowym kubku. - Absolutnie nic.

Znana piosenkarka bluesowa podeszła do mikrofonu,

eby odśpiewać hymn

narodowy. Stojący w dwóch rzędach zawodnicy zdjęli czapki z głów. Tłum na trybunach wstał i w milczeniu odsłuchał pieśni. Powietrze było naelektryzowane. Kiedy zabrzmiały ostatnie dźwięki hymnu, ciszę wypełniły oklaski, okrzyki, gwizdy. Kingsi zajęli swoje pozycje.

Dziennikarze sportowi często mówią, e mecz o mistrzostwo kraju w baseballu jest najwspanialszym

widowiskiem, jakie mo na sobie wyobrazić, widowiskiem łączącym pracę zespołową oraz indywidualny wysiłek. Tak te było tym razem. Zawodnicy przechodzili samych siebie, niemal fruwali w powietrzu; nie zwracali uwagi na ryzyko kontuzji, po prostu całe serce wkładali w grę. Obserwując Parksa, Brooke widziała na jego twarzy niesamowite skupienie i determinację. Ale identyczne skupienie i determinację wykazywał podczas wcześniejszych meczów. Je eli ten o mistrzostwo kraju traktował inaczej, nie dawał tego po sobie poznać.

Czas mijał, emocje narastały. Zgodnie z wyznaczonym porządkiem Parks jako czwarty zawodnik ustawił się na stanowisku pałkarza. Przejechał dłonią po pałce, jakby sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Czekał, a zapanuje spokój. Nie na trybunach, lecz w jego głowie i myślach. Oczami wyobraźni zobaczył Brooke wsparłą o poręcz i jej włosy rozwiane na wietrze. Odprę ył się.

Wiedział, e musi odbić piłkę daleko. Przybrawszy odpowiednią pozycję, popatrzył

miotaczowi prosto w twarz. Widział, jak ten bierze zamach, widział, jak piłka leci...

Przepuścił dwa narzuty. Ryk na trybunach się wzmagał. Widzowie domagali się dalekiego odbicia. Parks zerknął na trenera. Na Brooke bał się spojrzeć, świadom, e jej widok mo e go zdekoncentrować.

I wreszcie. Rozległ się potę ny trzask pałki uderzającej w piłkę. Piłka poszybowała w powietrzu. Kibice z radosnym wrzaskiem poderwali się z miejsc. Trzech zawodników dru yny broniącej usiłowało ją pochwycić. Bezskutecznie. Piłka odbiła się od ziemi i przeleciała za siatkę.

Miejsce pałkarza zajął Farlo. Odbił dopiero trzecią piłkę, posyłając ją na prawe zapole.

Parks instynktownie ruszył do biegu. Kątem oka widział znaki dawane mu przez trenera. Ile sił w nogach minął trzecią metę i bez wahania rzucił się w stronę mety domowej, na której niczym cerber stał łapacz heronsów.

Przypomniawszy sobie, e prawozapolewy heronsów znany jest z siły w ręce i z celności, ślizgiem, wzbijając tumany kurzu, dotarł do mety. Poczul koszmarny ból, kiedy nadział się na kolano łapacza. Na moment przed oczami zrobiło mu się ciemno, a ułamek sekundy później zobaczył, jak mała biała piłka znika w rękawicy.

Tłum szalał. Nieznajomi klepali się po plecach i stukali kubkami, rozlewając piwo. E.

J. porwał Brooke w ramiona i odtńczył z nią taniec radości. Jego aparat wbił się jej w biust, ale nawet tego nie poczuła. Stojący obok mę czyzna cisnął w górę pojemnik z pra oną kukurydzą.

- Niesamowity gość! - ryknął E. J.

To prawda, pomyślała Brooke, niesamowity, a w dodatku mój.

Le ąc na ziemi, Parks nie myślał o wrzawie na trybunach, lecz o tym, by nabrać powietrza w płuca i dźwignąć się na nogi. W końcu mu się udało. Wstawszy, otrzepał się z pyłu i skierował do boksu, gdzie czekali na niego koledzy z dru yny. Idąc, odnalazł wzrokiem Brooke. Stała, obejmując E. J., ale

uśmiechała się do niego, do Parksa.

Przyłożył wszystkie palce do czapki, zniknął w boksie. Trener natychmiast schłodził mu maścią obolałe ebra.

Zajmując w dziewiątej zmianie swoją pozycję przy trzeciej mecie, Parks już dawno zdążył zapomnieć o bólu. Od siódmej zmiany heronisi prowadzili jednym punktem, a teraz wyglądało na to, że ich przewaga może się zwiększyć. Mieli kilku świetnych pałkarzy.

Miotaczem był Maizor. Parks poprawił czapkę.

- Hej, staraj się, żeby nie odbił w moją stronę.

Maizor uśmiechnął się i wyraźnie odprężył. Obejrząwszy się przez ramię, zerknął na biegacza na drugiej mecie, po czym wykonał narzut. Pałkarz wziął potężny zamach. Nie trafił.

Za drugim razem mu się udało. Parks instynktownie rzucił się do piłki. W ciągu paru sekund musiał ocenić jej szybkość i wysokość. Padając jak długi na ziemię, usłyszał

dudnienie kroków biegacza, który gnał do trzeciej mety. Wyciągnąwszy maksymalnie rękę, złapał piłkę. Nie tracąc czasu na wstawanie, posłał ją do Kinjinsky'ego, który przezornie stanął na trzeciej. Biegacz wpadł na metę ułamek sekundy za późno.

Parks minął łącznika, z którym zamienił dwa słowa, i wrócił na swoje miejsce. Był

brudny, zlany potem. Kucnął, nie zwracając uwagi na nieludzki krzyk publiczności. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Maizor ponownie wykonał narzut. Piłka poszybowała w powietrze. Parks poderwał się dobiegu; rwał przed siebie, jakby nie widział siatki, która odgradza boisko od trybun. Złapię tę piłkę, złapię, powtarzał w myślach.

Lewą ręką przytrzymał się poręczy, a prawą uniósł. Piłka wylądowała w rękawicy.

Kiedy ryk tłumu jeszcze bardziej przybrał na sile, Parks nagle zorientował się, że patrzy prosto w oczy Brooke. O mały włos piłka trafiłaby ją w brzuch.

- Ale dałeś popis. - Pochyliwszy się przez poręcz, pocałowała go w usta.

Chwilę później któryś z kolegów skoczył mu na plecy. I nastąpiło istne szaleństwo.

Wylano na niego tyle szampana, że był przemoczony do suchej nitki. Snyder wdrapał

się na szafkę w szatni i energicznie potrząsając dwiema butelkami, polewał wszystkich, w tym dziennikarzy i klubowych działaczy. Parę minut później Parks wylądował w wielkiej, napełnionej wodą wannie z hydromasażem. Wdzięczny kolegom za przysługę, ściągnął

przepełnioną koszulkę i z butelką szampana w ręce udzielał wywiadów, podczas gdy bezlitosne strumienie wody masowały jego obolałe ciało.

Tak, zwycięstwo nie przyszło łatwo. Owszem, ślizg na metę domową był ryzykowny, zważywszy na siłę i celność rzutów prawozapolowego, ale to ryzyko się opłaciło. W pewnym momencie w wannie zrobiło się ciasniej: koledzy wpakowali do niej opierającego się Snydera. Parks przesunął się na drugi koniec i pociągnął łyk szampana. Zgadza się, rudowłosa kobieta na trybunie to Brooke Gordon, reżyserka filmów reklamujących odzież de Marca.

Potem uwagę dziennikarzy zaprzął Snyder. Parks uśmiechnął się pod nosem. Zawodnicy lubili się, pomagali sobie, ale każdy chciał mieć swoje pięć minut sławy.

Na chwilę przymknął oczy. Chciał dokładnie odtworzyć w myślach tę scenę, kiedy Brooke wychyliła się, by go pocałować. Kiedy złapał piłkę i stało się jasne, że zespół Kings zdobył mistrzostwo, nagle wszystko nabrało ostrzejszych barw. Piękniejszych. Nawet brud i obłażąca farba na poręczy. Raptem ujrzał jej oczy. I usłyszał jej głos. „Ale dałeś popis”, powiedziała to cicho, lecz z dumą.

Potem porwali go koledzy z drużyny. Kiedy ciągnęli go z powrotem na boisko, Brooke posiała mu promienny uśmiech, uśmiech, w którym wyczytał obietnicę.

Dopiero po dwóch godzinach udało im się pozbyć ostatniego dziennikarza. Emocje powoli opadały. Euforia ustępowała miejsca rozluźnieniu, uczuciu zadowolenia i spokoju.

Sezon dobiegł końca. Zakończyły się treningi, mecze, nocne podróże samolotem, w czasie których jedni chrapali, a inni grali w karty. W baseballu teraźniejszość szybko staje się przeszłością.

Podszedł do swojej szafki i zaczął się ubierać. Większość kolegów siedziała na ławkach, rozmawiając. Łapacz, chłopak zaledwie dziewiętnastoletni, grający pierwszy sezon w lidze zawodowej, stał na środku szatni, trzymając w dłoni ochraniacze, jakby nie potrafił

się z nimi rozstać. Chowając rękawicę do torby, Parks nagle poczuł się stary.

- Jak ebra? - spytał Kinjinsky, przewieszając plecak przez ramię.

- W porządku. - Parks skinął głową na łapacza, który wciąż przeżywał mecz. - Popatrz na młodego. Jeszcze nie może się otrząsnąć.

Parsknęli śmiechem.

- Do zobaczenia na wiosnę, Jones. Kobieta na mnie czeka.

Parks zaciągnął zamek błyskawiczny. Moja te czeka, pomyślał. Jeszcze pół godziny.

Liczył, że tyle zajmie mu droga do jej domku w górach. Ruszył do drzwi.

- Hej, Parks! - zawołał Snyder. - Naprawdę się z nią enisz?

- Tak. Jak tylko przyjmie moje oświadczenia.

Snyder pokiwał z powagą głową.

- Daj znać, jak ustalicie termin. Bo chyba będę twoim drużym, nie?

- Nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej. - Parks uściśnął wyciągniętą rękę przyjaciela, po czym wyszedł na zewnątrz.

Zapadał zmierzch, ale w pobliżu wciąż kręciło się kilku zapalonych kibiców. Parks cierpliwie rozdawał autografy, pozował do zdjęć, odpowiadał na pytania. Składając podpis na daszku wysłanej czapki, którą podsunął mu uśmiechnięty dwunastolatek, zastanawiał się, czy nie wstąpić gdzieś po butelkę szampana. Złociste bąbelki, płomienie tańczące w kominku, migoczący blask świec. Nastrój w sam raz, aby poprosić ukochaną o rękę. Zamierzał to zrobić dzisiaj, bo czuł, że dziś wszystko mu się uda.

Właśnie zapalały się latarnie oświetlające parking, który o tej porze był prawie całkiem pusty. Parks szedł zamyślony, gdy nagle ją dojrzał. Siedziała na masce jego auta, a gęste rude włosy niczym węż wili się wokół jej bladej twarzy. Poczł, jak rozpiera go miłość. Przpełniony tym uczuciem ledwo był w stanie oddychać. Brooke nie zeskoczyła na ziemię, nie zmieniła pozycji, tylko szeroko się uśmiechnęła. Uświadomił sobie wtedy, że pewnie obserwowała go od dłużej czasu. Wziął głęboki oddech, aby spowolnić bicie serca, po czym przyspieszył kroku.

- Gdybym wiedział, że będziesz czekała, postarałbym się szybciej wyjść. - Człkucie w ebrach, ale tym razem nie było ono spowodowane bólem.

- Pojechałam samochodem kamerzyście. - Położyła mu ręce na ramionach. - Gratulacje.

Opuściwszy torbę na ziemię, wsunął dłonie w ognistorude loki. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, patrzył Brooke w oczy, po czym powoli ją pocałował.

Ten pocałunek smakował mu bardziej niż zdobycie mistrzostwa. Zdumiony intensywnością doznań, odsunął się. Miał wrażenie, że zaraz nogi się pod nim ugną, Delikatnie pogładził Brooke po twarzy.

- Kocham cię.

Oparła głowę na jego piersi i westchnęła głęboko, wciągając w nozdrza zapach mydła i szamponu. Przez moment tkwili tak bez ruchu, nie odzywając się. Niebo przybierało coraz ciemniejszy odcień.

- Nie jesteś zbyt zmęczony, aby świętować zwycięstwo? - spytała cicho.

- Nie. - Pocałował ją w czubek głowy.

- To dobrze. - Uwolnwszy się z jego objęć, zeskoczyła z maski. - Na początek zapraszam cię na kolację. - Otworzyła drzwi od strony pasażera.

Nagle uzmysłowił sobie, że jest głodny jak wilk. Niewielki posiłek, który zjadł przed meczem, był ju

odległym wspomnieniem.

- Mogę wybrać miejsce?

Kwadrans później Brooke rozglądała się po kiczowato urządzonym wnętrzu Hamburger Heaven i zawieszonych na suficie lampach w kształcie rogalików.

- Całkiem zapomniałam, że przepadasz za niezdrowym arciem.

- Niezdrowe? - obruszył się, podnosząc do ust ogromną kanapkę. - Sto procent czystej wołowiny.

- Jeśli ktoś w to wierzy, to uwierzy we wszystko.

- Cyniczka. - Podsunął jej tackę z frytkami.

- Bądź grzeczny, bo ci nie przeczytam peanów na twoją cześć. - Zakryła ręką gazetę, którą przed chwilą kupiła. - I nie usłyszysz tych wszystkich pochwał i zachwytów na swój temat.

Wzruszył ramionami.

- Moje cię to nie interesuje, ale ja chcę wiedzieć... - Zaczęła przerzucać strony. - O

tu... - Nagle zamilkła, a na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

- Co się stało?

Zajrzał jej przez ramię. Zobaczył dwa zdjęcia. Na pierwszym uchwyciono go, jak wyciągnięty jak struna chwytającego piłkę. Na drugim, jak Brooke pochylona nad poręczą go całuje.

Nie wielkimi literami tytuł: PODWÓJNE ZWYCIĘSTWO JONESA.

- No, no... - Przebiegł wzrokiem tekst omawiający najważniejsze momenty meczu oraz różne pochwalne wypowiedzi. - „Piłka odbita przez Henneseya... Jones... jak wystrzelony z katapulty... potężny wyskok... Akcja zakończona sukcesem... W nagrodę całus od rudowłosej piękności, Brooke Gordon”. - Na moment oderwał wzrok od gazety i przyjrzał

się siedzącej obok kobiecie. - „Młodej, zdolnej reżyserki, którą widuje się z Jonesem nie tylko na planie filmowym”.

- Nienawidzę tego - mruknęła.

- Czego? - Popatrzył na nią, zaskoczony złością w jej głosie.

- Kiedy bez pozwolenia robi mi się zdjęcie. I kiedy dziennikarze snują kretyńskie domysły. Dziś to, parę dni temu w „Timesie”...

- Opisał cię jako wiotką piękność o zmysłowym spojrzeniu i wspaniałej burzy rudych włosów, w

których Tycjan by się zakochał.

- To nie jest śmieszne, Parks. - Odsunęła na bok gazetę.

- Są większe nieszczęścia na świecie.

- Wiem, ale dziennikarze nie powinni wtrącać się w nie swoje sprawy.

Parks podniósł do ust frytkę.

- Podobno człowiek znany i popularny staje się publiczną własnością.

Zmarszczyła czoło, przypomniawszy sobie, e u yła dokładnie tych samych słów, kiedy rozmawiali o plakacie z wizerunkiem Parksa.

- Owszem, ale to ty jesteś znany i popularny. Występujesz na stadionie, przed wielką widownią. Na tym polega twoja praca. Ale nie moja. Ja pracuję za kamerą i mam prawo do prywatności.

- W porządku, skoro jednak zadajesz się z człowiekiem, który, jak sama twierdzisz, przyciąga tłumy...

- Uśmiechnął się. - Przynajmniej trafnie cię opisali, moja ty rudowłosa piękności...

Brooke wgrzyła się w cheeseburgera.

- I tak mi się to nie podoba - mruknęła. - Uwa am... Zawsze chroniłam swoją prywatność, mo e nawet nadmiernie, a teraz... Po prostu nasz związek jest dla mnie zbyt wa ny, aby czytał o nim ka dy, kto wybuli pięćdziesiąt centów na gazetę.

- Cieszę się, e tak myślisz - rzekł Parks, ujmując ją za rękę.

- Nie chcę, byśmy yli jak para pustelników, która unika ludzi, ale nie chcę te , eby ka de nasze wyjście z domu było komentowane w prasie.

Siląc się na nonszalancję, Parks wzruszył ramionami.

- No wiesz, miłość zawsze się dobrze sprzedaje. Rozwód te , zwłaszcza gdy dotyczy osób znanych.

- Psiakość, teraz, gdy rusza pełną parą kampania reklamowa de Marco, dziennikarze nie dadzą nam spokoju. A jeśli w dodatku przyjmiesz rolę w tym filmie... - Sięgnęła po frytkę.

- Im większą się człowiek cieszy popularnością, tym większa otacza go chmara reporterów.

Koszmar!

- Mógłbym odrzucić tę rolę...

- Oszalałeś?!

- Jest te inne rozwiązanie - oznajmił. Zjadłszy ze smakiem jedną frytkę, sięgnęła po następną.

- Jakie?

- Moglibyśmy się pobrać. Nie chcesz soli? Brooke zaniemówiła na dłuższą chwilę.

- Co powiedziałaś?

- Zapytałem, czy nie chcesz soli? - Podał jej torebkę z solą. - Nie? - spytał, kiedy się nie odezwała. - Powiedziałem również, że moglibyśmy się pobrać.

- Pobrać? - powtórzyła. - Ty i ja?

- No tak, dziennikarze szybko daliby nam spokój. Czytelników bardziej interesuje życie kochanków niż statecznych małżonków. Tak to już jest. - Odłożył na bok kanapkę i pochylił się w jej stronę. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że zwariowałaś - odparła szeptem. - nie bawią mnie takie arty.

Zamierzała wstać od stolika. Czym prędzej chwyci ją za rękę.

- Ale ja wcale nie artuję.

- Chcesz się pobrać, żeby nasze zdjęcia nie pojawiały się w prasie?

- To tobie zależy na tym, żeby prasa o nas nie pisała. Mnie jest wszystko jedno.

- Więc chcesz się pobrać, abym nie zrzędziła? - Przestała się wyrywać, ale oczy płonęły jej gniewem.

- Brooke, chcę się z tobą ożenić, bo cię kocham i pobierzemy się, choćbym miał cię siłą zaciągnąć do ołtarza.

- Tak?

- Tak. Więc nie protestuj.

- A może ja nie chcę wychodzić za mąż? - Odsunęli na bok talerze. - Co wtedy?

- Nic. - Oparłszy się o krzesło, mierzył ją takim samym spojrzeniem, jakim ona mierzyła jego. - Po prostu wyjdiesz.

- Bo ty tak chcesz?

- Boja tak chcę. Skrzyżowała ręce na piersi.

- I siłą zaciągniesz mnie przed ołtarz?

- Możesz krzyknąć, okładać mnie pięściami...

- Potrafię te gryźć.

Serce waliło jej jak młotem, ale nie z gniewu Dziwne, pomyślała. Siedzą w barze szybkiej obsługi przy stole z laminowanym blatem, jedząc frytki i hamburgery, i ni stąd, ni zowąd Parks oznajmia, e się z nią o eni, czy ona tego chce, czy nie. Ku własnemu zdumieniu odkryła, e chce. I wcale jej nie przeszkadza, e oświadczył się jej w tak mało romantycznym miejscu. Postanowiła jednak potrzymać go w niepewności.

- Chyba zdobycie mistrzostwa uderzyło ci do głowy - rzekła. - Tylko dzieci dostają to, czego chcą, jak tupną nogą.

- Więc co mam zrobić? Oświadczyć się przy cichej muzyce i blasku świec? -

Ponownie chwycił ją za rękę. - Nie jesteś kobietą, która przywiązuje wagę do nieistotnych szczegółów. No, powiedz, co mam zrobić.

- Dobrze, kręcimy dubel - oznajmiła spokojnie, wcielając się w rolę re ysera. - Wiesz, co bohater czuje. Staraj się zagrać to nieco łagodniej, bez natarczywości. Poproś, nie ądaj -

dodała, patrząc mu w oczy.

Poczuł, e strach go opuszcza.

- Brooke... - Przycisnął jej palce do swoich warg.

- Czy zgodzisz się zostać moją oną? - Uśmiechnął się.

- I co? Jak wypadło?

- Perfekcyjnie - odparła cicho.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wpadła w panikę. Bo e, co ja najlepszego robię? Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wszystko działo się tak szybko. Rok temu... nie, jeszcze pół roku temu nawet nie wiedziała o istnieniu Parksa Jonesa. A za niecałą godzinę ma wyjść za niego za mą . Na zawsze związać z nim swój los.

Jakiś cichy wewnętrzny głos wołał przera ony, eby nie stała jak kołek, tylko czym prędzej uciekała. Póki jeszcze jest czas.

- Proszę się nie ruszać, panno Gordon - przywołała ją do porządku Edna. - Inaczej nigdy nie uporam się z tymi guziczkami - dodała.

Mimo karcącego tonu gosposia uwa ała, e kremowa suknia z satyny, z obcisłą górą i rozło ystą spódnica jest idealną kreacją ślubną. Właśnie w takim tradycyjnym stroju powinna występować panna młoda, a nie, jak to mają w zwyczaju nowoczesne dziewczyny, w zwiewnych spodniach czy wydekoltowanej bluzce i spódniczce ledwo zakrywającej pośladki.

- Znów się pani poruszyła...

- Edno, błagam... Jest mi niedobrze.

Gospoia Claire popatrzyła w lustrze na jej bladą twarz o wielkich, podkreślonych szarym cieniem oczach. Jej zdaniem, ka da panna młoda powinna wyglądać tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

- E tam, to tylko nerwy.

- Nerwy? Ja się nie denerwuję - zaprotestowała Brooke.

- Akurat! Wszystkie kobiety denerwują się przed własnym ślubem. To normalne.

- Mo e, ale nie ja - oznajmiła twardo Brooke, z trudem powstrzymując dr enie rąk.

- No, zapięte - ogłosiła zwycięskim tonem Edna.

- Dzięki Bogu.

Brooke skierowała się w stronę krzesła, ale zanim zdą yła usiąść, Edna chwyciła ją za łokieć.

- O nie! Bo się suknia pogniecie.

- Edno, na miłość boską...

- Od czasu do czasu kobieta musi pocierpieć.

Brooke zaklęła pod nosem. Kręcąc z niezadowoleniem głową, Edna podniosła z toaletki szczotkę do włosów.

- Panna młoda nie powinna u ywać takiego języka.

- Ale akurat ta panna młoda go u ywa - mruknęła Brooke, uchylając się przed szczotką. - Bo ta panna młoda ma dwadzieścia osiem lat i jest dojrzałą kobietą - Zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem. - Bo e chyba oszalałam. adna zdrowa na umyśle osoba nie zgadza się na ślub w barze szybkiej obsługi.

- Ale , skarbie, pani nie bierze ślubu w barze, tylko w ogrodzie panny Thorton -

zauwa yła Edna. - Pogoda jest wprost wymarzona...

Brooke skrzywiła się. Wszelkie rozsądne uwagi wyjątkowo jej dziś działały na nerwy.

- Nie wiem, jak ona mnie do tego namówiła! Kto to słyszał: ślub w ogrodzie!

- Namówiła?! - wykrztusiła staruszka, wymachując szczotką. - Pani nie sposób do czegokolwiek namówić. Pani jest upartą młodą kobietą, która nie pozwala sobie niczego narzucić. I dygocze ze strachu, bo na dole czeka na nią młody człowiek, równie uparty i nieustępliwy jak ona.

- Wcale nie dygoczę ze strachu - oburzyła się Brooke.

- Trzęsie się pani jak osika. Brooke oparła ręce na biodrach.

- Kogo miałabym się bać? Parksa?

- Mo e nie? - mruknęła Edna. Przysunąwszy sobie stołek, stanęła na nim i zaczęła czesać Brooke. - Zało ę się, e składając przysięgę mał ęńską, będzie się pani jąkać jak mała przera ona dziewczynka.

- Nigdy w yciu się nie jąkałam - Brooke dobitnie wymówiła ka dą sylabę. - I nie mam zwyczaju się trząść ani dygotać.

- No có , po yjemy, zobaczymy. - Gosposia, zadowolona z siebie, upięła włosy Brooke w luźny kok, który przystroiła ró owo - białym pąkiem hibiskusa.

- A teraz... gdzie się podziały te kolczyki z perłą od panny Thorton?

- Tam le ą. - Brooke wskazała na pudełeczko z prezentem od Claire.

Powinni byli wyjechać, jak proponował Parks. Wziąć cichy, skromny ślub. Psiakość, co jej strzeliło do głowy? Dlaczego w ogóle zgodziła się na ślub?

- Proszę je zało yć. - Edna podała jej kolczyki.

- Idealnie. - Powiedziała głosem niepewnym ze wzruszenia. - Brakuje tylko welonu, ale trudno. - Miała ochotę przytulić Brooke, pocałować ją w policzek, ale bała się, e obie się rozkleją. - No, chodźmy, czas najwy szy.

Jeszcze mogę wszystko odwołać, pomyślała Brooke, opuszczając pokój. Jeszcze jest czas. Nikt mnie nie zmusi do mał ęństwa. Serce łomotało jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. To bez sensu, powtarzała. Do ślubu trzeba dojrzeć, przygotować się. Po co ten pośpiech?

Minęły zaledwie cztery dni od oświadczyn Parksa. Cztery. Mo e nie powinna była nic mówić Claire? Mo e na tym polegał błąd? Pewnie była w stanie oszołomienia, skoro pozwoliła przyjaciółce o wszystkim decydować. Claire natychmiast przystąpiła do działania.

Ślub odbędzie się u niej w ogrodzie... Mała, skromna uroczystość... Potem szampan dla gości.

Co? Cichy ślub w innym mieście, w tajemnicy przed rodziną i przyjaciółmi? Wykluczone! To dobre dla nieodpowiedzialnych osiem - nastolatków. A mo e by wynająć trzyosobowy zespół

muzyczny? Jej entuzjazm udzielił się nawet Brooke.

I teraz ma za swoje.

Chocia nie, pomyślała, gdy wraz z Edna zbli ała się do schodów. Jeszcze nie wzięła ślubu. Wciąż mo e odwrócić się i zamiast do ogrodu rzucić się do drzwi wyjściowych. Mo e wsiąść do samochodu i odjechać. Ale... to by świadczyło o tchórzostwie, a ona, Brooke, nie jest tchórzem. Nie ucieknie, nie zrejteruje. Wyjdzie do ogrodu i spokojnie wyjaśni wszystkim, e zmieniła zdanie. Najmocniej was

przepraszam, powie, po namyśle postanowiłam jednak nie brać ślubu.

- Cudownie wyglądasz! - zawołała Claire ubrana w jedwabny kostium w stonowanym błękitnym odcieniu. Oczy lśniły jej od łez.

- Claire, ja...

- Prześlicznie! Kochanie, błagam... pozwól,

eby zespół zagrał wam marsza

weselnego.

- Nie, ja...

- Ha, trudno, w końcu to twój ślub. - Przycisnęła policzek do policzka Brooke. -

Wiesz, czuję się jak twoja mama. To śmieszne, eby w tym wieku obudził się we mnie instynkt macierzyński. Ale ja naprawdę...

- Och, Claire...

- Psiakość, nie mogę beczeć, bo mi się rozma e makija . - Pociągając nosem, odsunęła się. - Nicodziennie jest się druhną.

- Claire, chciałam...

- Pani Thorton, wszyscy czekają.

- Ju idę... - Uśmiechnąwszy się do Brooke, Claire pośpieszyła do ogrodu.

- Teraz, skarbie, pani...

Brooke zaczęła nerwowo się zastanawiać, czy jednak nie optować za ucieczką? Czy jest coś złego w byciu tchórzem? Zanim odpowiedziała sobie na to pytanie, Edna wypchnęła ją na zewnątrz.

Znalazła się na wprost Parksa. Patrząc jej w oczy, ujął jej dłoń i podniósł do warg. Po chwili razem, ona w kremowej sukni, on w eleganckim perłowszarym garniturze, wyszli do ogrodu, w którym rosły bujne kwiaty i ukochane przez Claire egzotyczne drzewa.

Jeszcze zdą ę, pomyślała Brooke, kiedy pastor zaczął kazanie. Ale nie była w stanie wydobyć głosu.

Chocia kwiatów nie widziała, bo oczy miała utkwione w Parksie, była pewna, e unoszący się w powietrzu zapach jaśminu, wanilii i ró zapamięta do końca ycia. Stojący u jej boku mę czyzna powtarzał za pastorem słowa przysięgi: tradycyjną formułę wypowiedaną od wieków przez wszystkie młode pary.

Potem poczuła, jak Parks wsuwa jej na palec obrączkę. Tak, poczuła, bo wciąż nie potrafiła oderwać oczu od jego twarzy. Nieopodal ptak siedzący na gałęzi wiśni zaczął radośnie świergotać.

Usłyszała własny głos, dźwięczny, mocny, powtarzający tę samą przysięgę o miłości, wierności, oddaniu. Ręką, która ju nie drżała, nasunęła obrączkę na palec Parksa. Przysięgę zwińczyli pocałunkiem.

A ja chciałam uciec, pomyślała.

- Dogoniłbym cię i złapał - szepnął jej do ucha Parks.

Odskoczyła przerażona. Przytrzymując ją za ramiona, Parks szeroko się uśmiechnął.

Ku zdumieniu gości obserwujących uroczystość Brooke zakłęta dosadnie, po czym objęła męża a za szyję i wybuchnęła śmiechem.

- Stary, puść ją. - Snyder palcem dźgnął Parksa w bok. - Daj innym szansę ucałować tę ślicznotkę.

Skromne, małe przyjęcie, które obiecywała Claire, nie było ani skromne, ani małe.

Brooke nie bawiła się w liczenie gości, ale dałaby sobie głowę uciąć, e przyszło na pewno ponad sto osób. Ale ten sympatyczny zgiełk wcale jej nie przeszkadzał. Szampan lał się strumieniami, stoły uginały od wykwintnych dań. Był też ogromny ró owo - biały tort.

Jednak panna młoda, przekazywana z rąk do rąk i obcałowywana, nie miała okazji niczego skosztować.

Matka Parksa, drobna, elegancka pani w średnim wieku, pocałowała synową w policzek, po czym zalała się łzami. Ojciec niemal zmiął Brooke w uścisku, a następnie oznajmił, e mo e teraz, gdy syn się oenił, wreszcie zmądrzeje i podejmie pracę w rodzinnej firmie.

Poślubiając Parksa, Brooke z dnia na dzień znalazła się w bardzo licznej rodzinie.

Nowe ciotki, wujowie, kuzyni i kuzynki tłoczyli się wokół niej tak, e ledwo miała czym oddychać.

- Dajcie dziewczynie spokój - rozkazała w pewnej chwili krępa niewiasta o marchewkowych włosach. - Ci Jonesowie potrafią człowieka zamęczyć. - Zmierzyła Brooke od stóp do głów. - Jestem twoją ciotką Lorraine - rzekła, podając jej dłoń.

Brooke poczuła instynktowną sympatię do tej pulchnej kobiety. I nagle doznała olśnienia.

- Ta złota moneta na szczęście... to od pani?

- Powiedział ci o niej? - Lorraine uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Dobry z niego chłopak. A ty, dziecino, mów do mnie po imieniu. - Poklepała Brooke po ręce. - Cieszcie się sobą przez pół roku, a

potem przyjedźcie do mnie. A teraz dam ci mądrą radę. Odszukaj mę a i uciekajcie stąd.

Rada radą, ale minęły kolejne dwie godziny, zanim w końcu zdołali opuścić przyjęcie.

Brooke weszła do domu, by się przebrać. Parks to zobaczył. Korzystając z okazji, e nikt ich nie widzi, pociągnął ją do drzwi, wepchnął do samochodu i z piskiem opon ruszył z podjazdu.

- Udało się - powiedział, gdy stanęli pod jej domem.

- Niegrzecznie postąpiliśmy.

- Bardzo niegrzecznie.

- I bardzo mądrze. - Pochyliwszy się, pocałowała go w usta. - Zwłaszcza ty, kradnąc Claire butelkę szampana.

Wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce, skierowali ście ką w stronę drzwi.

Brooke znów ogarnęło uczucie niepewności.

- Wiesz co? Mamy mały problem - powiedziała. - Tak się spieszyłeś z porwaniem mnie z przyjęcia, e nie wzięłam torebki. - Popatrzyła na drzwi. - A tam był klucz.

Parks sięgnął do kieszeni. Brooke zmarszczyła czoło; po chwili przypomniała sobie, e jakiś czas temu sama dała mu klucz, do swojego domu, do swojego ycia. Chocia zauwa ył jej reakcję, nic nie powiedział. Po prostu otworzył drzwi.

Chwyciwszy onę w ramiona, przeniósł ją przez próg. Wybuchnęła śmiechem.

- Nie przypuszczałam, e jesteś takim tradycjonalistą. Wiesz... - Przerwał jej ostry jazgot. Kiedy zdziwiona spojrzała tam, skąd dochodził, zobaczyła małego brązowego pieska z czarną mordką, który biegał wokół nóg Parksa, od czasu do czasu usiłując go ugryźć w kostkę. - Ojej, co to?

- Prezent ślubny - odparł Parks, lekko trącając psiaka nogą. Ten natychmiast przewrócił się na wznak, nadstawiając brzuszek do głaskania. - Miękki i miły, tak jak chciałaś.

- Och, ty wariacie - szepnęła bliska łez.

- E. J. przywiózł go tu godzinę temu.

- Bo e, jak ja cię kocham! - Z całej siły ścisnęła mę a za szyję, po czym uwolniła się z jego objęć. W satynowej sukni ślubnej uklękła na podłodze i zaczęła się bawić ze szczeniakiem. - Nasze pierwsze małżeństwo. - Popatrzyła z czułością na pieska, który zmęczony usnął na dywanie.

- Ma twój nos - stwierdził Parks.

- I twoje łapy. - Popatrzyła na niego wymownie. - Sądząc po tym, jakie są grube, wyrośnie na

olbrzyna.

- Mo esz go zaanga ować do psich reklam. - Pomógł jej wstać. - Szampan nam się ogrzeje...

- Niech się grzeje.

Wolno prowadził ją do schodów, obsypując jej twarz pocałunkami. Wspinali się niespiesznie, wiedząc, e wkrótce pogrą ą się w cudownych zmysłowych rozkoszach.

- Ile ich jest? - spytał, na moment odrywając wargi od jej ust. Miał na myśli guziczki, które zaczął rozpinać.

- Kilkadziesiąt - odparła, rozwiązując mu krawat.

Pałce miał bardzo sprawne, bo rozpiął suknię, zanim doszli do sypialni.

Padli na łó ko. Mieli przed sobą całą noc, całe ycie, a mimo to kochali się łapczywie, namiętnie, tak jakby istniała tylko chwila obecna. Ka da pieszczota powodowała nowy jęk zadowolenia, ka dy jęk jeszcze bardziej wzmagał podniecenie. Oddychali coraz szybciej, coraz gwałtowniej. ar ciał i emocji sięgał zenitu.

- Dlaczego tak jest, e za ka dym razem pragnę cię coraz bardziej?

- Nie mam pojęcia - mruknął Parks z twarzą wtuloną w jej szyję. - Ale to dobrze.

Powoli nastawał zmierzch. Wkrótce zapadnie noc. Moja noc poślubna, przemknęło Brooke przez myśl. Wciąż czuła się jak kochanka. Uniósłszy rękę, popatrzyła na obrączkę.

Zdobiące ją brylanciki i szafiry połyskiwały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

- Nie chcę, eby cokolwiek się zmieniło. Chcę, ebyśmy zawsze byli tacy, jak teraz.

Parks oparł się na łokciu.

- Wszystko się zmienia, maleńka. My te się zmienimy. Ty będziesz się na mnie wściekać, kiedy zu yję całą ciepłą wodę. A ja będę wpadał w szal, kiedy ty wypijesz całą kawę, nie zostawiając mi ani kropli.

Roześmiała się.

- Nie owijasz w bawełnę.

- Takie jest ycie, droga pani Jones.

- O rany, zapomniałam, e tak się teraz nazywam. - Zamyśliła się. - Pani Jones kojarzy mi się z twoją mamą... Uwa am, e jest bardzo miła.

Parks zarechotał pod nosem.

- Nie martw się. Pamiętaj, e moja mama mieszka pięćset kilometrów stąd.

Odwrócił się na wznak, a ona nakryła go swoim ciałem i położyła głowę na jego piersi.

- Masz bardzo sympatyczną rodzinę.

- Owszem, ale nie musimy się z nią za często widywać.

- Hm... Byle nie za szybko - dodała, przypominając sobie rozmowę z ciotką Lorraine.

- Parks...

- Mmm?

- Cieszę się, e przyjechaliśmy tutaj, zamiast lecieć gdzieś na drugi koniec świata.

- W święta polecimy na kilka tygodni na Maui. Zobaczysz moją tamtejszą posiadłość.

Czy znajdzie na to czas, je eli zgodzi się re yserować film, na który tak usilnie namawiają Claire?
Tak. Po prostu coś wykombinuje.

- Kocham cię.

Przytulił ją mocniej, tym mocniej, e bardzo rzadko wyznawała mu miłość.

- Czy ju ci mówiłem, jaka byłaś piękna, kiedy Edna wypchnęła cię do ogrodu?

Brooke poderwała głowę.

- Widziałeś to?! Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie sądziłem, e będziesz równie przestraszona jak ja.

- Bałeś się? Naprawdę?

- Pół godziny przed ślubem ułożyłem w głowie długą listę powodów, dla których powinniśmy go odwołać.

Uniosła pytająco brwi.

- Du o ich było? Tych kontrargumentów?

- Straciłem rachubę - odparł, ignorując jej zaskoczoną minę. - Ale był te jeden „za”, dla którego postanowiłem przemóc ten strach.

- Jaki?

- e cię kocham.

- Aha. - Ponownie ułożyła głowę na jego piersi.

- Parę innych te by się znalazło.

- Na przykład, e ślub pomo e w kampanii reklamowej?

- Pewnie. To jeden z najważniejszych powodów.

- Jęknął, gdy ugryzła go lekko w ucho. - Dochodzi do tego nadzieja, e nareszcie będę miał kogoś, kto będzie mi dobierał parami skarpetki.

- Nawet na to nie licz - szepnęła. - Kolejny dobry powód to bliska znajomość z reżyserem filmu, w którym występujesz. To zawsze się przydaje.

- W sprawie filmu jeszcze nie podjąłem decyzji. A ty?

- Te nie - odparła, zmieniając nieco pozycję.

- Moim zdaniem powinieneś przyjąć tę rolę.

- Dlaczego? Otworzyła oczy.

- Nie powinnam tego mówić, eby woda sodowa nie uderzyła ci do głowy... Jesteś dobrym aktorem.

Znieruchomiał.

- Co takiego?

- Nie twierdzę, e potrafisz świetnie zagrać absolutnie wszystko. Nie rób sobie zbyt dużych nadziei.

Uśmiechnął się.

- Ale jesteś naturalny przed obiektywem - kontynuowała. - Wiele sław aktorskich wypada dobrze na ekranie, poniewa niczego nie udają; po prostu są sobą. Z tobą jest podobnie. Gdybyś brał tylko te role, które ci podchodzą... które by nie wymagały ogromnych zdolności dramatycznych, wtedy... Wtedy po zakończeniu kariery sportowej mógłbyś rozpocząć nową, aktorską.

Parsknął śmiechem, ale po chwili, widząc jej spojrzenie, spowaśniał.

- Ty nie artujesz...

Przez moment milczała, po czym wzięła głęboki oddech.

- Nie, nie artuję, Parks. Naprawdę masz wszystkie wymagane predyspozycje.

Powinieneś się nad tym zastanowić. Tylko cię ostrzegam, jeśli kiedy cię dziesięć razy powtórzy jakąś

scenę, a ty po tym, co dziś ode mnie usłyszałeś, zaczniesz stroić fochy, to...

- To co?

- To cię ugryzę w ucho!

- Obiecujesz?

- Masz to jak w banku!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mimo że był listopad, przez Los Angeles przetaczała się fala upałów. Zmęczeni skwarem ludzie szybciej tracili panowanie i szybciej wpadali w gniew. Brooke nie należała do wyjątków. Przed powrotem do pracy spędziła z Parksem dziesięć dni na odludziu, ale nie były to dni wolne od drobnych sprzeczek i nieporozumień. Nic dziwnego, pomyślała, wiążąc bluzkę pod biustem. życie składa się z problemów, dlaczego więc miesiąc miodowy miałby być ich pozbawiony?

Po ślubie przyjęła nazwisko męża, chociaż w sprawach zawodowych zamierzała nadal

posługiwać się rodzimym. Parks zrezygnował ze swojego mieszkania i przeprowadził się do niej. Ona miała jego nazwisko, on klucz do jej domu. On to, ona tamto. Psiakość, czasami czuła, że robi bilans strat i zysków. Wzdychając ciężko, wierzchem dłoni starła pot z czoła.

Czy o to chodzi w małżeństwie? eby jedno nie miało nad drugim żadnej przewagi?

Ślub był zaledwie trzy tygodnie temu, powinna zatem promienieć szczęściem, a ona jest rozdrażniona i niespokojna; w dodatku miała świadomość, że równie Parks jest sfrustrowany i podminowany.

Nie była to jednak odpowiednia pora na tego typu rozmowę. W pracy powinna się skupić na rezerwowaniu, a nie na roztrząsaniu problemów osobistych.

Wraz z E. J. oglądała z podnośnika złocistą plażę, na której kręcili trzecią reklamę de Marca. Fale przypiływu rozbijały się o brzeg, pozostawiając na piasku wąski pas piany.

- No dobra, najpierw chcę szerokie ujęcie na całą plażę, potem zbliżenie. Indygo dla insów będzie pięknie kontrastowało ze złocistą maścią konia. Zależy mi, eby było widać każde drgnienie mięśni.

- Konia czy Parksa? - spytał z uśmiechem E. J.

- Obojgu.

Skinęła na pomocnika technicznego, eby opuścił ramię dźwigu, po czym zeskoczyła na ziemię. Wycierając dłonie o spodnie, podeszła do Parksa, który stał nieopodal, ubrany jedynie w obcisłe, dla insów biodrówki firmy de Marco.

- Jesteśmy gotowi - powiedziała. Zahaczywszy kciuki o kieszenie, przyjrzał się jej uważnie. Nie

rozumiał, co go tak irytuje i dlaczego ma ochotę ją zdenerwować. Napięcie między nimi narastało od kilku dni; atmosfera była naelektryzowaną jak powietrze przed burzą, lecz adne błyski ani pioruny jeszcze nie nastąpiły.

- Co mam robić?

- Czytałeś scenariusz.

- Zawsze mi podpowiadałaś, co bohater myśli, czym się kieruje...

- Przestań, Parks - warknęła. - Za gorąco.

- Chciałbym zagrać zgodnie z twoimi oczekiwaniami, eby nie powtarzać sceny dziesięć razy.

Z trudem powstrzymała gniew, bo nie chciała w miejscu publicznym tracić nad sobą panowania.

- Powtórzysz ją choćby dwadzieścia razy, je eli uznam to za konieczne - oznajmiła spokojnie. - A teraz wsiadaj na konia i galopuj wzdłu brzegu. Z taką miną, jakby ci to sprawiało przyjemność.

- To rozkaz? - Ton, jakim zadał pytanie, tylko z pozoru był łagodny.

- Polecenie - odparła. - Aktor słucha re ysera. Zrozumiałeś?

Przysunąwszy się bli ej, zmia d ył jej usta w pocałunku. Czuł opór jej ciała i miękkość jej piersi. Zastanawiał się, skąd się bierze w nim taka wściekłość. Z całej siły pragnął Brooke, a jednocześnie ją od siebie odpychał.

- Zrozumiałem - odparł, wskakując na konia. Popatrzyła na półnagiego mę czynę, który siedział dumnie wyprostowany na złocistym palomino, uśmiechając się bezczelnie.

Poczekaj, jeszcze się na tobie zemszczę, pomyślała, odwracając się na pięcie.

- Kręcimy - powiedziała, dołączywszy do ekipy. Przez chwilę snuła wizje zemsty, po czym przyło yła do ust megafon. - Na miejsca! Uwaga, zaczynamy! Akcja!

Niesamowity, pomyślała z dumą, a zarazem złością, obserwując, jak Parks wprowadza konia w płynny galop. Krople wzbijanej kopytami wody lśniły na jego opalonym torsie, a jego włosy i końska grzywa falowały na wietrze. Człowiek i zwierzę zlewali się w jedno.

Elegancja, siła, harmonia. Brooke wyobraziła sobie, jak pięknie to będzie wyglądało w zwolnionym tempie.

- Cięcie. - Popatrzyła do góry na kamerzystę. - No i jak, E. J.?

- Fantastycznie! - odkrzyknął. - Sprzeda d insów de Marco właśnie wzrosła o dziesięć procent.

Poprawiając przeпоconą koszulę, podeszła do Parksa, który nadal siedział w siodle.

Scena rzeczywiście wypadła świetnie, lecz nie doskonale. Spostrzegłszy ją, Parks przerwał

rozmowę, którą toczył z trenerem.

- I jak?

- Nieźle - przyznała Brooke. - Ale kręcimy to jeszcze raz.

- Dlaczego?

Ignorując to pytanie, poklepała zwierzę po szyi.

- Tym razem cały czas patrz przed siebie - poleciła mu. Zaleało jej, aby w tej scenie nie emanował dzikim seksem, lecz subtelną zmysłowością.

- Dlaczego?

- Po prostu zrób to, co mówię. Musimy dobrze sprzedać te d'insy.

Parks powoli zsiadł z konia. Trener nagle przypomniał sobie, że musi coś pilnie załatwić i odszedł, zostawiając ich samych. Członkowie ekipy krzatali się po plaży, udając zaaferowanych. Parks i Brooke mierzyli się wzrokiem.

- Może byś tak poprosiła?

- A ty może byś tak się nie stawiał?

Poczuł pieczenie soli wysychającej na jego skórze.

- Szkoda, że nie wiesz, na czym polega gra w zespole - warknął.

- To nie baseball, Parks. Przy filmie każda ma konkretne zadanie do wykonania.

Twoje polega na słuchaniu moich poleceń.

Z satysfakcją zobaczyła błysk gniewu w jego oczach. Dobrze. Może porządna awantura oczyści atmosferę. Stała w rozkroku gotowa do pojedynku.

- Mylisz się - oznajmił spokojnie Parks. - Moje polega na reklamowaniu produktów de Marca.

- Zgadza się. - Przybrała identyczny ton, choć miała ochotę na niego wrzeszczeć. -

Jeżeli coś ci się nie podoba, porozmawiaj ze swoim agentem. Ale najpierw pozwól nam dokończyć to ujęcie.

Chwycił ją za ramię, zanim zdążyła odejść.

- Po co mam rozmawiać z agentem, skoro mogę z nią?

- Teraz jestem re yserem, a nie oną - oznajmiła lodowato, patrząc mu prosto w oczy.

- Muszę wracać do pracy. Ekipa jest zmęczona. Upał wszystkim doskwiera. Chcę skończyć pracę, nim ktoś dostanie udaru.

Twarz miała zaczerwienioną od ciepła i wilgotną od potu.

- W porządku - powiedział, opuszczając rękę. - Ale jeszcze do tego wrócimy.

Wsiadłszy na konia, odjechał, zanim zdą yła wymyślić stosowną ripostę.

- Ujęcie drugie! - zawołała, wracając do ekipy.

Parks nie potrafił w aden logiczny sposób wytłumaczyć swojej złości. Wiedział

jedynie, e wszystko w nim kipi. Energicznym krokiem podą ał korytarzem w stronę gabinetu Brooke; zamierzał jej wszystko wygarnąć. Wygarnąłby ju na pla y, ale znikła, zanim się spostrzegł. Pla a stanowiła teren neutralny, ziemię niczyją, gabinet zaś był jej królestwem. A on wielokrotnie wygrywał na boisku przeciwnika.

Minąwszy bez słowa sekretarkę, dotarł do drzwi i nacisnął klamkę. W środku nie było nikogo.

- Przykro mi, panie Jones... - Sekretarka poderwała się od biurka. - Panna Gor...

Pańska ona wyszła kilka minut temu.

- Dokąd? - spytał oschle.

- Chyba... chyba jest u pani Thorton. Jeśli pan zaczeka, zaraz sprawdzę... - urwała, odprowadzając go wzrokiem.

Po chwili wróciła. Chyba Brooke naraziła się mę owi, pomyślała, obgryzając paznokieć.

Niecałe pięć minut później Parks minął bliźniaczki strzegące wejścia do gabinetu Claire i bez pukania pchnął drzwi.

- Gdzie Brooke? - warknął, nawet nie racząc skinąć głową na powitanie.

- Dzień dobry, Parks - powiedziała Claire. - Napijesz się z nami herbaty? - spytała takim tonem, jakby ten nie zapowiedziany gość nie ział furia.

Popatrzył na tacę z fili ankami oraz na swojego agenta, który najwyraźniej przyjechał

do Claire z wizytą.

- Szukam Brooke.

- Minęliście się. - Claire podsunęła Duttonowi talerzyk z ciasteczkami. - Wyszła jakiś kwadrans

temu. A mo e ciasteczko, Parks?

- Nie, dziękuję - odparł, przypominając sobie o zasadach dobrego wychowania. - Nie wiesz, dokąd?

Claire przełknęła kęs, który miała w ustach, i wytarła palce w serwetkę.

- Chyba mówiła, e jedzie do domu. Prawda, Lee?

- Chyba tak - potwierdził agent. - W dodatku była w równie podłym humorze, co Parks - dodał, posyłając swojemu klientowi zdawkowy uśmiech.

- Tak, to prawda. - Claire położyła ręce na kolanach. - Parks, kochanie, czy wyście się posprzecziali?

- Nie, nie posprzeczialiśmy się - mruknął. Nie zamierzał z nikim omawiać swoich kłopotów małżeńskich. Nagle coś go tknęło: co jego agent porabia w Thorton Productions? -

A ciebie, Lee, co tu sprowadza?

- Mnie? Chęć wypicia pysznej herbaty w miłym towarzystwie. Słuchaj, mo e byś usiadł i trochę ochłonał, co? Jesteś zmachany, jakbyś dopiero co zszedł z boiska.

- Kręciliśmy scenę na plaży - wyjaśnił Parks. Czy Lee Dutton obejmuje Claire, czy mo e on, Parks, ma omamy?

- I jak poszło? - spytała Claire rozbawiona podejrzliwym spojrzeniem Parksa.

- Zdaje się, e Brooke jest zadowolona.

- Zdaje się? - Claire utkwiała w nim wzrok. - Kiedy wy wreszcie zaczniecie cieszyć się sobą?

Parks zmarszczył czoło.

- O co ci chodzi?

- Pierwszy raz widzę parę, która nie przestaje sobie dokuczać.

- Uważasz, e my to robimy?

- A nie? - Odstawiła filiżankę. - Oboje lubicie władzę, lubicie dominować. Rozumiem, e to mo e być podniecające, ale czy zgodność i harmonia, po prostu normalne małżeńskie życie, nie jest lepsze od ciągłej rywalizacji?

Władza... dominacja... Parks w milczeniu powtarzał te słowa. Kto jest silniejszy, kto przeforsuje swoje zdanie. Niewątpliwie dla obojga jest to bardzo ważne. Szukają w partnerze siły, wyzwania. Partner słaby, chwiejny, uległy nie pociągałby ani jego, ani Brooke. Ale harmonijne życie małżeńskie ma swój urok.

Hm, dopiero teraz, zastanawiając się nad tym, co Claire powiedziała, uświadomił

sobie, e trudno mu się pogodzić z faktem, e mieszka w domu nale ącym do Brooke, wśród jej sprzętów. Czuł się tam... no, mo e nie jak przybłęda, ale jak gość. Nagle przypomniał

sobie własne słowa: „Chcę ci pokazać moją posiadłość na Maui”. Moją.

Krzywiąc się z niesmakiem, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Chyba Brooke nie dorosła do mał eństwa. Claire prychnęła.

- Od dziecka o tym marzy. O harmonii, szczęściu, rodzinie. Jesteś ślepy? - Wstała zagniewana. - Jak to mo liwe, e dwoje ludzi yje pod jednym dachem i nic o sobie nie wie?

e nie zna potrzeb partnera, jego pragnień, lęków. Co ci Brooke mówiła o swoim dzieciństwie, o dorastaniu?

- Niewiele. Właściwie nic. Ona...

- A pytałeś ją? Tylko mi nie mów, e nie chciałeś wtykać nosa w jej sprawy - ciągnęła Claire, nie dając mu dojść do głosu. - Jesteś jej mę em, do cholery! Twoim obowiązkiem jest poznać onę, jej przeszłość. Trzeba wiedzieć, czego partner pragnie, co się dla niego liczy...

- Dla Brooke liczy się jej dom, jej świat, jej rzeczy. Lubi otaczać się przedmiotami.

Ich wartość nie gra roli; równie dobrze mo e to być wyszczerbiony kubek, jak i osiemnastowieczny stolik.

- Dziwisz się? W dzieciństwie nie miała niczego, więc teraz rekompensuje sobie braki.

Ale te rzeczy, o których mówisz, stanowią jedynie namiastkę. Słuchaj. Dziesięć lat temu Brooke weszła do mojego gabinetu, szukając pracy. Miała kilka dolarów w kieszeni i mnóstwo determinacji. Ktoś, kogo kochała, zabrał jej wszystko. Postanowiła, e nigdy więcej nie dopuści do takiej sytuacji. - Sposepniała na samo to wspomnienie. - Udowodnij jej, e jesteś inny. e mo e ci zaufać.

- Ja nie chcę jej niczego zabierać!

- Ale oczekujesz, e będzie dawała.

- Tak! Przecie ją kocham.

- Dam ci dobrą radę. Brooke od dziecka pragnęła mieć coś własnego. I kogoś, kogo mogłaby pokochać. Rzeczy ju ma. Sama na nie zarobiła. Je eli chcesz, by się nimi z tobą dzieliła, eby dzieliła się z tobą swoim yciem, musisz jej w zamian coś ofiarować. Miłość nie wystarczy.

- A co wystarczy? - spytał wściekły, e ktoś taki jak Claire, o połowę od niego mniejszy, ma czelność

go pouczać.

- Nie wiem. Pomyśl.

- W porządku, pomyślę - oznajmił chłodno i bez słowa opuścił gabinet.

Lee wstał z kanapy i otoczył Claire ramieniem. Jej oczy ciskały gromy.

- Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak wściekłej.

- Rzadko tracę panowanie. - Odgarnęła włosy z czoła. - Młodzi, psiakrew!

- Masz rację. - Spojrzał jej w oczy. - Nie potrafią cieszyć się tym, co mają. - Nagle rozciągnął wargi w uśmiechu. - Powiedz, złotko, czy zgodzisz się spędzić resztę życia z agentem teatralnym z nadwagą?

Gromy znikły jej z oczu, a w ich miejsce pojawiły się łzy radości.

- Lee, ju się bałam, e nigdy mnie o to nie zapytasz - szepnęła.

Parks tkwił w korku, kiedy w radiu po raz pierwszy podano wiadomość o po arze, który szalał w Liberty Canyon, niecałą godzinę drogi od miejsca, gdzie stał dom Brooke. Jego wściekłość na Claire natychmiast ustąpiła miejsca przera eniu.

Czy Brooke jest w domu? - zastanawiał się nerwowo, wyprzedzając wolno jadące ferrari. Czy włączyła radio lub telewizor, czy przeciwnie, rozkoszuje się ciszą? Często po męczącym dniu pracy brała prysznic i kładła się na godzinę, by odpocząć. artował wtedy, e w ten sposób ładuje akumulatory. Teraz na myśl, e ona drzemie, gdy niedaleko płoną lasy, zrobiło mu się niedobrze.

Jakiś czas później poczuł w powietrzu zapach palących się liści. Na wschodzie niebo przysłoniła smuga dymu. Mniej więcej pół godziny, pomyślał, góra czterdzieści minut.

Jeszcze mocniej nacisnął pedał gazu.

Na szczęście nie ma wiatru. Jest szansa,

e ogień nie będzie się szybko

rozprzestrzeniał. Mo e wkrótce stracy sobie z nim poradzą. Brooke pewnie ju pakuje dokumenty i inne wa ne rzeczy. Mo e lada moment wyłoni się zza zakrętu jej datsun? Wtedy pojedą do hotelu, porozmawiają, wszystko sobie wyjaśnią.

Dym stawał się coraz bardziej widoczny. Nagle Parks dojrzał zbiegające z gór zające, lisy, szopy. To znaczy, e ogień się zbli a. Na miłość boską, gdzie jest Brooke? Dlaczego nie ucieka? Dlaczego jej nie widać? Ostatnie dwadzieścia kilometrów pokonał gnany panicznym strachem.

Samochód Brooke stał na podjeździe. Parks rzucił się do drzwi. Przyszło mu do głowy, e Brooke śpi nieświadoma zagrożenia. Gdyby nie spała, poczułaby ten gryzący dym.

Wpadł do domu, wołając ją. Wewnątrz panowała cisza. Nie słychać było nerwowych kroków ani odgłosów pakowania. Skierował się ku schodom. Pędził na górę, kiedy nagle doleciał go jazgot psa. Psiakrew, całkiem zapomniał o szczeniaku! Zaklął pod nosem, ale nie zwolnił. Najwa niejsza jest Brooke. Na widok pustego łóka ogarnął go jeszcze większy strach. Wybiegłszy z sypialni, zaczął sprawdzać inne pokoje na piętrze. Wtem kątem oka zobaczył jakiś ruch w ogrodzie.

Deszcz? Czy by padało? Przystanął zdziwiony. Nie, to nie deszcz, ale na pewno na ziemię leje się woda. Zbliżywszy się do okna, ujrzał Brooke. Uczucie ulgi ustąpiło miejsca irytacji, irytacja wściekłości. Cholera jasna, co ona sobie myśli, stojąc w ogrodzie i polewając trawnik, kiedy gęsty dym ju niemal całkiem przysłania rosnące na skraju posiadłości drzewa?!

- Brooke! - wrzasnął, otwierając okno. - Brooke, co ty, do diabła, wyprawiasz?

Zaskoczona, podniosła głowę.

- Parks? Och, dzięki Bogu! Chodź mi pomóc. Musimy się spieszyć. I zamknij okno, eby iskry nie wpadły do środka! Pospiesz się!

Ile sił w nogach pognał na dół z zamiarem zawleczenia jej do samochodu.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?! - powtórzył, gdy znalazł się na zewnątrz.

Porwał ją w objęcia i uścisnął, o mało nie łamiąc jej eber. Bo e, gdyby nie słucał

radia, gdyby Brooke zdrzemnęła się po pracy, gdyby... Z przeraeniem myśląc o tych wszystkich gdyby, przywarł wargami do jej warg.

Nagły poświst wiatru przywołał go do porządku. Wiatr oznacza jedno: e ogień będzie szybciej się rozprzestrzeniał.

- Musimy uciekać!

- Nie! - Odepchnęła go i podniosła z ziemi wąż .

- Brooke, ogień będzie tu najwyzej za kwadrans! Ponownie chwycił ją za ramię, a ona ponownie mu się wyrwała.

- Wiem o tym! - Skierowała strumień wody na drewniany dom.

Zauważył, e jest brudna, przemoczona do suchej nitki i ubrana w sam szlafrok.

Zapewne wyszła spod prysznic, kiedy usłyszała komunikat o poarze. Patrząc na jej podrapane do krwi ręce i kostki, domyślił się, co było dalej: zbiegła na dół i zaczęła oczyszczać teren wokół domu. Teraz pies ujadał przy jej nogach, a ona z zawziętą miną polewała dom wodą.

- Oszalałaś? - zawołał, próbując odebrać jej wąż . - Wiesz, czym jest taki ywioł?

- Wiem. Je eli nie chcesz pomagać, to przynajmniej nie przeszkadzaj. Muszę zmoczyć drugą stronę domu.

- Zabieram cię stąd! - Zaczął ciągnąć ją w stronę podjazdu. - Choćby siłą.

Wymierzyła mu potężny cios w szczękę, zaskakując ich oboje. Puścił ją, a ona straciła równowagę i upadła na kolana.

- Nie przeszkadzaj! - syknęła gniewnie, po czym zakrztusiła się od dymu.

Gdy pomagał jej stanąć na nogi, w jej oczach malowała się wściekłość. W jego równie .

- Kretynko, ogrodnym wę em chcesz walczyć z po arem lasu? - Potrząsnął nią. -

Ten dom... - Kaszłąc, wskazał ręką za siebie. - Czy warto za niego umierać? Za trochę drewna i szkła?

- Trzeba go ratować! - krzyknęła. Łzy ciekły jej po policzkach. - Nie oddam go, nie oddam! - Podjęła desperacką próbę oswobodzenia się.

- Brooke, przestań! - Wbił palce w jej ramiona. - Nie ma czasu! Uciekajmy!

- On nie może spłonąć. To nasz dom, Parks! - W jej głosie nie było hysterii, lecz determinacja. - Musimy go ocalić.

Przestał ją potrząsać. Poruszony do głębi przytulił ją. Czy to miała na myśli Claire, mówiąc, że miłość nie wystarczy? Może. Uświadomił sobie, że równie ważna jak miłość jest przyjaźń, zrozumienie, poczucie jedności. Nasz dom. Te dwa słowa Brooke na zawsze scementowały ich związek.

Jeszcze nigdy nikogo tak bardzo nie kochał. I w tym momencie, patrząc w jej oczy zaczerwienione i lśniące od łez, zrozumiał, co ma robić. Niepotrzebne były pytania, odpowiedzi, wyjaśnienia. Bez słowa wypuścił Brooke z objęć i podniósłszy leżący na trawie wę , skierował strumień wody na dom. Wierzchem dłoni Brooke otarła łzy.

- Parks...

- Ratujmy nasz dom. - Uśmiechnął się. - Będę polewał, a ty przynieś ręczniki i kilka prześcieradeł. Okryjemy się nimi...

Pracowali ramię w ramię, polewając ściany domu, siebie, psa. Chmury dymu gęstniały, wiatr świstał, ale stawał się nie do wytrzymania. Ale płomienie się nie pojawiały.

Chwilami wydawało się Brooke, że ogień skręci w bok, chwilami zaś bliska omdlenia dławiała się od dymu. Miała tylko jeden cel: uratować dom, który dzieli z Parksem, dom, który symbolizuje to, o czym całe życie marzyła: wzajemną miłość, rodzinę, wspólnotę.

Z mokrymi rękawicami przy twarzy krąyli, polewając ściany, które wysychały niemal natychmiast. Pracowali w milczeniu. Dwie pary rąk, dwie pary nóg, jeden wspólny cel.

Parks pierwszy dojrzał płomień. Miał wrażenie, że widzi piekielną otchłań. Otchłań, która za moment ich pochłonie.

- Koniec - zawyrokował, chwytając Brooke za rękę i zgarniając pod pachę szczeniaka.

- Parks, nie możesz teraz odejść. - Krztusząc się i potykając, próbowała się uwolnić.

- Jeśli zostaniemy dłużej, zginiemy. - Wepchnąwszy Brooke do samochodu, wcisnął jej na kolana psa. - Nic więcej nie zrobimy. - Mokrymi palcami przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Nie warto umierać za coś, co jutro możesz kupić.

- Ty nic nie rozumiesz! - Wycierając łzy, rozmazała dłonią brud po twarzy. -

Wszystko, co mam, tam zostało. Nie mogę pozwolić, aby ogień strawił całe moje życie.

- Całe twoje

życie - powtórzył cicho, po czym zatrzymał samochód i zaczerwienionymi od dymu oczami popatrzył na nią. - Dobrze, skoro tak uważasz, to wróć i zobacz, co da się zrobić - powiedział bezbarwnym tonem. - Ale ty się stąd nie ruszaj.

Błagam. Nie chcę cię stracić.

Zanim dotarło do niej, co Parks mówi, została sama w samochodzie. Przeraona dygotała jak w gorączce. Ogień strawi jej dom, zniszczy cały dobytek. Po raz kolejny zostanie bosą, bez niczego. Ile razy może zacząć od nowa?

Szczeniak skamlał i wiercił się niespokojnie. Brooke popatrzyła na niego i... Co ja tu robię, kiedy mojemu domowi grozi zawalenie? - pomyślała nagle. Muszę tam iść, ratować...

ratować Parksa!

Zmroził ją strach i to strach sprawił, że wyskoczyła z samochodu i rzuciła się pędem przez dym. Bo nie! Zmusiła Parksa, by tam wrócił. Po co? Co chciała ratować? Drewno i szkło? Bo dom, prawdziwy dom, ten, którego całe życie szukała, to on, Parks! Zaczęła go wołać. Nic nie widziała. Gęste kłęby dymu wszystko zasłaniały.

Słyszała ryk płomieni. Albo ryk wiatru. Nie potrafiła ich odróżnić. Wiedziała, że najważniejszy jest Parks, że nic innego się nie liczy. Przedzierając się przez dym, raz po raz wołała jego imię.

Przez chwilę nie była w stanie oddychać, straciła tę orientację. Przed oczami stanął

jej obraz dwunastoletniej dziewczynki zbliżającej się wolnym krokiem do domu, w którym miała spędzić najbliższy rok. Nie pamiętała nazwiska swoich zastępczych rodziców, pamiętała tylko uczucie strachu, samotności i oszołomienia. Zawsze trzymała się na uboczu, dopóki nie poznała Parksa.

Nagle ujrzała, że Parks biegnie w jej kierunku. Po chwili znalazła się w jego ramionach.

- Co się stało? - spytał. - Usłyszałem, jak krzyczysz i pomyślałem... - Wtulił twarz w jej szyję. - Cholera, Brooke, kazałem ci zostać w samochodzie!

- Nie chcę bez ciebie. Chodźmy stąd, jedźmy... - Zaczęła ciągnąć go do wozu.

- Ale dom...

- Nic nie znaczy - odparła stanowczo. - Bez ciebie nic nie ma znaczenia.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usiadła za kierownicą. Kiedy tylko zatrzasnął

drzwi od strony pasa era, ruszyła z piskiem opon. Po dwóch lub trzech kilometrach dym się trochę przerzedził. Wtedy zjechała na pobocze, oparła głowę o kierownicę i zanosła się płaczem.

- Kochanie... - Parks delikatnie gładził ją po mokrych, potarganych włosach. - Przykro mi. Wiem, ile ten dom dla ciebie znaczył. Ale może uda się go...

- Do diabła z domem! - Podniosła głowę i popatrzyła na niego oczami, w których smutek mieszał się z gniewem. - Zachowałam się jak skończona idiotka! Jak mogłam posłać cię w ogień...

Przeklinając siarczyście, wysiadła z wozu i zatrzasnęła drzwi.

- Brooke... - Pośpieszył za nią.

- Nie dom jest dla mnie najważniejszy, tylko ty. - Wzięła głęboki oddech, aby powstrzymać łzy. - Pewnie mi nie uwierzysz po tym, jak się zachowałam, ale to prawda.

Przysięgam. Po prostu... nigdy nie miałam nic własnego. Bałam się, że jeśli stracę dom, znów będę nikim, sierotą, człowiekiem bez właściwości. Ty tego nie zrozumiesz...

- Postaram się, jeśli mi dasz szansę. - Ujął jej twarz w dłonie.

Westchnęła ciężko.

- Nigdy nie miałam własnego domu, własnej rodziny. Nigdzie i do nikogo nie należałam. Byłam jak bezpański kundel. Mówiłam sobie, że kiedyś to się zmieni. że będę miała swoje meble, swoje ubrania, swoje cztery ściany. Nikogo nie będę musiała pytać o pozwolenie, aby coś dotknąć. I z nikim niczym nie będę musiała się dzielić. Ta nadzieja dawała mi siłę, aby przetrwać. Ale później nie umiałam się jej pozbyć; nadal chciałam, aby to, co moje, pozostało moje. Poglądził ją kciukiem po policzku.

- Nieprawda. Swój dom nazwałaś naszym domem.

- Parks... - Objęła go za szyję. - Nie obchodzi mnie ten dom. Wszystko, czego potrzebuję, o czym marzę i co kocham, mam tu, przy sobie.

Byli brudni, zmęczeni, mokrzy, gardła ich bolały, oczy piekły od dymu. Ale patrząc na umazaną twarz Brooke, na jej rozczochrane włosy i czerwone oczy, Parks pomyślał w duchu, e ma najpiękniejszą onę na świecie.

Powoli osunęli się na trawę. Całowali się i pieścili, czując coraz większe podniecenie.

Ona zrzuciła szlafrok, on spodnie i koszulę. Le eli nadzy, objęci, szczęśliwi, e yją, e mają siebie nawzajem. Po raz pierwszy w yciu Brooke wiedziała, e jest bezpieczna; e Parks ją ochroni przed ka dym niebezpieczeństwem. Ufała mu bezgranicznie.

Kochali się na trawiastym poboczu, za kępą krzewów, a w górze nad ich głowami wirowały smugi szarego dymu.

- Masz siniak - powiedział Parks, gdy ju było po wszystkim. - Za mocno cię ścisnąłem.

- Za to ja dałam ci w szczękę.

- I to jak!

Słyszając śmiech w jego głosie, przymknęła oczy.

- Przepraszam, kochany. - Na moment zamilkła.

- Wygraliśmy...

Spojrzał na jej umorusaną twarz.

- Tak, wygraliśmy - szepnął. Przytuliła jego głowę do piersi.

- Powiedziałam kiedyś, e nie chcę niczego zmieniać. Bałam się zmian. - Ponownie zamknęła oczy.

- Ale coś się zmieniło. Jest inaczej...

- Lepiej. O niebo lepiej. Westchnęła zadowolona.

- Ale nie porzucamy tej gry, dobrze? Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a ona spojrzała na niego rozpromieniona.

- Zgoda. Według naszych własnych reguł.